

Amen, skończyłem

Dzień był już w pełni, potoki słońca zalewały miasto, gdy Jaybert Darkling wygrzebał się z łóżka. Wsunął kapcie i poczłapał do kapliczki koło okna.

Kiedy się zbliżył, zasłonki, które zwykle skrywały kapliczkę, rozsunęły się, a ołtarz zaczął promieniować światłem. Darkling skłonił głowę, jeden raz, i powiedział:

– Wszchemocni Bogowie, oto staję przed Wami u progu kolejnego dnia i Wam go poświęcam. Dozwólcie, abym się w pełni samorealizował, działając w myśl Waszych praw i dążąc Waszymi ścieżkami. Amen.

W odpowiedzi z ołtarza ozwał się głosik cienki, wysoki, odległy.

– Oby tak było, rzeczwiście. I nie zapomnij, że wczoraj modliłeś się tak samo, a potem roztrwonileś cały dzień na własne przyjemności.

– Dzisiaj będzie inaczej, o Wszchemocni Bogowie. Nie zmarnuję ani chwili, będę pracował w Instytucie, który, jak Wiecie, służyć ma Waszym celom.

– To doskonale, synu, zwłaszcza, że rząd zatrudnia cię właśnie w tym celu. A pracując, rozważ w swym sercu własną hipokryzję, która jest wielka.

– Stanie się wola Wasza.

Światłość zgasła, zasłonki wróciły na miejsce.

Darkling jeszcze chwilę stał w miejscu, oblizując wargi. Nie miał nawet cienia wątpliwości, że Bogowie go szpiegują: istotnie był hipokryta.

Szurając kapciami, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Mimo że, jak na istotę ludzka, odgrywał w mieście niepoślednią rolę, było to przede wszystkim miasto maszyn. Ciągnęło się po horyzont, a przeważająca jego część stale pozostawała w ruchu. Tak chciały maszyny. W większości gigantycznych budowli nigdy nie stanęli stopa ludzka, a same budowle poruszały się, bo tak było wygodniej.

Ściany Instytutu lśniły oślepiającym blaskiem. W środku uwięzieni byli Nieśmiertelnicy Darklinga. Dzięki Bogu, że chociaż ten budynek się nie ruszał!

Hipokryta, co? Z ohydą i blaskiem tej myśli borykał się już od czasów chłopięcych. Bogowie dobrze o to zadbali.

Rozbierając się po drodze, zmierzał pod prysznic. Spojrzał na zegarek. Za siedemdziesiąt minut może być w Instytucie i dzisiaj naprawdę spróbuje być lepszym człowiekiem, lepiej żyć. To się bez wątpienia opłacało.

Skłął sam siebie za dwulicowe myśli, ale innych nie znał.

Zee Stone też wstał później niż należało. Nie podszedł do ołtarza w małym pokoju. Zataczając się w drodze do łazienki, wrzasnął tylko:

– Czas na poranne kłapanie dziobem, co?

Z nieoświetlonej kapliczki ozwał się głos Bogów, głęboki, ojcowski, lecz nieco oficjalny.

– Łajdaczyłeś się wczoraj do późnej nocy. W rezultacie dziś spóźnisz się do Instytutu. Chyba nie potrzebujemy ci mówić, że zgrzeszyłeś.

– Przecież wiecie wszystko – wiecie, po co to robiłem. Chcę napisać opowiadanie. Chcę zostać pisarzem. A co zacznę, nawet jeśli mam konspekt, wychodzi mi inaczej niż chciałem. To wasza robota, co?

– Za wszystko, co dzieje się w tobie, próbujesz winić otoczenie. W ten sposób nigdy nie osiągniesz sukcesu.

– Do cholery z tym wszystkim!

Zee Stone odkręcił prysznic. Był miody, niezależny. Czuł, że mu się powiedzie, i z Instytutem, i z tym pisaniem, i z tamtą czarnulą o żółtych oczach. A jednak w tym, co mówili Bogowie, było sporo prawdy: praktycznie nie odróżniał tego, co wewnątrz, od tego, co na zewnątrz. Ten jego zniechęcony szef, Darkling: może Darkling jest taki wredny tylko w wyobraźni Stone'a?

Myśl zgubiła wątek. Chlapiąc się pod ciepłym prysznicem, Stone rozmyślał z powrotem o opowiadaniu, które chciał napisać. Bogowie mieli nad nim większą władzę, niż on nad postaciami, które sam wymyślił.

Dean Cusack wstał o przyzwoitej porze. Nie spóźniłby się do pracy, gdyby nie kłótnia z żoną. Poranek był świeży i słodki; kłótnia paskudna i zatechła.

– Nigdy nie założymy tej farmy zrzedziła ubierając się Edith Cusack. – Obiecywałeś, że odłożysz pieniądze i wyjedziemy na wieś. Ile to już lat minęło? I dalej, jak widzę, trzymasz się ciepłej, nisko płatnej posiadki ciecia w Instytucie!

– To bardzo odpowiedzialna posada – pisnął histerycznie Dean.

- W takim razie ciekawe, czemu tak mało ci płacą.
- Zwyczajnie, nie trafił mi się awans
- Zniżył głos o pół tonu i poszedł do łazienki myć zęby. Nie znosił pretensji Edith, bo ciągle mu na niej zależało; miała powody, żeby się żalić. Gdy brali ślub, roztaczał przed nią wizję farmy na wsi. Tylko że zawsze co tu się oszukiwać – zawsze był tak uległy, że wszechwładne siły w Instytucie z łatwością mogły ignorować jego istnienie.
- Żona przysłała za nim do łazienki i podjęta dyskusję dokładnie w tym punkcie, da którego doprowadziły ją myśli Deana.
- Zastanów się nad sobą, na litość Bogów! Całe życie chcesz być potakiwaczem? Stańże na własnych nogach I Przestań wciąż przyjmować polecenia! Porozrabiaj tam od czasu da czasu, może cię wreszcie zauważa!
- To twoja filozofia, wiem, wiem odburknął.
- Kiedy wyszła do kuchni nastawić aparat na śniadanie, Cusack popędził do sypialni i ukląkł przed kapliczka koło łóżka. Ledwie za ołtarzem rozjarzyło się światło, złożył dłonie i rzeki:
- Pomóżcie mi, o Wszechmocni Bogowie. Jestem nędznym robakiem, ona ma rację, nędznym robakiem! Znacie mnie, wiecie jaki jestem. Pomóżcie mi – przecież się starałem, wiecie, że się starałem, a wciąż jest źle, i coraz gorzej. Zawsze Wam wiernie służyłem, jak mogłem spełniałem Waszą wolę, nie opuszczajcie mnie, Bogowie!
- Wielkie zmiany czasem najlepiej przeprowadzać małymi krokami, Cusack. Musisz po kawałeczku budować własną wiarę w siebie.
- Tak jest, Bogowie, dziękuję Wam, tak zrobię, zrobię dokładnie tak, jak mówicie – tylko... jak?
- Postanów sobie, że dzisiaj choć raz postawisz na swoim, Cusack. Cusack pokornie błagał o dalsze instrukcje, ale Bogowie się wyłączyli: znani byli z małomówności. W końcu stróż podniósł się z klęczek, wbił się w służbową marynarkę koloru brązowego, przycesał włosy i poczłapał do kuchni.
- Nawet Bogowie mówią do mnie po nazwisku – mruknął pod nosem.

Dean Cusack miał żonę, która obsztorcowała go gdy trzeba, Jaybert Darkling i Zee Stone mieli być zabezpieczeni, co ranka brali prysznic i używali owoców oraz panienek cywilizacji schyłku dwudziestego drugiego wieku, Otto Jack Pommy zaś był włóczęgą. Oprócz kapliczki na grzbiecie nie posiadał właściwie niczego

Otto miał za sobą ciężka noc. Szwendał się po zautomatyzowanym mieście i dopiero o świcie trafił na wygodny opuszczony dom, w którym dało się zdrzemnąć. Ocknąwszy się, stwierdził, że słońce świeci przez brudną szybę prosto na poplamiony materac, na którym leżał, po czym przez dłuższy czas tkwił w nieprzyjemnej hipnozie – głowę miał słabą, a ostatnią porcję LSD przyjął zaledwie przed tygodniem – konstelacji plam, pasków i mokrych kropek na materacu, która tak zręcznie oddawała obraz wszechświata.

Wreszcie przeturlał się z boku na bok i jednym szarpnięciem otworzył przenośna kapliczkę. Jasność za ołtarzem nie rozbłysła.

- Ca jest? Wy też się kiepsko czujecie? Myślicie, że się będę modlił, jak Wy nawet nie racycie po dawnemu zaświecić światła? Bogowie! Chrzań Bogów!
- Synu, sam wiesz, że dobrą kapliczkę sprzedałeś, a ten tutaj to tani, lichy egzemplarz, który nigdy porządnie nie działał. Lecz tak jak my przybywamy do ciebie poprzez niedoskonałe narzędzie, tak i ty sam jesteś niedoskonałym narzędziem do pełnienia naszej woli.
- Wiem, do cholery, grzeszyłem! Słuchajcie no, Bogowie, Wy mnie znacie: najlepszy może nie jestem, ale są gorsi ode mnie. Dajcie Wy mi święty spokój, dobra? Czy kogoś kiedyś wykorzystałem? Pamiętajcie, jak było w przed – Boskiej księdze: „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię”? I co Wy na to?
- Bogowie wydali odgłos wielce zbliżony do ludzkiego fuknięcia.
- Cisi! Otto Pommy, jesteś najzarozumialszym dziadem jaki kiedykolwiek ubliżył nam modlitwą! Spróbuj zachowywać się dzisiaj trochę mniej bezczelnie.
- Dobra już, dobra. Zależy mi tylko, żeby iść zobaczyć Ojca w instytucie. Amen.
- I kup nową baterię do ołtarza. Czy naprawdę nie ma w tobie za grosz szacunku!
- Amen, powiedziałem! Amen i koniec.

Instytut Badań nad Nieśmiertelnością zajmował obszar kilku akrów w centrum miasta, w przeciwieństwie do stacji kosmicznych, które zawsze sytuowano poza obrębem miast. Dawało to Jaybertowi Darklingowi stały asumpt do pogawędek z niektórymi szefami Instytutu.

– To fakt symboliczny – podlizywał się. – Człowiek prze na zewnątrz, wciąż od siebie – tak przynajmniej postępują nasze maszyny – podczas gdy ta, co istotne, leży w środku. Jak to ujął jeden z mędrców dwudziestego wieku: musimy badać przestrzeń wewnętrzną. Wyrazem tej potrzeby jest fakt, że choć tak cenne dla nas stacje kosmiczne znajdują się poza miastami, to dla tego wielkiego,

metafizycznego kompleksu badawczego znaleźliśmy miejsce w samym centrum ludzkich spraw.

Słusznie czy nie, powtarzał to tak często, że przeważająca część władz przestała poruszać temat.

Tego pięknego ranka, nim zasiadł do papierkowej roboty, Darkling udał się na pobieżną inspekcję zakładu. Na ogół wszystkiego doglądały roboty i maszyny, lecz za opiekę nad Nieśmiertelnymi i ich dopilnowanie odpowiadał osobiście. W drodze do pierwszego Pawilonu Wilgoci stwierdził z pewnym niezadowoleniem, że młody Zee Stone tkwi już na posterunku i flirtuje z filigranową blond sekretarką.

– Stone!

– Słucham pana.

Razem wkroczyli do hallu Pawilonu Wilgoci, naciągając po drodze gumowce i wodoszczelne kombinezony.

W Pawilonie Wilgoci pławili się Nieśmiertelni. Instytut utrzymywał ich tysiące. W hali pierwszej przebywało około dwudziestu. Większość bez ruchu.

W pomieszczeniu niezmiennie utrzymywano temperaturę siedemdziesięciu dwóch stopni Fahrenheita. Z wysokiego sufitu mżyły prysznice. Z licznych kurków wzdłuż ścian chlustała woda, zlewając się po kafelkach posadzki do sadzawki, zajmującej połowę powierzchni podłogi. W centrum sadzawki były fontanny. Chłodne strumienie powietrza, które wpadały do wnętrza na wysokości sufitu, powodowały miejscami powstawanie mikroskopijnych chmur i nieoczekiwanych wyładowań atmosferycznych, wywołujących zmiany obrzękowe.

Nieśmiertelni stali lub leżeli w strugach wody niczym posągi. Wielu spoczywało na spadzistej cembrowinie sadzawki: na wpół zanurzeni, wpatrywali się bez zmruczenia powiek w jakieś odległe scenerie. Spieniona oddolnym ciśnieniem woda falowała wokół ich kończyn.

Lecz widok samych Nieśmiertelnych kazał myśleć o suszy. Nikt z przebywających tu mężczyzn i kobiet nie miał mniej niż sto osiemdziesiąt lat. Przypominali oheblowane deski z niezwykle wyraźnym słojuowaniem, gdyż skórę ich znaczyły dziwaczne meandry i linie uważane potocznie za znamiona nieśmiertelności. Z chwilą, gdy przyjęli pierwszą serię zastrzyków ROA, proces starzenia postępował błyskawicznie: skóra marszczyła się i wysychała, wypadały włosy, kurczyły się kości. Nabierali wyglądu i postury mumii.

Ta faza już u nich minęła. Stopniowo przekraczali barierę starości. Skóra rozprostowała się na nowo i wygładziła w szczególny sposób, nabierając dziwacznej wzorzystości dębowej deski.

Takie były zmiany zewnętrzne. Zmiany wewnętrzne były nieporównanie większe.

– O czym dzisiaj myślisz, Palmer? zapytał Darkling jedną z figur pływających się na cembrowinie sadzawki. Przykucnął w swoim wodoszczelnym kombinezonie i zbliżył twarz do oblicza Palmera, poznaczonego brązowymi i czarnymi słojami, jak gdyby czas odbił na nim swój odcisk palca. Nim Palmer zaczął odpowiadać, upłynęła krótka chwila, jak gdyby pytanie musiało powędrować na Marsa i z powrotem, nim dotarło do jego mózgu.

– Śledzę tok myśli, która mnie zajmowała jakieś sześćdziesiąt lat temu. Nie tyle tok właściwie, co węzeł myśli.

Ponieważ Palmer zamilkł, Darkling zmuszony był mu podpowiedzieć:

– A ta myśl...?

– Nie potrafiłbym ująć jej w słowa. To raczej... cień niż myśl. Niektórzy z nas dyskutowali tutaj nad koncepcją języka kolorów. Gdybyśmy się posługiwali językiem kolorów, mógłbym panu dokładniej powiedzieć o czym myślałem. – Koncepcja języka kolorów została w Instytucie przewietrzona i odrzucona na długo przed moją kadencją – odparł Darkling tonem zasadniczym. – Ostateczny wniosek był taki – i wy, Nieśmiertelni, zgodziliście się z nim – że kolory ograniczają wypowiedź w stopniu znacznie większym niż słowa: choćby dlatego, że jest ich mniej.

Palmer wpakował twarz w strumień wody i pozwolił mu łagodnie, igrać na własnym nosie. Między jednym zanurzeniem a drugim, rzekł:

– Istnieje o wiele więcej kolorów niż sądzicie. Rzecz tylko w ich zarejestrowaniu. Poza tym, moja koncepcja dotyczy raczej języka uzupełniającego, nie zastępczego. Gdybyśmy doszli do jakichkolwiek wniosków w innej z dyskutowanych tu kwestii – o tym mianowicie, aby oko mogło emitować światło tak, jak je absorbuje język kolorów miałby przed sobą wielką przyszłość.

– No to powiadomcie mnie, jak coś wymyślicie.

– Jasne, dyrektorze. Słowniczek też będzie.

Począł dalek w strugach deszczu.

Stone zapytał:

– Sądzi pan, że to owocny pomysł – W tej sprawie muszę słuchać wyłącznie siebie, mój chłopcze – odrzekł Darkling. – Dla niewprawnego umysłu nawet najbanalniejszy pomysł może okazać się zgubny – jak pocisk z opóźnionym zapłonem. Trzeba eksperta, aby ocenić jego rzeczywistą wagę. – Przypomniałszy sobie, co mu rankiem mówili Bogowie, dodał, nie bez wysiłku: – Mimo to zaryzykowałbym niezobowiązujące twierdzenie, że pomysł ten nie wydaje mi się owocny.

Spacerowali między pławiącymi się w wodzie ciałami, tu i ówdzie zamieniając po parę słów. Kilku Nieśmiertelnych wystąpiło z nowymi pomysłami, które Darkling niezwłocznie notował na wodoszczelnej tabliczce jako materiał badawczy dla któregoś z ekspertów. Większość pomysłów, które się tu wykluwały, nie nadawała się do praktycznego zastosowania w życiu społecznym; zaledwie kilka to życie zrewolucjonizowało.

Instytut Nieśmiertelności był niewypałem już z założenia. Proponowane tu okresy przedłużenia życia były dla większości ludzi zbyt ekscentryczne, oby się mieli ochotniczo zgłaszać na Nieśmiertelników. Ale i tak, konserwując rozmaite stare dziwadła, Instytut wytwarzał użyteczny produkt uboczny: idee, oraz nowe wersje dawnych idei. Nieśmiertelnicy stanowili ogromną narodową inwestycję – czego rządzący byli w palni świadomi.

Poranny obchód dobiegł wreszcie końca. Darkling i Stone udali się w mniej wilgotne rejony, gdzie uwolnili się z gumowców i kombinezonów.

– Nie bardzo się ostatnio wysilają, żeby zarobić na utrzymanie – skomentował Stone. – Trzeba by ich trochę podkreślić; ograniczyć dostawę wody, albo co.

– Co za nieetyczny pomysł i nieskuteczny: próbowano już tego przed laty. Nie, Stone, musimy się z tym pogodzić: oni są inni niż my, całkiem inni.

Energicznie wytarł twarz ręcznikiem, po czym dodał:

– Nieśmiertelni zostali odcięci od podstawowych potrzeb biologicznych człowieka. Z oczywistych względów, jedyne dziedziczne potrzeby tego rodzaju to te, które się ujawniają przed reprodukcją. W przeszłości dowodzone, całkiem zresztą dogmatycznie, że inne biologiczne potrzeby nie istnieją: Otóż dziś uważamy inaczej. Stwierdzamy, że po przekroczeniu bariery uwiadu starczego człowiek zmienia się z Istoty działającej w istotę myślącą. I na odwrót: my, tutaj, po zielonej stronie bariery starości, jesteśmy raczej istotami działającymi niż myślącymi – ten pogląd również zmartwiłby naszych przodków. Nasze myślenie to myślenie w stadium embrionalnym. Ci Nieśmiertelni są naszymi mózgami. Powiem otwarcie, że dziś, w stuleciu lotów międzygwiazdnych, nie dalibyśmy bez nich, rady.

Stone wyłączył się już na kilka zdań wcześniej. Słyszając, że głos szefa zamiera, odezwał się, tytułem ogólnikowej akceptacji:

– No tak, trzeba by ich trochę podkreślić, albo co.

Wymyślał swoje opowiadania. Potrzeba mu było nowych postaci, młodych, takich, które w ogóle nie musiałyby myśleć.

– Nie możemy ich podkreślać; – w tonie Darklinga zabrzmiała nagła agresja, która z miejsca ustawiła Stone'a na baczność. Zwierzchnik pochylił się z impetem w jego stronę, jego nikły wąsik podrygiwał przy tym, jakby żył własnym, szatańskim życiem.

– Najgorsze, że ty, Stone, w ogóle nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Nieśmiertelni pozostają tu wyłącznie pod naszą opieką, zapamiętaj to sobie: to nie jest więzienie – to schronienie przed skomplikowanym światem zewnętrznym.

Stone nigdy nie lubił Darklinga, ani jego wąsików. Przybrawszy ton spokojny i pogardliwy, rzekł:

– Niech pan da spokój, szefie, nie oszukujmy się, że oni nie są więźniami. To zakrawa na lekką hipokryzję, nie wydaje się panu?

Może to z przyczyny słowa „hipokryzja” twarz Darklinga poczerwieniała.

– Uważaj, Stone! Niech ci się nie wydaje, że nie wiem, co wyrabiasz na dyżurach z panną Roberts.

Gdyby którykolwiek z Nieśmiertelnych miał chęć nas opuścić – co się jak dotąd nigdy nie zdarzyło i zdarzyć nie mogło, gdyż żyją tu w warunkach idealnych – nie stawialibyśmy mu żadnych przeszkód. A ja sam poparłbym jego decyzję wobec władz.

Spojrzeli na siebie z bezradną wrogością.

– Ja tam nadal uważam, że gdyby się któryś stąd wyrwał, to byłby cud – powiedział Stone.

Gdy Stone wyszedł z pokoju, Darkling wyciągnął swój kieszonkowy ołtarzyk. W osobie Zee Stone'a było coś, co mu kazało szukać duchowej pociechy.

Otto Jark Pommy dotarł do Instytutu w doskonale ekstatycznym stanie rezygnacji. Rezygnacja przepełniała go na wskroś i każdy jego gest brzemienny był rezygnacją.

Wypełniając kwestionariusze, które kategorycznie musiał wypełnić przed rozmową z Nieśmiertelnikiem, przechodząc badania lekarskie i kontrolę układu siatkówki, koncentrował uwagę na licznych absorbujących systemach w czasoprzestrzeni, które pomagały mu utrzymywać się w nastroju niezakłóconej równowagi ducha. Wiele uniwersalnych znaczeń wydobywał zwłaszcza z noska lewego buta, a jeszcze dokładniej – ze zgięcia między noskiem a resztą buta. Do chwili, gdy mu zezwolono na widzenie z krewnym w Pawilonie Wilgoci, Otto doszedł do wniosku, że wprawne oko potrafiłoby z rys w zagięciu złożyć kompletną historię wszystkich podróży, które odbył w tej konkretnej parze butów. Prawy but zdawał się znacznie oględniej ujawniać własne dzieje niż lewy.

– Szanowanie, Ojczulku Palmer! To ja, Cpacz. Pamiętasz mnie jeszcze? Dwa lata minęły!

Nastąpił pewien bałagan w chronologii pokoleń. Otto był w istocie ni mniej ni więcej tylko pra-pra-prawnikiem dawno zmarłego brata Palmera Pommy, a więc tytuł „Ojczulek” był w tym wypadku oznaką szacunku, ale i lekkiej drwiny. Mimo swych dwustu lat i urody zebry, Palmer wyglądał młodziej niż oberwany, wąsaty Otto. Tylko jego głos zdradzał, że pławi się w lagunach znacznie odleglejszych niż te, do których Otto kiedykolwiek dotrze.

– Jesteś moim najbliższym żyjącym krewniakiem, szóstej generacji mojego brata. Nazywasz się Otto Jack Pommy. Ogoiliłeś się od czasu naszego ostatniego spotkania.

Otto zaniósł się pełnym sympatii śmiechem.

– Ty jeden potrafisz to zauważyć! Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Palmera: była obrzękła i zimna, lecz Otto nie wzdrygnął się nawet.

– Jak ja was lubię, cholernych Nieśmiertelników! Jesteście strasznie śmieszni! Nie wiem właściwie, czemu was częściej nie odwiedzam.

– Bo jesteś wierniejszy zasadzie niestałości niż jakimkolwiek człowiekowi – to dlatego. Poza tym, nie odpowiada ci klimat Domu Wilgoci.

– Tak, to był jakiś powód, chociaż o nim akurat nie myślałem.

Zamilkł, zajęty kontemplacją twarzy Palmera. Doszedł do wniosku, że jest to twarz kartograficzna. Ślady starości, zmarszczki, wklęsnięcia i fałdy były na niej kiedyś równie realne jak nieregularności pagórkowatych terenów: teraz pozostały jedynie abstrakcjami, jak kontury na mapie.

– Masz kartograficzną twarz – powiedział.

– To nie jest mapa mojego wnętrza; nie noszę serca na twarzy.

– A więc mapa czasu? Izobary, secobary, co tam jeszcze? Zdekoncentrował się. Wiedział, dlaczego wszyscy nienawidzą Nieśmiertelnych, dlaczego nikt nie chce zostać Nieśmiertelnym, chociaż ich wielkie zasługi dla współczesnych nie pozostawiały wątpliwości. Nieśmiertelni byli zanadto inni: dziwnie wyglądali, dziwnie się z nimi rozmawiało – tyle tylko, że on, Otto, wcale tego tak nie odbierał. On ich kochał – a może tylko Palmera.

Nie znosił tylko Pawilonu . Wilgoci z jego nieustającym wodotryskiem. Otto był wrogiem wody. Rozmawiał teraz z Palmerem – a raczej patrzyli sobie sennie w oczy, jak to mieli w zwyczaju – w jednym z pokoi gościnnych, gdzie woda nie była widoczna. Palmer był szczelnie owinięty szlafrokowatą szatą, z której jego wiekowa tatuowana głowa i prążkowane nogi wystawały, jakby dodane po namyśle. Uśmiechał się: w ciągu ostatnich stu lat uśmiechał się tak szeroko może : dziesięć razy; lubił Ottona, ponieważ Otto go bawił. Był dumny ze swego dawno zmarłego brata, kiedy patrzył na jego pra-pra-pra – prawnuka.

– Jakoś znosisz to nasze posiedzenie, bez wody? – zapytał Otto.

– W ogóle nie boli. Ból w ogóle nie boli.

– Nigdy nie potrafiłem zrozumieć waszego upodobania do wody. Ciekawe czy wy, Nieśmiertelnicy, sami je rozumiecie?

Palmer na chwilę stracił kontakt z rozmówcą.

– Różnica między „czuję ból” i „boli mnie”. Należałoby wprowadzić termin pośredni na oznaczenie „dobrowolnego bodźca bólowego”.

– Upodobanie do wody, Ojczulku.

– Nie, to nie... Ach, woda... To już zależy, co rozumiesz „przez zrozumienie”, Otto. Życie odnawia się w wilgoci i śluzie. Podstawowe załączki egzystencji – przynajmniej do czasu pojawienia się mojego gatunku – pławiły się w wilgoci. Pochwa, nasienie, łono – niech diabli, już prawie nie pamiętam zjawisk, które te słowa oznaczają... Ludzkość wywodzi się z morza, poczyna się i rodzi w słonych płynach, rozpada się zaś nie w pył i prochy, lecz w śluz i sok. Z wyjątkiem, oczywiście, nas, Nieśmiertelnych. My nie poszliśmy spać kiedy należało i stąd, sądzę, nasze straszliwe, neurotyczne pragnienie wody i niezastępowalnych płynów, które niegdyś przynależały naszej kondycji.

– Nie poszliście spać kiedy należało? Nigdy nie myślałem o grobie jako sposobie zaspokojenia ludzkich dążeń...

– Długowieczność to strefa, w której pragnienia częściowo metafizyczne zastępują większość innych pragnień.

Palmer przytknął wiekowe oczy, by tym lepiej ogarnąć pustynię bezśmiertelności, przez którą wiódł szlak jego gatunku.

– Mówisz, jakbyś był całkiem wyschły od środka. A przecież krew twoja wciąż krąży, nie mniej płynna niż wszystkie oceany świata, mam rację?

– Krew nadal krąży, Otto... Suchość zaczyna się właśnie poniżej tego poziomu. Pragniemy tego, czego nie mamy. To może nie być zagłada, ale manifestuje się w postaci wiecznie wartkiego strumienia wody.

– Woda, woda, niczego więcej nie widzicie! Trzeba wam zmiany krajobrazu.

– Ja już nie pamiętam twojego świata, Otto, z jego tokiem, zmianami, pośpiechem.

Otto emocjonował się coraz bardziej. Począł strzelać palcami, a w okolicy lewego policzka ujawnił

mu się interesujący tik.

– Oj, Palmer, Palmer, ty stary idioto! To taki sam mój pieprzony świat, jak i twój. Wypisałem się z kultury maszyn tak samo gruntownie jak i ty. Jestem ćpaczem – sam nieźle znam nurt ciemnych wód, o których mówisz. A ciebie, Palmer, kocham i chcę cię stąd wydostać. To jakieś cholerne więzienie.

Palmer przewrócił oczami i z wolna ogarnął wzrokiem pokój dookoła. Zaczął drzeć, jakby w jego wnętrzu włączył się jakiś wiekowy motor.

– Jestem więźniem – szepnął.

– To dlatego, że myślisz, że nie ma dokąd pójść. Mam ja dla ciebie miejsce, Ojczulku! Idealne miejsce, nie dalej jak dwadzieścia mil stąd. Moi kumple – banda szajbusów, co do jednego, mierzyli wysoko, ale bezpiecznie, słowo honoru – krótko mówiąc, trafił nam się stary basen. Kryty. Działa jak trza.

Śpimy po kabinach. Ciebie byśmy umieścili w płytszym końcu. Byłbyś w domu. W prawdziwym domu I Tam by cię rozumieli. Nowe twarze, nowe myśli. Cała scenografia specjalnie dla ciebie.

Zabieram cię stąd. W tej chwili!

– Otto, ty oszalałeś! Ja tu jestem więźniem!

– Ale chciałbyś! Chciałbyś?

Jego oczy były czasem szkliste i bez wyrazu, jak wzorzysty dywan; teraz patrzyły i żyły naprawdę.

– Chociaż na troszkę... Wyrwać się... – No to chodźmy! Nic ci więcej nie potrzeba !

Palmer rozpaczliwie uchwycił się jego ręki.

– Powtarzam ci, że jestem więźniem. Nigdy nie dadzą mi wyjść.

– Szefowie? Przecież to jest konstytucyjne prawo: możesz wyjść kiedy ci się zechce. Rząd płaci. Ty nikomu, nie jesteś winien złamanego szeląga.

– Przez półtora wieku żaden Nieśmiertelny nie przekroczył progu Instytutu. To byłby cud.

– Będziemy się modlić o cud! Potrząsając głową na znak, że nie chce już słyszeć ani słowa protestu, Otto odpiął z pleców swoją tandetną kapliczkę i ustawił ją przed sobą na stole. Otworzył, rąbnął w skrzynkę dłońią, kiedy światło znów nie chciało rozbłysnąć, wzruszył ramionami i przybrał pozę, którą Palmer uznał za pozę szacunku. Rozpoczął modły.

– O Bogowie, przepraszam, że zwracam Wam głowę dwa razy dziennie! Tu Wasz stary przyjaciel i utrapienie, Otto Jack Pommy w ataku czołobitości. Pamiętacie może, że kiedy się do Was zgłosiłem zaraz z rana, zarzucaliście mi arogancję. Pamiętacie?

Nie było odpowiedzi. Otto ze zrozumieniem pokiwał głową.

– W niebie nie ma gadu-gadu. Tak powinno być. Jasne, że pamiętacie. Chciałem Wam powiedzieć, że już nigdy nie okażę arogancji a w zamian za to błagam Was, Wszchemocni Bogowie, o jeden drobny cud.

Z ciemności za ołtarzem popłynął beznamiętny głos:

– Bogowie się nie targują.

Otto chrząknął i uniesieniem brwi dał Palmerowi znak, że chyba nie pójdzie gładko.

– Naturalnie. Na Waszych stanowiskach to całkiem rozumiał, o Bogowie. Dlatego, o Bogowie, modlę się do Was o jeden, jedyny maleńki cud, o więcej nie poproszę – zczekajcie, wytłumaczę Wam...

– Cudów nie ma, są tylko sprzyjające zbiegi okoliczności.

– Świetnie sformułowane, o Bogowie, w takim razie błagam Was o jeden drobny sprzyjający zbieg okoliczności, krótko mówiąc, pozwólcie mi wydostać kochanego starego Ojczulka z tego cholernego Instytutu! Tylko tyle! Tylko tyle! Ale za to, przysięgam Wam, będę pokorny po kres swoich dni.

Wysłuchajcie mojej modlitwy, o Bogowie, gdyż w Waszych rękach jest moc i chwała, a jesteśmy na siebie wzajem skazani na wieczne czasy. Amen.

Bogowie odpowiedzieli:

– Jeżeli chcesz usunąć Nieśmiertelnego, uczyni to w tej chwili.

– Ach! – Otto chwycił kapliczkę w objęcia i z rozmachem ucałował ołtarz. – Kochani jesteście! Tyle dobroci dla starego Ćpacza! Obiecuję, że będę rozgłaszał ten cud za granicą i po kres swoich dni strzec będę prawdy i sprawiedliwości, i kupię nowa baterię do lampki ołtarza. Amen, o czcigodni, amen, skończyłem!

Odwrócił się do Palmera z błyszczącymi osiami i zapiał paski kapliczki na plecach.

– No! I co ty na to? Skoro Bogowie są z nami, cywilizacja dwudziestego drugiego wieku nie zna sposobu, aby nas powstrzymać! Ruszaj, Ojczulku, zajmę się tobą jak dzieckiem.

Poderwał Nieśmiertelnika na nogi i wyprowadził z pokoju. Palmer, przejęty i zdezorientowany, na przemian to protestował, że nie może wyjść, to chciał wychodzić czym prędzej. Wśród utyskiwań Palmera i słów otuchy Otto Jacka posuwali się rozległymi korytarzami Instytutu. Nikt ich nie zatrzymywał, chociaż kilku urzędników stanęło po drodze i bacznie obserwowało niecodzienną parę.

Zatrzymano ich dopiero przy głównym wejściu. Dean Cusack, imponujący w swoim brązowym mundurze, wyskoczył przed nich jak marionetka i zażądał przepustek.

Otto pokazał przepustkę odwiedzającego i powiedział:

– Poznaje pan zapewne, to jeden z Nieśmiertelnych, pan Palmer Pommy. Wychodzi ze mną. Nie ma przepustki. Spędził tu ostatnie 150 lat.

Cusack od razu poznał, że oto nadeszła jego wielka chwila. Nigdy jeszcze nie stał oko w oko z Nieśmiertelnikiem, spotkanie wywarło na nim oszałamiające wrażenie, po którym zaraz przysłała uderzeniowa fala zawiści, lęku i innych emocji: oto stała przed nim istota czterokrotnie od niego starsza, która miała żyć długo jeszcze po rozpadnięciu się w proch obecnej generacji.

Głos go na szczęście nie zawiódł. – Nikogo nie mogę puścić bez przepustki, proszę pana. Przepisy. – Na litość Bogów, co z pana za człowiek? Do końca życia chcesz pan zostać cudzym potakiwaczem? Nędznym wykonawcą poleceń? Patrz pan na tego Nieśmiertelnika i zapytaj pan sam siebie, czy masz pan prawo sprzeciwić się jego życzeniu!

Oczy Cusacka napotkały wzrok Palmera i nie wytrzymały go. Może nawet nie myślał o chwili terażniejszej i terażniejszych osobach, lecz o całkiem innej chwili, kiedy na ocenie występował ktoś Inny, kto głosem jeszcze bardziej przenikliwym zarzucał mu dokładnie to samo.

Kiedy znów podniósł wzrok, powiedział:

– Ma pan rację, proszę pana. Puszczę kogo mi się spodoba. Nie po to się urodziłem, żeby wykonywać rozkazy pan Darklinga. Jestem panem samego siebie i kiedyś założę małą farmę na wsi. Przechodźcie, panowie! Gdy przechodzili, zasalutował.

Ledwie mknęli mu z oczu, Cusack poczuł silne skrupuły. Wykręcił numer telefonu swojego zwierzchnika, Zee Stone'a i poinformował go, że jeden z Nieśmiertelnych wyszedł z Instytutu.

– Zajmę się tym, Cusack – Stone gwałtownie przerwał potok usprawiedliwień stróża. Przez chwilę siedział wpatrzony w pustkę i zastanawiał się, co by tu zrobić z tak interesującą informacją. Chwilowo odleżała tylko do niego; wieczorem, jeżeli da ujść Nieśmiertelnikowi, rozniesie się po całej planecie. Była to informacja niezwyklej wagi: jak dotąd żaden Nieśmiertelny nie odważył się przekroczyć bram instytutu. Taka wiadomość z pewnością ściągnęłaby na Instytut baczna uwagę i niejeden sekret ujrzalby światło dzienne.

Szczególną uwagę poświęcono by zapewne Jaybertowi Darklingowi. Pewnie by go wylali. I Zee Stone'a razem z nim.

– A co mi zależy! – powiedział. Będę nareszcie mógł pisać, cierpieć, jak przystało na pisarza...

Stare marzenie wróciło z nową siłą. Nie mógł się jednak do końca skupić. Właściwie nie chciał pisać fikcji postaci w – fikcji są zbyt trudne. Chciał... chciał...

O tym można było pomyśleć później. Na razie miał okazję załatwić na cacy ukochanego szefa, Darklinga, wystarczyło umiejętnie pograć.

Wąsik Darklinga drgnął na wejście Stone'a.

– Ją tylko na momencik, proszę pana. Wynikła pewna drobnostka, na którą pan z pewnością coś zaradzi.

Mówił tonem tak ugrzecznonym, że Darkling z miejsca wyczuł coś strasznego.

– Lada chwila spodziewam się telefonu z Dyrekcji Ekstrapolacji, proszę się streszczać.

– O, tak, będę się streszczał. Mówił mi pan z rana, sir – bardzo mnie to zaciekawiło – o swoim niezadowoleniu z posunięć zarządu Instytutu.

– Wątpię, Stone, obym kiedykolwiek wygłaszał tego typu komentarze wobec podwładnych.

– A jednak sir, a jednak. Przecież wszyscy wiemy, że celem istnienia Instytutu jest dojenie Nieśmiertelnych z niezwyklej pomysłów, które następnie wdraża się do celów praktycznych dla dobra ludzkości. A tak się składa, że i dla dobra rządzących – dlatego Nieśmiertelni, którzy tu zaczęli jako wolni ludzie, tylko dlatego, że instytut oferował im idealne środowisko, – dzisiaj są niczym więcej jak więźniami. – Mówiłem panu...

– Mówił pan też, że gdyby któryś uciekł, pan osobiście broniliby go przed władzami.

– Może i coś takiego mówiłem.

– Chciałbym, sir, zameldować, że jeden z Nieśmiertelnych właśnie uciekł. Darkling zerwał się na równe nogi, z ręką na najbliższym guziku alarmu. – Ty idioto, Stone, po co ta cała gadka? Musimy go natychmiast ściągnąć z powrotem! Jeżeli sprawa nabierze rozgłosu... – Twarz mu pobladła. Przerwał mu w pół zdania.

– Ale sam pan dopiero co mówił, sir...

– Praktyka modyfikuje teorię przerwał mu Darkling.

– W takim razie to rzeczywiście jest więzienie, sir.

Darkling ruszył na niego wymachując ręką.

– Ty szujo przebiegła, wynocha z mojego gabinetu! Próbujesz mnie zagać, co? Znam ja takich...

– Wspomniałem tylko, co mówiliśmy o hipokryzji...

– Wynocha! Wynos się natychmiast i żebym cię tu więcej nie widział Stone wycofał się rakiem.

Darkling zatrzasnął za nim drzwi, oparł się o nie plecami, cały rozdygotany, i wnętrzem dłoni przejechał po czole. Wiedział, że Bogowie nim gardzą, wiedział, że w swojej niezmierzonej

przebiegłości nasłali na niego Stone'a jako bicz Boży. To była próba. Raz Jeden miał szansę wytrwać przy poglądach, które głosił jako własne i autentyczne. Albo pograć się na dobre we własnych oczach.

Jeżeli da Nieśmiertelnikowi zwiąć, władze niechybnie zażądata jego krwi. Jeżeli ściągnie Nieśmiertelnika z powrotem – a działać trzeba szybko, bo zgubi się w mieście – Stone na pewno zadba o to, żeby go pognębić moralnie, nawet w oczach władz. Tak czy owak, znajdzie się w opałach: postanowił, że będzie się trzymać tego, co powiedział – i to powiedział nie raz, jak to sobie teraz mgliście przypominał.

Odezwały się w nim pamiętne słowa kogoś, kto w jego obecności żartem bronisz hipokryzji, mówiąc: „Hipokryta może i jest szmata, ale życie od czasu do czasu zmusza go, aby dorastał do szlachetności, którą fałszywie się szczyci”. Darkling miał wtedy ochotę wygarnąć mądrali, że nie rozumie podstawowej prawdy o hipokrytach: tej mianowicie, że mają oni naprawdę skomplikowaną naturę i że szlachetnych uczuć tkwi w nich w bród, tylko wola słaba... Tym razem wola wpadła w potrzask sytuacji.

Będzie musiał pozwolić Nieśmiertelnikowi zbiec.

– Wygraliście, Bogowie! – zawołał. – Byłem dzisiaj przyzwoitszym człowiekiem i to mnie pewnie zgubi!

Roztrzęsiony usiadł za biurkiem. W trakcie siadania przysła mu do głowy wspaniała myśl, a na twarz wypełził uśmiezek, który Stone nazwałby pewnie chytrym i złowieszczym. Jednak istniał sposób na obronienie się przed gniewem władz: przekabacić jak najliczniejsze legiony na swoją stronę.

Oczy Darklinga na chwilę powędrowały do góry, w niemej podzięce za okrucieństwo nadziei.

Wcisnął guzik sekretariatu na blacie biurka i cierpkim tonem polecił:

– Proszę mnie połączyć z World Press. Chcę im wyjaśnić, dlaczego uznałem za stosowne zwolnić Nieśmiertelnego z naszej instytucji.

Czas oczekiwania na połączenie upłynął mu na miłych zajęciach: wezwał woźnego Cusacka, aby z nim zewrzeć umowę finansowa dotyczącą współpracy, Stone'owi zaś postał notatkę służbową z żądaniem rezygnacji ze stanowiska.

Wokół starego basenu roilo się od ludzi. W tłumie dało się zauważyć tylko kilka kobiet, o włosach równie przetłuszczonych i potarganych jak włosy mężczyzn. To, co mieli na sobie, trudno byłoby ująć w słowa; część młodych mężczyzn była nago. Wszyscy poruszali się z łagodną, półobecną gracją.

Palmer Pommy nie ruszał się. Leżał na kozetce ustawionej w płytkim końcu basenu, tak, żeby woda mogła obmywać jego pręgowane ciało. Przeniesiono tam również prysznic, który stale tryskał na niego ciepła woda. Palmer śmiał się tak, jak nigdy od wielu dziesiątek lat.

– Wy jesteście na tej samej fali to ja – powiedział. – Nieśmiertelnik nie chwyta myśli zwykłych, krótkoterminowych ludzi – są zbyt banalne. A wy myślicie tak samo wariacko jak ja.

– Od czasu do czasu szprycujemy się nieśmiertelnością – powiedział ktoś z tłumu. – Ale ty, Palmer, jesteś nie gorszy niż dobra dawka – na twój widok bierze mnie podwójnie, to jakiś cud.

– Bogowie go zesłali, nie ma co dodać ktoś inny.

– Ej tam, co to za gadanie, że Bogowie go zesłali? To ja go ściągnąłem – zaprotestował Otto. Siedział rozwalony w starym fotelu tuż nad cembrowina, a jedna z bardziej odrażających dziewczyn glaskała go po karku. – Poza tym Palmer nie wierzy w Bogów, prawda, że nie wierzysz, Ojczulku?

– Ja ich wymyśliłem.

Wszyscy się roześmiali. Jakaś blondynka powiedziała:

– Ja wymyśliłam seks. Zaczęła się gra.

– Ja wymyśliłem stopy.

– Ja wymyśliłem rzepki kolanowe.

– Ja wymyśliłem Pommy Palmera.

– Ja wymyśliłem wymysły.

– Ja wymyśliłem siebie.

– Ja wymyśliłem sny.

– Ja wymyśliłem was wszystkich a teraz was odmyślam!

– Ja wymyśliłem Bogów – powtórzył Palmer. Uśmiechał się, ale już poważnie. – Przed waszym naradzeniem, przed narodzeniem waszych rodziców. Po to nas trzymają, Nieśmiertelników, żebyśmy wymyślali wariackie rzeczy, bo nasze mózgi nie są obciążone codziennymi myślami. Gdyby nie to, wytlukiliby nas, co do sztuki, bo Instytut Nieśmiertelności nie spełnił pokładanych w nim nadziei – okazało się, że nie rozwiązuje wszystkich problemów.

– Bogowie właściwie już nie istnieli. Wszystkim dyrygowały gigantyczne komputery, komsty zapewniały błyskawiczne połączenia, opanowano energię promienna, psychologia weszła w skład nauk ścisłych. Ludzkość zawsze, od zarania, traktowała komputery z pewnym nabożeństwem. – Ja wymyśliłem tylko tyle, żeby wszystkich pozczepiać do kupy, każdemu dać wolny przekazańnik, czyli

kapliczkę – a już mamy nowa władzę: Bogów. Podzielało natychmiast, dzięki wrodzonej człowiekowi potrzebie Boga, która przetrwała nawet w społeczeństwach naukowych, jak nasze.

– Mnie proszę nie liczyć! – krzyknął jeden z mężczyzn.. – Ja tam nie będę się pieprzyć z robotami! Ale jak ty, papciu, wymyśliłeś Bogów, to kto wymyślił całą teologię do kompletu? Też ty?

– Nie. Teologia przyszła sama. Ledwie komputery przemówiły, wszystkie stare religie wskoczyły na właściwe miejsca i przybrały odnośne formy. Musiały przetrwać, chociaż przedtem żadna nie wytrzymywała konkurencji indywidualnej odpowiedni na modlitwę. To głupie, ale... od kiedy rządzą Bogowie, nie ma wojny.

– Jak to: nie ma woźnych? – zdziwił się ktoś ze słuchaczy.

– To nie był żaden cud. To tylko ludzie. Zapytajcie Ottona. On się upiera, że wydostanie mnie z Instytutu to był cud.

Otto odkreślił się, wyciągając nos z pępka odrażającej dziewczyny.

– Nie wiem. To znaczy, tak naprawdę to nie wiem – powiedział drapiąc się po torsie. – Zawróciliśmy we łbie staremu ciciowi, to nas puścił. No więc to moja zasługa – ja jestem cudotwórcą!

– Mnie mówiłeś co innego – odezwał się Palmer, przyglądając mu się bacznie z dna basenu.

– Uważasz, że jestem bezczelny. Może i masz rację. Ale tak naprawdę, Ojczulku, to czuję, że cudów w ogóle nie ma – są tylko sprzyjające zbiegi okoliczności.

W tłumie znalazła się pewna szczupła dziewczyna, która nachyliła się teraz i niecierpliwie poklepała Palmera po żebrowatym ramieniu.

– Jeżeli rzeczywiście oddałeś nas we władzę maszyn, czy nie grozi to tym, że maszyny w końcu całkiem nas opanują?

Palmer powoli ogarnął wzrokiem dudniącą echemi halę i odpowiedział dopiero po chwili. Popatrzył na otaczającą go grupę ludzi, których większość oswoiła się już z jego obecnością i z powrotem zajęła się sobą nawzajem. Zatrzymał wzrok na Ottonie, który dla wygody zdjął z pleców kapliczkę i w sposób jednoznaczny przytulał do siebie odrażającą dziewczynę. Twarz Palmera zmięła się w szczerym uśmiechu.

– Nic się nie martw, córuś! Ludzie zawsze wykiwają swoich bogów.

Przełożyła: Jolanta Kozak

Chwila zaćmienia

Piękne kobiety o zepsutej naturze zawsze stanowiły cel moich dążeń. W ich spojrzeniu musi być posepność, a zarazem powab: tylko wtedy mogę liczyć na głębsze emocje.

Głębsze emocje – wyzwała je groza w połączeniu z pięknem. Te dwie cechy, zdają sobie z tego sprawę, dla większości ludzi leżą na przeciwnych biegunach. Dla mnie są, lub mogą być, jednym! I kiedy tak się dzieje, kiedy się zbiegają, och... cóż to za radość! A w Christianii dostrzegłem zapowiedź wielu takich obiecujących chwil.

Ale ta jedna szczególna chwila, o której chcę opowiedzieć, chwila, w której ból i uniesienie splotły się jak dwaj hermafrodyty, wzięła mnie we władanie nie kiedy obejmowałem jakąś zmysłową piękność, lecz kiedy – po długim pościgu! – zatrzymałem się na progu jej pokoju: zatrzymałem się i zobaczyłem... to widmo.

Można rzec, że zamieszkał we mnie robak. Można też rzec, że jest to metafora i że robak wypaczający mój wzrok i smak wpełznął mi do trzewi w dzieciństwie, zakażając całe moje dorosłe życie. Być może. Ale komu udało się uciec przed robactwem? Kto jest nieskażony? Kto ma odwagę nazwać się zdrowym? Kto zna inne szczęście niż uśmierzenie bólu lub poddanie się gorączce?

Ta kobieta miała na imię Christiania. To, że skazała mnie na cierpienia i pogoń, nie było bynajmniej zgodne z jej pragnieniem. Jej pragnieniem było, prawdę mówiąc, przez cały ten czas coś wręcz przeciwnego.

Poznaliśmy się na nudnym przyjęciu w ambasadzie duńskiej w jednej z pomniejszych wschodnioeuropejskich stolic. Moja twarz była jej znajoma i na jej prośbę nasz wspólny przyjaciel zapoznał nas ze sobą.

Przedstawił ją jako poetkę – w Wiedniu wyszedł właśnie drugi tomik jej wierszy. Pociągnęło ją najpierw ku mnie moje upodobanie do poezji eksponującej romantyczne udręki – oczywiście znała moje filmy.

Chociaż początkowo zwracaliśmy się do siebie po niemiecku, wkrótce okazało się – czego się zresztą domyślałem po jej wyglądzie i zachowaniu – że Christiania pochodzi z Danii tak jak ja. Zaczęliśmy rozmawiać o naszym rodzinnym kraju.

Czy powinienem próbować opisać, jak wyglądała? Była wysoką kobietą o dość pełnej figurze, miała może zbyt płaską twarz jak na wielką piękność, co przy pewnym oświetleniu nadawało jej wyraz głupoty, któremu przeczyła konwersacja Christianii. W tym czasie nosiła błyszczące, ciemne włosy,

ciemniejsze, niż zalecała ówczesna moda. Pociągnęła mnie otaczająca ją aura, rodzaj żalności w uśmiechu, który jest, jak sądzę, skandynawską spuścizną. Norweski malarz Edward Munch namalował kiedyś nagą Madonnę, udręczoną, cierpiącą, erotyczną, bladą, o bujnych kształtach, z cieniem śmierci w kącikach ust – w Christianii ta madonna otworzyła oczy i ożyła!

Wdaliśmy się w ożywioną rozmowę na temat pewnej „camera obscura”, która nadal znajduje się w Aalborghus na Półwyspie Jutlandzkim. Okazało się, że oboje byliśmy tam jako dzieci i zafascynowała nas panorama miasta Aalborg, rozciągająca się na płaskim blacie stołu dzięki maleńkiej dziurce w dachu. Powiedziała mi, że ta optyczna zabawka zainspirowała ją do napisania pierwszego wiersza, ja powiedziałem, że skierowała moje zainteresowania ku kamerom i w ten sposób ku filmowi.

Ale ledwo zamieniliśmy parę zdań, już rozdzielił nas jej mąż. Co nie znaczy, że spojrzeniem i gestem nie zdążyliśmy delikatnie acz nieomylnie zasygnalizować sobie wszystkiego co konieczne.

Wypytyjąc o nią po przyjęciu dowiedziałem się, że jest dzieciobójczynią na specjalnym leczeniu psychiatrycznym, które łączy w sobie elementy myśli Wschodu i Zachodu. Później ta pogłoska okazała się w dużym stopniu fałszywa, ale wtedy wzmogła jeszcze pragnienia, jakie obudziło we mnie nasze przelotne spotkanie.

Jakiś zgubny głos wewnętrzny mówił mi, że w jej ramionach znajdę być może cierpienie, ale i perwersyjną rozkosz, której pożądałem.

W owym czasie mogłem sobie pozwolić na pogoń za Christianią; mój ostatni film „Bezmiary” był już gotów, wymagał jeszcze tylko drobnych skrótów przed wysłaniem go na festiwal.

Tak się również złożyło, że uwolniłem się właśnie od mojej drugiej żony, wytwornej parsyjskiej damy, niefortunnej gwiazdy zarówno mojego pierwszego filmu, jak i życia; aż nazbyt szybko wyszło na jaw, że jej rozliczne talenty sprowadzają się do potocznego języka i więcej niż przeciętnej znajomości medycyny tropikalnej. Właśnie w tym miesiącu dostaliśmy rozwód i Sushila wróciła do Bombaju, umożliwiając mi oddanie się wrodzonym skłonnościom łowieckim.

Toteż zamierzałem znów podjąć uprawę mego erotycznego ogródka, a Christiania miała pierwsza zakwitnąć na jego wypieszczonej niwie.

Specyficzne pragnienia wyostrzają zmysł obserwacyjny na interesujące mnie sprawy: wystarczyła mi chwila w towarzystwie Christianii, aby zorientować się, że w pewnych okolicznościach nie będzie miała zbyt wielu skrupułów zdradzając męża i że ja mogę okazać się taką okolicznością te skryte, szare oczy mówiły mi, że ona również jakby chwytając intuicyjnie nie tylko własne pragnienia, ale i pragnienia mężczyzn i że bynajmniej nie odrzucała z góry naszej ewentualnej bliższej zażyłości.

Wobec tego bez wahania napisałem do niej, informując, że zamierzam w następnym filmie rozwinąć wątki zasygnalizowane w „Bezmiarach” i mam nadzieję stworzyć dramat rewolucyjny, którego przewodnią myśl streszcza sonet angielskiego poety, Thomasa Hardy’ego, pod tytułem: „Przy zaćmieniu księżyca”. Dodałem, że jak sądzę; jej poetyckie zdolności mogłyby być pomocne przy pisaniu scenariusza i poprosiłem o spotkanie.

W tym okresie w moim życiu działały się też inne sprawy. Do ważniejszych należały, prowadzone przez moich agentów, negocjacje z premierem jednej z zachodnioafrykańskich republik, który chciał mnie skłonić do zrobienia filmu o jego kraju. I chociaż nęciła mnie myśl o odwiedzeniu tej niezwyklej części świata – gdzie, jak czułem, sama atmosfera przepojona jest złowieszczym konglomeratem przepychu i nędzy, co powinno mi przypaść do gustu – usiłowałem wykręcić się od oferty premiera, mimo jego szczodrości, bo podejrzewałem, że bardziej potrzebny mu jest konserwatywny reżyser dokumentalny niż innowator, i że przykładą więcej wagi do wrzawy wokół mojego nazwiska niż do istoty tego hałasu. Nie dawał się jednak zniechęcić i w rezultacie unikałem jego attache kulturalnego równie gorliwie, jak gorliwie starałem się usidlić – lub dać się usidlić przez Christianię.

Wymykając się temu wielkiemu i dobrodusznemu czarnemu mężczyźnie, natknąłem się na dawnego znajomego z uniwersytetu, profesora sztuki bizantyjskiej, którego znałem od wielu lat. Właśnie w jego gabinecie, w niskim, cichym budynku uniwersyteckim z oknami patrzącymi ze ścian jak głęboko osadzone oczy, przedstawiono mi studenta o imieniu Petar. Stał przy jednej z wnek okiennych zapatrzony w wybrukowaną ulicę – niechlujny młody człowiek, nonszalancko ubrany.

Spytałem go, czemu się tak przygląda. Wskazał na starego sprzedawcę gazet, idącego wolno wzdłuż rynsztoka, który na przemian to ciągnął, to był ciągnięty przez psa na smyczy.

– Jesteśmy otoczeni historią, proszę pana! Ten budynek wzniesli Habsburgowie, a ten starzec, którego pan widzi w rynsztoku, wierzy, że jest Habsburgiem.

– Może ta wiara ułatwia mu wędrówkę w rynsztoku.

– Powiedziałbym, że utrudnia! – Po raz pierwszy na mnie spojrział. W jego jasnych oczach uderzyła mnie nadmierna dojrzałość, choć z początku zdumiał mnie jego młody wiek. – Moja matka uważa... ach nic, nieważne. W tym ponurym mieście zewsząd osaczają nas cienie przeszłości. Wszystkich naszych okien strzegą okiennice.

Słyszałem już takie sentencje z ust studentów. Później okazuje się, że właśnie po raz pierwszy czytają Schillera.

Mój gospodarz i ja wdaliśmy się w dyskusję na temat sonetu Hardy'ego; młodzieniec wyszedł w trakcie niej, oświadczając, że musi się zobaczyć ze swoim profesorem.

– Wrażliwa dusza, i udęczona – stwierdził mój gospodarz. – Kto wie, czy uda mu się zachować równowagę psychiczną do końca semestru? Osobiście będę zadowolony, kiedy wyjedzie z miasta jego matka, ta obmierzła kobieta, która ma na niego niewątpliwie zły wpływ.

– W jakim sensie zły?

– Krążą pogłoski, że kiedy Petar miał trzynaście lat... oczywiście nie twierdzą, że jest choćby szczypta prawdy w tym obrzydliwym gadaniu... i został lekko ranny w wypadku samochodowym, jego matka leżała przy nim... nie ma w tym nic nienaturalnego... ale plotka głosi, że to co potem między nimi zaszło, było nienaturalne. Prawdopodobnie to wszystko bzdury, niemniej jest rzeczą niewątpliwą, że Petar uciekł z domu. Jego biedny ojciec, który jest postacią publiczną... takie wstrętne opowieści zawsze obracają się wokół postaci publicznych...

Czując przyspieszone bicie serca spytałem o nazwisko chłopca, które przedtem chyba nie padło. Tak! Błdy młodzieniec, który czuł się osaczony cieniami przeszłości, to syn Christianii! Naturalnie ta złowieszcza historia tylko wzmogła jej atrakcyjność w moich oczach.

Nic nie powiedziałem i dalej ciągnęliśmy dyskusję o angielskim sonecie, któremu coraz bardziej miałem ochotę poświęcić film. Czytałem go kilka lat temu w węgierskim tłumaczeniu i od razu – wywarł na mnie wielkie wrażenie.

Streszczenie wiersza to absurd, ale treść tego sonetu równie głęboko utkwiała mi w pamięci, jak jego poważny i uroczysty styl. W skrócie poeta obserwuje półkolisty cień Ziemi zachodzący na powierzchnię Księżyca; widzi ten nikły profil i trudno mu powiązać go z kontynentami pełnymi cierpień, które, jak wie, ów cień oznacza; zastanawia się, jak to możliwe, że cała przeogromna scena ludzkich dramatów rzuca tak mały cień i zadaje sobie pytanie, czy nie jest to właśnie prawdziwa zewnętrzna miara wszystkich ludzkich dążeń i nadziei? Tak ściśle współbrzmiało to z pytaniami, które sam sobie zadawałem przez całe życie, tak pięknie było ujęte, że ten sonet stał się czymś bardzo cennym dla mnie i dlatego chciałem go zburzyć i poskładać na nowo w ciąg wizualnych obrazów wyrażających dokładnie ten sam ciąg pełen skojarzeń przymierza grozy i piękna w wierszu.

Jednakże mój gospodarz uważał, że sekwencja scen, które mu odmalowałem jako zdolne przekazać ten tajemniczy związek, daje się zbyt łatwo podciągnąć pod kategorię science fiction i że lepsze by było bardziej tradycyjne, podejście, tradycyjne, a zarazem wnikliwsze, coś bardziej do wewnątrz niż na zewnątrz, jakby ubranie w klasyczny strój moich romantycznych rozpaczy. Jego zastrzeżenia rozżłościły mnie. Rozżłościły mnie, i zdałem sobie z tego sprawę od razu, bo w tym, co powiedział, było sporo racji; forma nie powinna być przeszkodą lecz pomocą w uchwyceniu zasadniczego sensu utworu. Długo rozmawialiśmy, głównie o problemach filozoficznych związanych z przedstawianiem jednego zespołu zjawisk przez inny, co jest zadaniem całej sztuki – przetworzenie, bez którego nie ma punktu odtworzenia. Kiedy wychodziłem z uniwersytetu, zmierzchało. Poczułem coś w rodzaju rozpaczy na widok zapadającego mroku i jeszcze jednego kończącego się dnia wobec dalekiego od końca dzieła mego życia.

Na opadającej stromo uliczce, pod figurką Matki Boskiej we wnęce domu kręcił się stary sprzedawca gazet Petara, ze swoim wynędzniałym psem przy nodze. Kupiłem od niego gazetę, i z drżeniem uzmysłowiłem sobie, że jego obraz widziany z głęboko osadzonego okna uniwersytetu splótł mi się w myślach z obrazem tej perwersyjnej madonny, której żądze, cichym szeptem omawiane za jej strzelistymi plecami, zdołały ożywić wyobraźnię nawet takiego zasuszonego pedanta jak mój przyjaciel w jego uczonej celi!

I jakby ten przypadkowy zbieg okoliczności był wątkiem powieści snutej w umyśle jakiejś nadziejskiej istoty, jakbyśmy byli niczym więcej niż pył marny wobec siły, której sam Thomas Hardy mógłby dać posłuch, kiedy z nietkniętą gazetą pod pachą dotarłem do hotelu, w słabo oświetlonym hallu w przegrodce na listy znalazłem bijący blaskiem, krzyczący, cichy list od Christianii. Wiedziałem, że to od niej! Istniała między nami tajemna nić porozumienia!

Wrzuciwszy gazetę do najbliższego kosza na śmieci, poszedłem z listem na górę. Stopy grzęzły mi w puszystym dywanie utrudniając bieg po schodach, serce waliło jak młot. Czyż nie była to – tak tłumaczyłem sobie później! – jedna z tych niezapomnianych chwil, w których ból i rozkosz nierozłącznie się splatają? Bez względu bowiem na treść listu, skoro tylko ją poznam, to niczym szybko działająca trucizna wprowadzona do krwi, pobudzi mnie do innego zachowania i innych uczuć.

Wiedziałem, że muszę mieć Christianię, przemawiała za tym siła mego wzburzenia, większego niż się spodziewałem; wiedziałem także, że jestem tu zarówno myśliwym, jak i zwierzyną. Czyż nie to stanowi o sensie życia: krańcowe przetworzenie? Czyż – jak w angielskim sonecie wielkie nie jest również nieskończenie małym, a małe nieskończenie wielkim?

Ledwo znalazłem się w pokoju, zamknąłem drzwi na klucz, położyłem kopertę na stole i usiadłem. Rozciąłem kopertę nożem do papieru i wyjąłem jej – jej! – list.

Pisała krótko. Jest bardzo zainteresowana moją propozycją i możliwościami, jakie się za nią kryją.

Niestety, pod koniec tygodnia, już pojutrze wyjeżdża z Europy, ponieważ jej mąż obejmuje posadę rządową w Afryce. Żałuje, że nasza znajomość się nie pogłębi.

Złożyłem list i położyłem na stole. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie jego ukryte żądło. Chwyciłem list i przeczytałem od nowa. Ona i jej mąż zamieszkają – tak! – w stolicy tejże republiki, z której premierem prowadziłem długie pertraktacje. Właśnie dziś rano napisałem w końcu do jego attache kulturalnego oznajmiając, że zrobienie proponowanego filmu leży poza granicami moich możliwości i zainteresowań!

Tej nocy niewiele spałem. Rano, kiedy przyszli do mnie przyjaciele, kazałem powiedzieć sekretarzowi, że jestem chory. I rzeczywiście byłem chory, chory na niemożność działania, a jednocześnie chory na myśl, że mógłbym pozwolić takiej okazji wymknąć mi się z rąk. Niewątpliwie pomyśl, aby ściągać tę kobietę, tę przewrotną madonnę, na drugi kontynent był perwersyjny; tu, w zasięgu ręki, były inne kobiety, z którymi mogłem osiągnąć mroczne tajniki porozumienia, gdybym tylko zechciał podnieść słuchawkę nieco staroświeckiego telefonu przy łóżku. I zapewne również perwersja nie pozwoliła mi dotąd podjąć decyzji.

Ale w południe podjąłem ją. Z odległości Księżyca Europa i Afryka dadzą się ogarnąć jednym rzutem oka; moja zguba jest równie mało znacząca – pojedę za nią korzystając z okazji, która jakby tylko na to czekała.

Toteż wystosowałem list do dobrodusznego czarnego attache, w którym pisałem, że żałuję wczorajszej decyzji, wyjaśniłem, że ten nie przemyślany krok zaważył na całkowitej zmianie mojego nastawienia i oznajmiłem, że chętnie zrobię proponowany film. Prosiłem, aby zechciał spotkać się ze mną jak najszybciej. I natychmiast posłałem mu ten list przez gońca.

Teraz nastąpił okres oczekiwania, który starałem się jak najdzielniej przetrwać. Dwa następne dni spędziłem zamknięty w lokalu wynajętym w cichej dzielnicy miasta, dopracowując „Bezmiary”. Byłem zadowolony z tego filmu, ale – jak każdy artysta – traktowałem go tylko jako etap w drodze ku następnemu dziełu. Myśli moje zaprzętały już obrazy Afryki.

Pod koniec drugiego dnia przerwałem samotność i wyszedłem spotkać się z przyjacielem. Zwierzyłem mu się ze swojego gniewu na attache, który nie raczył mi odpowiedzieć teraz, kiedy tak mi pilno wyjechać. Przyjaciel się roześmiał.

– Ależ twój sławetny attache wrócił do kraju w niełasce! Okazało się, że kradł fundusze. Wielu z nich tak postępuje, niestety. Nie są przyzwyczajeni do rządzenia! Przedwczoraj rozpisywały się o tym wszystkie wieczorne gazety – niezły skandal! Będziesz chyba musiał napisać do samego premiera.

Teraz zrozumiałem, że to nie jest taka sobie zwykła historia. Do centralnego punktu przyciągania wiodły linie magnetyczne, podobnie jak zdaniem Remy de Gourmont cętki na futrze niektórych wytwornych samic z rodziny kotów biegną nieodmiennie ku ich organom płciowym. Było rzeczą oczywistą, że muszę znaleźć się w tym przemożnym układzie. Zrobiłem to pisząc czym prędzej – czym prędzej pożegnawszy się ze swoim przyjacielem – do odległego polityka w odległym mieście afrykańskim, do którego właśnie tego wieczoru zmierzała moja złowroga dama.

Nie będę się rozpisywał o okrutnych dniach zwłoki, które nastąpiły. Niełaska, w jaką popadł attache kulturalny (i nie on jeden) miała swoje reperkusje w odległej stolicy i moja osoba, wmieszana w tę sprawę, nie była mile widziana. W końcu jednak nadszedł oczekiwany list z zaproszeniem do zrobienia filmu; godzono się na wszelkie moje warunki i obiecywano wszelkie udogodnienia. Był to list, który człowieka o mniej przewrotnej naturze uszczęśliwiłby bez reszty!

Przygotowania do wyjazdu, przekazanie instrukcji mojemu sekretarzowi i załatwienie pewnych spraw zajęło mi tydzień. Właśnie wtedy odbył się głośny festiwal filmowy, na którym „Bezmiary” doznały takiego przyjęcia przez krytykę, jakiego się spodziewałem, to znaczy pochlebcy schlebiali, wybrzydzące wybrzydździ, a jedni i drudzy przypisywali filmowi własności, których nie miał i ignorowali te, które miał pewien krytyk dopatrywał się w nim nawet trawestacji mitu o wędrowce Adama i Ewy po wygnaniu z raju! Doprawdy oczy krytyków, ze swą sławetną optyką, widzą tylko to, co chcą widzieć!

W końcu i te irytujące chwile minęły. Wraz z trzyosobową ekipą wsiałem na pokład odrzutowca odlatującego do Lagos.

Zdawało się, że długo oczekiwany, kulminacyjny moment nie może już być zbyt odległy, ani w czasie, ani w przestrzeni. Ale tu weszły mi w drogę nieprzewidziane wypadki.

Kiedy przybyłem na miejsce, okazało się, że stolica afrykańska jest w stanie wrzenia; w dzień odbywały się demonstracje i zamieszki, a w nocy obowiązywała godzina policyjna. Nasza grupa została praktycznie przykuta do hotelu, a politycy mieli o wiele ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się jakimś tam filmowcem!

W takim mieście nie ma nadziei na należyte zaspokojenie żadnej z ludzkich potrzeb – prócz jednej. Dobrze pamiętam swój pobyt w Trieście podczas podobnych rozruchów. Przeżywałem wtedy dramatyczny i płomienny romans z kobietą niemal dwa razy ode mnie starszą – ale miałem wówczas połowę tych lat co dziś! – i wszelkie wstrząsy, niepokoje życia publicznego, tajemnicze chwile ciszy i

równie tajemnicze wybuchy zamętu, które wdzierały się przez okno niczym wiatr, stanowiły rozkoszny kontrapunkt dla rytmu życia osobistego i tych obezwładniających przerw, które są nieuniknione w kontaktach z piękną zamężną kobietą. Toteż zrobiłem dyskretny wywiad przez swoją ambasadę co do miejsca pobytu Christianii.

W republice dokonywał się właśnie rozłam: na chrześcijańskie Południe i muzułmańską Północ. Męża Christianii wysłano na Północ, a jego żona mu towarzyszyła. Z powodu zamieszek i zburzenia strategicznego mostu nie było mowy, abym w najbliższym czasie mógł za nimi podążyć.

Obawiam się, że może to zabrzmieć jak przykry dysonans, jeśli wyznam, że w tej sytuacji zapomniałem o Christianii, jedynej przyczynie mojego pobytu w tym miejscu i na tym kontynencie. Niemniej zapomniałem o niej; nasze pragnienia, zwłaszcza pragnienia artystów, są zmienne: zamierają czasem i nigdy nie wiemy, kiedy znów dadzą o sobie znać. Perwersyjny chochlik, kuszący mnie do złego, ucichł. Jeśli chodzi o mnie, zburzonego mostu nigdy nie odbudowano.

Gdy tylko wojsko zdecydowało się poprzeć rząd (a stało się to zaraz po rozstrzelaniu dwóch pułkowników), rozruchy zdławiono. I chociaż ludność nadal była nastawiona buntowniczo, przywrócono jaki taki porządek. Obwieziono mnie wtedy po okolicy. I naraz ujrzałem całe piękno i grozę tego miasta i spustoszonego kraju.

Nie miałem poprzednio zielonego pojęcia o Afryce Zachodniej. Nikt nic mi o niej nie opowiadał. I to właśnie zafrapowało mnie teraz jako reżysera. Oto leży przede mną dziewiczy teren, z którego można robić wypadki w stronę wielkiej niewiadomej. Jest też wszechobecne, a tak pociągające mnie piękno trawione rozpaczą – choć wyrażoną w obcym dialekcie. Moim zadaniem było przetłumaczyć ten dialekt, przemieścić wizję.

Byłem tak pochłonięty pracą, że wszystkie sprawy związane z moim krajem, z Europą, z całym zachodnim światem, gdzie moje filmy chwalono lub wygwizdywano, z całą kulą ziemską, pozostały na boku; interesował mnie tylko ten mały niespokojny zakątek (w którym, prawdę mówiąc, tamte wydarzenia odbijały się nikłym echem). Tu znajdowałem radość tworzenia, tu mogłem dokonać czegoś więcej niż nakręcenie martwej interpretacji sonetu Hardy'ego. Względność tego co ważne zyskała teraz nowe parametry!

W miarę jak sytuacja polityczna się polepszała, ja zaczynałem się wypuszczać coraz dalej w głąb kraju, zupełnie jakby istniał bezpośredni związek między tymi dwoma faktami. Przydzielono mi do dyspozycji myśliwego z plemienia Ibo, na którym mogłem polegać.

Chociaż w swojej twórczości zawsze zajmowałem się człowiekiem i sądziłem, że przyroda mnie nie interesuje, busz dziwnie mnie poruszył. Wstawałem o świcie nie bacząc na katusze zadawane przez czynne od brzasku muchy i obserwowałem olśniewające światło znów zalewające świat, czerpiąc radość ze świadomości, że jestem jednocześnie najmniej i najbardziej ważnym z ziemskich stworzeń. Obserwowałem – a później filmowałem – jak rozlewające się światło budzi do życia nie tylko muchy, ale całe wioski.

Tak, to były niezapomniane dni i ranki! Jeszcze dziś przenika mnie dreszcz, gdy o nich myślę.

Zalóżmy – jak by to powiedzieć? – założmy, że w czasie kręcenia „Dni zaćmienia” w Afryce jedna strona mojej natury była tak pochłonięta (strona, która nigdy przedtem nie wychyliła się na światło dzienne), że ta druga przysnęła? Nie zetknąłem się dotąd z żadną zadowalającą teorią rozwoju osobowości, nie mogę więc uciec się do żadnego modnego żargonu. Pozwólcie zatem, że powiem brutalnie: czarne piękności, dzięki swej ciemnej skórze, niezwykłym kształtom i nieznanemu smakowi miały mi do zaofiarowania dość nowych wrażeń, by utrzymać moją potrzebę głębszych cierpień na wodzy. Te przelotne związki pomogły mi także przepędzić okutanego w sari ducha mojej drugiej żony.

Na jakiś czas stałem się niemalże innym człowiekiem; na obszarach, gdzie przede mną moi pobratymcy jedynie strzelali do zwierząt, ja stałem się badaczem psyche – i byłem w stanie zrobić film wolny od moich dotychczasowych perwersyjnych fantazji.

Wiedziałem, że stworzyłem arcydzieło. I kiedy już „Dni zaćmienia” stały się skończonym arcydziełem, a ja po powrocie do Kopenhagi omawiałem ostatnie szczegóły premiery, reżim, który udzielił mi tyle pomocy, upadł; premier uciekł do Wielkiej Brytanii, a muzułmańska Północ odcięła się od chrześcijańskiego Południa. Ja zaś, związany już z inną kobietą, byłem znów dawnym europejskim sobą, tylko trochę starszym, trochę bardziej zmęczonym.

Dopiero po dwóch latach znów trafiłem na ślad mojej przewrotnej madonny, Christianii. Wtedy już linie magnetyczne, zdawało się, całkiem zanikły, i – gwoli prawdy – nigdy nie miałem zażyć z nią rozkoszy, jak to sobie ukartowałem: ale magnetyzm czai się pod skórą i wychodzi na powierzchnię w dziwnych okolicznościach; niewidzialne nagle na naszych oczach przyobleka się w ciało, a zgroza potrafi wywołać większy dreszcz emocji niż dane jest to pięknu.

Powodziło mi się teraz znacznie lepiej – co nie pozostawało bez związku z upadkiem moich sił twórczych. Świadom, że na razie powiedziałem, co miałem do powiedzenia, kręciłem teraz kolorowe

fabułki, wykorzystując w nich w uproszczonej formie niektóre z moich starych trików, i w konsekwencji zostałem uznany przez szeroką publiczność za śmiałego nowatora. Przeżyłem niejedno i spędzałem właśnie lato żeglując na moim jachcie „Fantastyczna Wenus” po Morzu Śródziemnym.

Popijaliśmy w małej francuskiej restauracyjce na nadbrzeżu, gdy uwagę towarzystwa zwróciło zachowanie pary przy sąsiednim stoliku, przy którym jakiś młodzieniec klócił się z kobietą, najwyraźniej jego kochanką, i to o wiele starszą. Nic w wyglądzie tego chłopca nie poruszyło we mnie struny wspomnień, ale nagle on sam znudził się dokuczaniem swojej towarzysze i podszedł do mnie przedstawiając się jako Petar i przypominając mi nasze przelotne spotkanie przeszło trzy lata temu. Był pijany i niezbyt sympatyczny. Czuję, że w głębi ducha mnie nie lubi.

Bardziej nas zaintrygowała towarzyszka Petara, kiedy i ona podeszła i przedstawiła się. Była to międzynarodowa sława ze świata filmu, gwiazda, której występy w ostatnich latach ograniczały się, można powiedzieć raczej do łóżka niż do ekranu. Ale stanowiła pikantne towarzystwo i niosła ze sobą powiew skandalu wystarczająco gorszący, aby zastąpić dowcip.

Od razu zepchnęła swojego pijanego chłopca na dalszy plan. Wyciągnąłem od niego, że jego matka zatrzymała się niedaleko, w znanym hotelu. W tym zepsutym mieście łatwo było folgować swoim zachciankom. Wymknąłem się z towarzystwa, wezwałem taksówkę i po chwili znalazłem się przed nie zmienioną Christianią, oddychałem powietrzem, którym ona oddychała. Ciężkie powieki osłaniały oczy mojej madonny. Z jej spojrzenia wyczytałem przeznaczenie, które zdawało się gonić mnie od lat. Była echem czegoś straconego, czegoś co należało wskrziesić i prześledzić tak dogłębnie, jak to jest możliwe.

– Jeżeli pojechał pan za mną aż do Afryki, to wydaje się nieco banalne, że spotykamy się w końcu w Cannes – powiedziała.

– To Cannes jest banalne, nie nasze spotkanie. Miasto jest tutaj dla naszej wygody, tylko samo wydarzenie musiało poczekać.

Zmarszczyła brwi patrząc na dywan i odparła:

– Nie jestem pewna, jakie wydarzenie ma pan na myśli. Ja nie planuję żadnych wydarzeń. Po prostu zatrzymałam się tu z przyjacielem na kilka dni przed wyjazdem do jakiegoś spokojniejszego miejsca. Życie bez wydarzeń szczególnie mi służy.

– Czy pani mąż...

– Nie mam męża. Rozwiodłam się jakiś czas temu... przeszło dwa lata temu. Związany był z tym spory skandal, dziwne, że pan nie słyszał.

– Nie, nic nie wiedziałem. Musiałem przebywać wtedy w Afryce. Afryka jest praktycznie dźwiękoszczelna.

– Pańskie przywiązanie do tego kontynentu jest bardzo wzruszające. Widziałam pański film. I to niejednym razem, muszę się przyznać. To bardzo interesujące dzieło, czy też raczej należałoby powiedzieć dzieło sztuki, ale... – Jakże ma pani zastrzeżenia?

Odparła:

– Wydaje mi się, że czegoś mu brak.

– Tak jak i mnie. Ciebie mi brak, Christianio, ciebie, której obraz prześladowa mnie od tak dawna! – powiedziałem gorąco i wcale nie tak ogródkami, jak zamierzałem.

Stała przede mną i życie znów pchało mnie ku jej zagadkom. Ale jest tutaj z przyjacielem, zauważyła. Musiał właśnie wyjechać z Cannes w ważnych interesach (jak zrozumiałem, był ministrem któregoś z rządów, kimś ważnym), ale wraca rannym samolotem.

W końcu, powoli, wyłonił się pomysł wspólnej kolacji – teraz już ścisnąłem ją za rękę – na „Fantastycznej Wenus”, przy czym nie zaniebaliśmy dodać, że kabina sąsiadująca z moją jest wolna i w każdej chwili gotowa służyć gościowi, który zechciałby spędzić noc na pokładzie, a wczesnym rankiem powrócić do domu na długo przedtem, zanim pierwszy samolot zacznie krążyć nad zatoką.

I tak dalej, i tak dalej.

Zapewne niewielu jest mężczyzn – czy też kobiet – nie znających tego szczególnego uczucia kontrolowanej ekstazy wywołanej obietnicą spełnienia seksualnego, kiedy to wszelkie przeszkody są niczym, a logiczne obiekcje, którym zwykle ulegamy – mniej niż niczym. Poruszamy się w takich wypadkach jak we śnie; jesteśmy, jak to się mówi, opętani; opętani myślą o bliskiej zdobyczy.

Charakterystyczne dla stanu opętania jest to, że później niewiele z niego pamiętamy. Ja pamiętam tylko szybką jazdę przez zatłoczone miasto, podczas której zauważyłem, że małe kino studyjne wyświetla „Dni zaćmienia”. Ten delikatny zapis światła i cienia przetrwał dłużej, okazał większą żywotność niż republika, o której opowiadał! Pamiętam, jak pomyślałem, że chętnie upokorzyłbym tego aroganckiego smarkacza Petara pokazując mu ten film. „Kit mu w oko” – pomyślałem, rozbawiony tym wyrażeniem i zazdrosny o to, co te oczy miały okazję widywać.

Mój obsesyjny stan pomógł mi pokonać wszelkie przeszkody. Towarzystwo dało się łatwo namówić na zakosztowanie nocnych wrażeń w mieście, a załoga była oczywiście aż nadto szczęśliwa, że może

się ulotnić. Siedziałem nareszcie sam na środku jachtu, wypełnionego moim oczekiwaniem, z przyjemnością wsłuchując się w ciche odgłosy zatoki. Dobiegała mnie muzyka z innych statków w porcie, podkreślając jakby moją niewzruszoną samotność.

Patrzyłem jak słońce topi się w morzu; jego obraz na chwilę zamglila chmura, zanim zgasło i zaczęły się dziwy wieczoru. To słońce – niczym swój własny negatyw – rzucało nasz cień daleko w przestrzeń: wieczna ciemność rozciągnęła się nad kulą ziemską, ciemność nieprzewyciężona, pasożytnicza, żądająca połowy ludzkiej natury!

Właśnie wtedy, kiedy te i inne wrażenia, nie tak nieprzyjemnego rodzaju, przenikały mój umysł, ogarnęło mnie nagłe drżenie. Opanował mnie dziwny niepokój, nieopisany „frisson”. Ścisnąłem oparcie fotela i walczyłem o odzyskanie przytomności. Miałem makabryczne uczucie, że – dokładnie takie określenie przyszło mi wtedy do głowy – że coś we mnie po cichu zamieszkało, zupełnie jak ja po cichu zamieszkiwałem w tym momencie pusty statek.

Co za chwila dla duchów! A przecież moja randka była dla ciała!

Otrząsnąwszy się nieco z pierwszej fali strachu, usiadłem. Odległa muzyka biegła ku mnie po ciemnoszarej wodzie. Kiedy przesunąłem ręką po zamglonych oczach, zobaczyłem, że na dłoni odcisnął mi się wzór trzcinowej poręczy fotela. To jeszcze umocniło we mnie poczucie, że moje ciało nie tylko udziela gościny widmu, ale samo jest niematerialne, zbudowane z nieskończonej, przesuniętej przestrzeni, a nie z krwi i kości.

Cóż za straszne samopoczucie, tak odmienne od mojego poprzedniego stanu! I kiedy walczyłem, żeby się z niego wyzwolić, moja drapieżna zdobycz wkroczyła na pokład. Cały jacht poddał się delikatnie jej krokom i usłyszałem, że mnie woła.

Z wielkim wysiłkiem otrząsnąłem się z niesamowitego nastroju i podszedłem, żeby się z nią przywitać. Chociaż moja ręka była wciąż chłodna, kiedy ujmowałem jej ciepłą dłoń, nieprzeparta siła Christianii wzięła mnie we władanie. Ciężkie powieki zmysłowej madonny Muncha uniosły się i zobaczyłem w jej spojrzeniu, że ta imponująca i niezwykła kobieta jest skłonna ulec mojej woli. – To spotkanie ma w sobie coś z atmosfery Wenecji – powiedziała z uśmiechem. – Powinnam była przyjść w dominie!

Ten niewinny żart podzielał niezwykle mocno na moją wyostrzoną wrażliwość. Wyobraziłem sobie, że można go interpretować jako znak, iż Christiania gra jakąś rolę; wszystkie moje nadzieje i obawy skupiły się na jednym: jaką rolę – pełnego triumfu czy gorzkiego upokorzenia wyznaczyła mi w swoich erotycznych marzeniach?

Kiedy zeszedliśmy do przyćmionego baru na rufie wznieść toast za nasze zdrowie, rozmowa toczyła się żywo, a nawet wesoło. Widziałem, że jest zdenerwowana i świadoma, iż podjęła nieodwracalną decyzję tak się kompromitując: ale to zdenerwowanie było jakby częścią głębszej przyjemności. Po sposobie, w jaki się ku mnie nachylała, bez trudu odgadłem, co zaprzęta jej myśli, toteż stopniowo zmierzając do celu zaprowadziłem ją wreszcie do sąsiadującej z moją kabiny.

I w tym momencie znów owładnęło mną to przerażające uczucie, że okupuje mnie obca siła! Tym razem było to bolesne i kiedy zapaliłem światło, przez prawe oko przebiegł mi oślepiający skurcz, zupełnie jakbym spojrzął na jakąś zakazaną scenę.

Chwyliłem się ściany. Christiania właśnie w tym momencie wysunęła jakiś absurdalny warunek, od realizacji którego uzależniła swoje łaski; zdaje się była to jakaś niedorzeczność dotycząca jej syna, Petara; jednocześnie wyciągnęła do mnie ręce. Znalazłem jakąś wymówkę – byłem pewien, że już po mnie! – bąknąłem, że przygotuję się w swojej kabinie, poprosiłem ją, aby się czuła jak u siebie i chwilnie wyszedłem trzęsąc się jak jesienny liść.

W mojej kabinie, a raczej w łazience, migotało na drzwiach odbicie iluminatora rzucane przez odbłask światła mola na wodzie. Nie pragnąc lepszego oświetlenia podszedłem do lustra, żeby się sobie przyjrzeć i zwrócić z niemym pytaniem do swojej ściągniętej twarzy.

Co mi dolega? Co za nagła choroba, jaka zmora zaskoczyła mnie napadła mnie – w tak radosnej chwili?

Z lustra spojrzęło na mnie moje odbicie. I wtedy: coś zaćmiło mi wzrok od środka...

Nie da się wyrazić takiego przeżycia! Coś się poruszało, zaciemniało mi obraz równie miarowo i nieuchronnie jak zakrzywiony cień w sonecie Hardy'ego. I kiedy wlepiąłem z wysiłkiem wzrok w otoczoną złocistą poświatą twarz w lustrze, zobaczyłem jak w moim oku porusza się cień, wolno – och, nieskończenie wolno! – przesuwając się po gałce ocznej przez tęczę z północy na południe.

Cierpiałem niewysłowione fizyczne i psychiczne katusze. Co gorsza, przeszył mnie strach przed śmiercią – przed jej nowym obliczem: równie obolałymi oczyma ujrzałem wyraźnie, jak wszystkie moje przyjemności, cielesne i duchowe, wszystkie uzdolnienia pochłania ostateczny, chłodny cień grobu.

Tam, przy lustrze, jakbym wrósł w ziemię, przeżywałem w samotności i przerażeniu mękę skurczów, które wstrząsały moim ciałem, tak wycutym z normalnej wrażliwości zmysłowej, że nie słyszałem nawet własnego krzyku. A ta straszna rzecz przesuwała mi się po gałce ocznej, biorąc mnie w

posiadanie!

Przez jakiś czas leżałem na podłodze na wół omdlały, nie mogąc ani stracić przytomności, ani się ruszyć.

Kiedy w końcu zdołałem wstać, okazało się, że przeczołgałem się do kabiny. Była już noc. Wzdłuż sufitu goniły się i znikwały migotliwe refleksy. Z trudem zapaliłem światło i raz jeszcze zbadałem naruszone terytorium mojego wzroku. Potworna rzecz zniknęła. Pozostawiła po sobie podrażnienie w oku, ale nie ból.

Christiania też zniknęła – uciekła, jak się później dowiedziałem, gdy usłyszała moje pierwsze wrzaski, przypuszczając może w poczuciu winy i w przerażeniu, że jej mąż wynajął mordercę, żeby pilnował jej wątpliwej cnoty!

Ja także musiałem odejść! Nie mógłbym znieść tego jachtu ani dnia dłużej! Ale niczego nie mogłem znieść, nawet własnego ciała, gdyż poczucie, że coś we mnie mieszka, ciągle mi towarzyszyło. Czuję się człowiekiem wyrzuconym poza nawias społeczeństwa. Powodowany skrajną rozpaczą poszedłem do duchownego tej religii, którą wiele lat temu porzuciłem; miał mi do zaoferowania tylko frazesy o poddaniu się woli Boga. Pojechałem do Wiednia, do człowieka, który zawodowo zajmował się leczeniem chorych umysłów – ten potrafił mówić jedynie o poczuciu winy.

Niczego nie mogłem już znieść w żadnym ze znanych mi miejsc. Pod wpływem impulsu wsiadłem do samolotu i poleciałem do tego kraju afrykańskiego, w którym kiedyś byłem szczęśliwy. Chociaż republika upadła, istniejąc teraz tylko w moim filmie, ziemia pozostała nie zmieniona.

Mój stary znajomy, myśliwy z plemienia Ibo, jeszcze żył; odszukałem go, zaoferowałem dobrą zapłatę i poszliśmy w busz tak jak poprzednim razem.

To, co mną zawładnęło, poszło także. Teraz już zdążyliśmy się bliżej poznać, To i ja. Od czasu do czasu pokazywało mi się, chociaż nigdy w sposób tak przerażający, jak wtedy, gdy zaćmiło moje prawe oko. Wędrowało po mnie, chodząc na długie krecie wycieczki w moim ciele, żeby się nagle pojawić tuż pod skórą, ciemne, nieokreślone, to na ręce, to na piersi, to na nodze, a raz – i wtedy znów doświadczyłem bólu połączonego z grozą – w moim członku.

Prześladowały mnie też dziwne guzy, które pęczniały gwałtownie do wielkości kurzego jaja, aby po kilku dniach zupełnie zniknąć. Czasem tym ohydny nabrzmieniem towarzyszyła gorączka, zawsze ból. Byłem wycieńczony, zużyty – i przez coś używany.

Starłem się jak mogłem ukryć przed światem te potworne objawy. Ale w przypływie gorączki pokazałem nabrzmienia mojemu wiernemu myśliwemu. Zabrał mnie – nie bardzo sobie nawet zdawałem sprawę, dokąd idę – do lekarza Amerykanina, który praktykował w pobliskiej wiosce. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości! – powiedział lekarz już po pobieżnym zbadaniu. – Zakaził się pan pasożytem Loa loa. To robak o długim okresie inkubacji, trzech albo i więcej lat. Ale pan przecież nie przebywa w Afryce od tak dawna?

Wyjaśniłem mu, że byłem już w tych okolicach poprzednio. – Wobec tego wszystko jasne! To wtedy nastąpiło zakażenie. Patrzyłem na niego bez słowa. Należał do innego świata, w którym każdy fakt ma tylko jedno jedyne wytłumaczenie.

– Nosicielami Loa loa są krwiożercze muchy, których pełno w tej okolicy – powiedział. – Największą aktywność przejawiają o świcie i późnym popołudniem. Larwa Loa loa dostaje się do krwi przy ukąszeniu. Potem następuje trzy – , czteroletni okres inkubacji, zanim wkroczy w fazę dojrzałą. To się nazywa prawdziwie chytra, prosta metoda!

– A więc mówi pan, że mieszka we mnie robak!

– Udziela pan bezwiednie gościny dorosłemu już pasożytniczemu robakowi o wędrownych zwyczajach i znanej skłonności do tkanki podskórnej. Stąd te obrzęki. To rodzaj reakcji alergicznej.

– A więc nie cierpię na żadne tak zwane zaburzenia psychosomatyczne?

Roześmiał się.

– Robak jest jak najbardziej prawdziwy. Co więcej, może przeżyć w pańskim organizmie do piętnastu lat.

– Do piętnastu lat! Ten straszny potwór ma mnie dręczyć przez piętnaście lat?

– Nic podobnego! Wyleczymy pana lekarstwem zwanym diethylcarbomazyna i wkrótce będzie pan całkiem zdrow.

Co za zdumiewający optymizm – „wkrótce będzie pan całkiem zdrow!” – no cóż, ze swojego punktu widzenia miał rację, chociaż jego cudowne lekarstwo miało pewne nieprzyjemne skutki uboczne. Ale na to się nie zamierzam skarżyć: całe życie ma nieprzyjemne skutki uboczne. Może i właśnie ten wątek rozwijam w filmie, który teraz robię – może sama świadomość jest tylko skutkiem ubocznym, można powiedzieć trikiem światła, jako że my, ludzie, zaszyty w naszych norach, tylko przypadkiem wychylamy się czasem na powierzchnię w sytuacji i w chwili, kiedy dane nam jest przeżyć głębszą chwilę wzruszeń.

Podczas swoich mrocznych podziemnych wędrówek nie spotkałem już nigdy fatalnej Christianii (do

której moja awersja rosła, nie była jednak wystarczająco silna, żeby stać się pokusą!); ale jej syn, Petar, wciąż bawi się w eleganckich miejscowościach pod śródziemnomorskim słońcem, od czasu do czasu dając znać o swym istnieniu szerokiej publiczności za pośrednictwem kroniki towarzyskiej. Przełożyła Blanka Kuczborska

Człowiek ze swoim czasem

Jego nieobecność

Janet Westermark obserwowała uważnie trzech obecnych w gabinecie mężczyzn: dyrektora Instytutu, który miał właśnie zniknąć z jej życia, psychologa, który miał w nie wkroczyć, i męża, którego życie biegło równoległe z jej życiem, a jednak całkiem osobno.

Nie tylko ona pochłonięta była obserwacją. Psycholog Clement Stackpole siedział zgarbiony w fotelu, silnymi brzydkimi dłońmi obejmując kolana i wysuwając do przodu małą, inteligentną twarz, żeby lepiej widzieć Jacka Westermarka – nowy przedmiot swoich badań.

Dyrektor Instytutu Badań Psychiczych mówił głośno i z ożywieniem. Rzeczą charakterystyczną było, że tylko Jack Westermark sprawiał wrażenie, jakby był tu nieobecny.

Szczególny przypadek, niepokój

Ręce jego spoczywały bez ruchu na kolanach, ale był niespokojny, mimo że najwyraźniej panował nad niepokojem. „Zupełnie jakby znajdował się w tej chwili gdzie indziej i wśród innych ludzi” – pomyślała Janet. Zauważyła, że spojrzał na nią, kiedy właściwie nie patrzyła na niego, ale zanim odwróciła mu spojrzenie, już odwrócił oczy i znów zamknął się w sobie.

– Wprawdzie pan Stackpole nie miał dotąd do czynienia z takim szczególnym przypadkiem jak twój – mówił dyrektor – ale ma ogromne doświadczenie. Wiem...

– Dziękujemy bardzo, oczywiście – powiedział Westermark zakładając ręce i pochylając lekko głowę.

Dyrektor sprawnie zanotował tę uwagę, wpisał obok niej dokładny czas i mówił dalej:

– Wiem, że pan Stackpole jest zbyt skromny, żeby miał sam o tym mówić, ale wspaniale nawiązuje kontakt z ludźmi i...

– Jeżeli uważasz to za konieczne – przerwał Westermark – chociaż na jakiś czas mam dość oglądania waszej aparatury.

Ołówek przesunął się po papierze, głos bez zająknięcia ciągnął dalej:

– Tak. Wspaniale nawiązuje kontakt z ludźmi i jestem pewien, że wkrótce się państwo przekonają, jak dobrze go mieć przy sobie. Proszę pamiętać, że jego zadaniem jest pomóc państwu obojgu.

Janet uśmiechnęła się i starając się ogarnąć uśmiechem zarówno dyrektora, jak i Stackpole'a, powiedziała z wysepki swojego krzesła:

– Jestem pewna, że wszystko się uda...

Przerwał jej mąż, który wstał, opuścił ręce i, odwracając się nieco w bok, powiedział w powietrze:

– Czy mógłbym pożegnać się z siostrą Simmons?

Głos jej już nie drżał

– Wszystko na pewno będzie dobrze – powiedziała czym prędzej. A Stackpole z miną spiskowca skinął głową, żeby wiedziała, że podziela jej punkt widzenia.

– Jakoś się porozumiemy, Janet – powiedział.

Nie zdążyła jeszcze przejść do porządku nad tym, że nagle zwrócił się do niej po imieniu, dyrektor zaś nadal patrzył na nią z owym dodającym otuchy uśmiechem, którym tyle osób darzyło ją, odkąd jej męża wyciągnięto z oceanu w pobliżu Casablanki, gdy naraz Westermark, wciąż prowadząc samotną rozmowę z powietrzem, odpowiedział:

– Tak, oczywiście. Powinienem był pamiętać.

Podniósł rękę do czoła – a może do serca – zastanowiła się Janet, ale w połowie drogi opuścił ją i dodał:

– Może przyjdzie nas kiedyś odwiedzić.

Potem zwrócił się z uśmiechem i lekkim, jakby proszącym skinieniem głowy do innego pustego miejsca w pokoju:

– Byłoby nam miło, prawda, Janet?

Spojrzała w jego stronę, starając się instynktownie napotkać jego wzrok, i odpowiedziała zdawkowo:

– Oczywiście, kochanie.

Głos jej już nie drżał, kiedy zwracała się do nieobecnego myślami męża.

Promienie słońca, przez które się widzieli

Jeden róg pokoju oświetlały promienie słoneczne wpadające przez okno weneckie. Kiedy wstała,

widziała przez chwilę profil męża podświetlony tymi promieniami.

Twarz miał chudą i zamkniętą w sobie. Inteligentną: zawsze uważała, że nadmierna inteligencja musi mu ciążyć, ale teraz dostrzegła wyraz zagubienia i pomyślała o tym, co powiedział jej wzywany poprzednio psychiatra:

– Musi pani pamiętać, że budzący się na nowo umysł jest nieustannie atakowany przez podświadomość.

Atakowany przez podświadomość

Starając się nie myśleć o tych słowach, powiedziała wpatrując się w uśmiech dyrektora – uśmiech, który niewątpliwie bardzo się przyczynił do jego kariery:

– Bardzo mi pan pomógł. Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez pana w ciągu tych miesięcy. A teraz już chyba pójdziemy.

Sama słyszała, że szybko wyrzuca z siebie słowa w obawie, żeby mąż znów jej nie przerwał, co jednak nastąpiło:

– Dziękuję za wszystko. Jeżeli odkryjecie coś nowego...

Stackpole podszedł cicho do Janet, a dyrektor podniósł się i rzekł: – Proszę o nas pamiętać, gdyby mieli państwo jakieś kłopoty.

– Dziękujemy bardzo, oczywiście.

– I jeszcze jedno, Jack. Powinieneś zgłaszać się do nas co miesiąc na badania kontrolne. Szkoda marnować tę całą kosztowną aparaturę, rozumiesz, a ty przecież jesteś naszą gwiazdą – hm... pokazowym pacjentem.

Uśmiechnął się z przymusem i zajrzał do notesu, żeby sprawdzić, co mu Westermark odpowiedział. Ale Westermark był teraz do niego odwrócony plecami. Westermark szedł już wolno do drzwi, Westermark pożegnał się wcześniej, wyobcowany w swej samotnej egzystencji.

Nim zdążyła się opanować, Janet spojrzała bezradnie na dyrektora i Stackpole'a. Wstrętny był ten ich zawodowy spokój, który kazał im nie dostrzegać niegrzecznego na pozór zachowania jej męża.

Stackpole z miną dobrotliwej małpy ujął ją grubą łapą pod ramię.

– No to chodźmy. Mój samochód czeka przed kliniką.

Milczenie, domysły, potakiwanie, sprawdzanie czasu

Kiwnęła głową nic nie mówiąc, notatki dyrektora nie były jej potrzebne, żeby się domyślić: To właśnie w tym miejscu powiedział: „Czy mógłbym się pożegnać z siostrą – jak jej tam – Simpson?” Powoli uczyła się dążyć śladem męża po wyboistych ścieżkach jego konwersacji. Teraz był już na korytarzu, otwarte drzwi ciągle się kołysały, a dyrektor mówił w powietrze:

– Ma dzisiaj wolny dzień.

– Doskonale pan sobie radzi z tą rozmową – powiedziała, czując rękę zaciskającą się na jej ramieniu. Strząsnęła ją delikatnie – okropny ten Stackpole – usiłując przypomnieć sobie, co się zdarzyło zaledwie cztery minuty temu. Jack coś do niej powiedział, nie pamiętała co; nie odezwała się więc, spuściła oczy, wyciągnęła rękę i mocno uściśniła dłoń dyrektorowi:

– Dziękuję.

– Do widzenia państwu – odpowiedział głośno, przenosząc wzrok kolejno z zegarka na notes, potem na nią, a w końcu na drzwi.

– Oczywiście – powiedział – jeśli tylko coś odkryjemy. Jesteśmy najlepszej myśli...

Poprawił krawat, znów spoglądając na zegarek.

– Pani mąż już wyszedł – oznajmił swobodniejszym już tonem. Podszedł z nią do drzwi i dodał: – Była pani bardzo dzielna i zdaję sobie sprawę, wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że będzie pani nadal musiała być dzielna. Z czasem stanie się to łatwiejsze, czyż Szekspir nie powiedział w „Hamlecie”: „Przywyknienie zdolne jest nieledwie odmienić stempel natury”? Jeśli wolno, to radziłbym pani pójść za naszym przykładem i notować wypowiedzi męża wraz z dokładnym czasem.

Spostrzegli jej wahanie, stanęli przy niej, dwaj mężczyźni niezupełnie obojętni na wdzięki tej przystojnej kobiety. Stackpole chrząknął, uśmiechnął się i powiedział:

– On tak łatwo może poczuć się odizolowany, sama rozumiesz. To bardzo ważne, żebyś właśnie ty odpowiadała na jego pytania, w przeciwnym razie poczuje się zupełnie osamotniony.

Zawsze o krok w przodzie

– A co z dziećmi? – spytała.

– Niech państwo najpierw sami spędzą jakiś czas w domu – odpowiedział dyrektor – powiedzmy jakieś dwa tygodnie. A potem, jak już się wszystko ułoży, pomyślimy o ich spotkaniu z ojcem.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich, Janet, dla nich, dla Jacka i dla ciebie – dodał Stackpole.

„Och, nie bądźcie tacy głacy – pomyślała Janet. – Bóg najlepiej wie, jak potrzeba mi otuchy, ale wy to wszystko traktujecie zdawkowo”. Odwróciła twarz w obawie, że ostatnio za łatwo odzwierciedlają

się na niej uczucia.

Na korytarzu dyrektor powiedział na pożegnanie:

– Zdaję sobie oczywiście sprawę, że babcia na pewno strasznie je rozpieszcza, ale, jak to się mówi, trudna rada.

Uśmiechnęła się do niego i szybko odeszła, o krok przed Stackpolem. Westermark siedział w samochodzie przed budynkiem, usiadła obok niego na tylnym siedzeniu. On w tej samej chwili szarpnął się gwałtownie do tyłu.

– Kochanie, co ci jest?

Nie odpowiedział. Stackpole nie wyszedł jeszcze z budynku, widocznie chciał zamienić kilka słów z dyrektorem. Janet skorzystała z okazji, nachyliła się i pocałowała męża w policzek, zdając sobie jednocześnie sprawę, że z jego punktu widzenia żona – widmo już to zrobiła. Jego reakcja była znów czymś niesamowitym dla niej.

– Jakie zielone są te łąki – powiedział, mrużąc oczy i wpatrując się w szare mury budynku naprzeciw.

– Tak – odpowiedziała.

Stackpole zbiegł pośpiesznie ze schodów i przepaszając za spóźnienie usiadł przy kierownicy. Zbyt gwałtownie zwolnił pedał sprzęgła, samochód szarpnął i ruszył. Janet zrozumiała, dlaczego jej męża przed chwilą tak mocno odrzuciło do tyłu. Teraz, kiedy samochód rzeczywiście ruszył, Jack potoczył się bezwładnie w głąb siedzenia. Podczas jazdy trzymał się kurczowo uchwyty przy drzwiczkach, bo jego ciało kołysało się w rytmie niezgodnym z ruchem samochodu. Gdy wyjechali z bramy Instytutu, znaleźli się od razu wśród zieleni w pełnym rozkwicie sierpniowego dnia.

Jego teorie

Westermark, skupiając całą uwagę, potrafił dostosować się do pewnych praw czasu, który nie był już jego czasem. Gdy samochód wjechał na podjazd i stanął przed domem (znajomym, a jednak jakby obcym przez nie przystrzyżony żywopłot i brak dzieci), pozostał na miejscu przez całe trzy i pół minuty, zanim odważył się otworzyć drzwiczki. Wysiadł i ze zmarszczonym czołem patrzył na żwir pod nogami. Czy jest taki sam jak zawsze, równie konkretny? Czy też ma jakiś połysk? – jakby coś przeświecało z wnętrza ziemi i prześwieślało wszystko dokoła? A może on sam jest odgradzony szklaną taflą od reszty świata? Trzeba się zdecydować na jedną z tych dwóch teorii, musi bowiem żyć według praw którejś z nich. Miał nadzieję udowodnić, że to właśnie teoria przenikania światła jest słuszna, gdyż według niej byłby tylko, wraz z resztą ludzkości, jednym z czynników składających się na funkcjonowanie wszechświata. Według teorii szklanej tafli byłby odcięty nie tylko od całej ludzkości, ale i od całego kosmosu (z wyjątkiem Marsa?). Ale za wcześnie na decyzje, musi jeszcze wiele spraw przemyśleć, dokładna obserwacja i dedukcja bez wątplenia nasuną mu jakieś nowe rozwiązania. Nie wolno nic rozstrzygać pod wpływem emocji, trzeba odzyskać całkowity spokój. Rewolucyjne zgoła teorie mogą być wynikiem tego... tych jego cierpień.

Zobaczył przy sobie żonę, trzymała się nieco na uboczu, żeby przypadkiem nie doszło do kłopotliwego lub bolesnego dla obojga zderzenia. Uśmiechnął się do niej z wysiłkiem poprzez otaczającą ją połyskliwą mgiełkę. Powiedział:

– To ja, ale nie mam ochoty udzielać wywiadu.

Skierował się w stronę domu, zauważył, że śliski żwir pozostaje nieruchomy pod jego stopami, poruszy się dopiero, gdy pozwoli mu na to czas ziemski. Odezwał się raz jeszcze:

– Bardzo cenię pańskie pismo, ale w tej chwili nie mam ochoty udzielać wywiadu.

Słynny astronauta wraca do domu

Na werandzie przed domem zastali jakiegoś mężczyznę, który z błagalnym uśmiechem na ustach czatował na powrót Westermarka do domu. Z miną niezbyt pewną, a mimo to rzeczową, zbliżył się i spojrzał pytająco na trzy osoby, które wysiadły z samochodu.

– Przepraszam, kapitan Jack Westermark, tak?

Odsunął się na bok, bo Westermark szedł prosto na niego.

– Jestem korespondentem działu psychologii dziennika „Guardian”. Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

Matka Westermarka otworzyła drzwi frontowe i stanęła w nich uśmiechając się na powitanie, jedną ręką nerwowo poprawiając siwe włosy. Syn przeszedł koło niej. Dziennikarz odprowadził go zdumionym spojrzeniem.

Janet odezwała się przepaszając:

– Proszę nam wybaczyć. Mąż panu odpowiedział, ale on naprawdę nie może jeszcze z nikim rozmawiać.

– Kiedy mi odpowiedział, proszę pani? Zanim usłyszał, co mam do powiedzenia?

– Ależ oczywiście, że nie – ale jego życie biegnie... przepraszam, nie potrafię, tego wytłumaczyć.

– Żyje z wyprzedzeniem czasu, prawda? Czy mogłaby pani powiedzieć mi kilka słów o tym, jak się

pani czuje teraz, kiedy minął już pierwszy szok?

– Doprawdy musi mi pan wybaczyć.

Janet przemknęła się obok niego. Kiedy wchodziła za mężem do domu, usłyszała, że Stackpole mówi:

– Tak się składa, że czytuję „Guardiana”, więc może mógłbym się panu przysłużyć. Instytut zlecił mi opiekę nad kapitanem Westermarkiem. Nazywam się Clement Stackpole – może zna pan moją książkę: „Trwałe związki międzyludzkie”? Ale proszę nie pisać, że Westermark żyje z wyprzedzeniem czasu – to zupełnie błędne określenie. Natomiast może pan powiedzieć, że niektóre jego procesy psychiczne i fizjologiczne zostały w jakiś sposób przesunięte w czasie...

– Osioł – mruknęła do siebie Janet. Przystanęła na progu, żeby posłuchać, co Stackpole mówi. Teraz wsunęła się do środka.

Rozmowy wiszące w powietrzu podczas długiej kolacji

Kolacja tego wieczoru miała swoje kłopotliwe chwile, mimo że Janet i jej teściowej udało się wprowadzić nastrój melancholijnej pogody: postawiły na stole dwa skandynawskie świeczniki, pamiątki z wakacji spędzonych w Kopenhadze, i zadziwiły obu mężczyzn zestawem wesołych i kolorowych przekąsek. „Nasza rozmowa też przypomina przekąski” pomyślała Janet – małe, ponętne, osobne kawaleczki zdań, nie zaspokajające głodu.

Starsza pani Westermark nie nauczyła się jeszcze rozmawiać z synem i zwracała się tylko do Janet, chociaż często patrzyła w jego stronę. – Jak tam dzieci? – spytał ją.

Zdając sobie sprawę, jak długo musiał czekać na jej odpowiedź, straciła głowę, odpowiedziała coś bez związku i upuściła nóż.

Janet, chcąc rozładować napięcie, przygotowywała w myśli jakąś uwagę na temat dyrektora Instytutu Badań Psychiczych, kiedy Westermark powiedział:

– W takim razie jest równie troskliwy jak odcytany. To rzadkie u tego rodzaju ludzi i chwali mu się. Odniosłem wrażenie, tak jak i ty zapewne, Janet, że interesuje się nie tylko własną karierą, ale i postępek badań. Można by nawet powiedzieć, że da się lubić. Ale pan zna go lepiej – zwrócił się do Stackpole'a – co pan o nim myśli?

Bawiąc się okruszkami chleba, żeby ukryć zmieszanie faktem, że nie wie, o kim właściwie rozmawiają, Stackpole odpowiedział:

– Och, nie wiem, naprawdę trudno powiedzieć – i próbował zyskać na czasie, udając, że wcale nie zerka na zegarek.

– Dyrektor był bardzo miły, prawda, Jack? – odezwała się Janet, pomagając w ten sposób Stackpole'owi.

– Owszem, wygląda na niezłego gracza – ton Westermarka wskazywał na to, że zgadza się z czymś, co jeszcze nie zostało powiedziane.

– A, on! – zawołał Stackpole. – Tak, ogólnie rzecz biorąc, chyba równy z niego facet.

– Zacytował Szekspira i troskliwie poinformował mnie, skąd ten cytat pochodzi – powiedziała Janet.

– Nie, dziękuję, mamo – wtrącił Westermark.

– Niewiele z nim mam do czynienia – kontynuował Stackpole – ale raz czy dwa graliśmy razem w krykieta. Całkiem niezły z niego gracz.

– Pan, naprawdę? – zawołał Westermark.

Tu wszyscy umilkli. Matka Jacka rozejrzała się bezradnie dokoła, napotkała szklany wzrok syna, powiedziała, byle tylko coś powiedzieć:

– Weź jeszcze trochę sosu, Jack – przypomniała sobie, że już dostała odpowiedź, nóż ponownie o mało nie wypadł jej z ręki i w końcu w ogóle przestała jeść.

– Ja sam jestem bramkarzem – oznajmił Stackpole.

Zabrzmiało to jak odgłos młota pneumatycznego, po czym znów zapadła cisza. Nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnął uparcie dalej, rozwodząc się nad zaletami krykieta. Janet siedziała obserwując go, trochę zdziwiona tym, że podziwia Stackpole'a i zastanawiając się, dlaczego właściwie ją to dziwi. Potem przypomniała sobie, że postanowiła go nie lubić i natychmiast zmieniła to postanowienie. Czyż nie był po ich stronie? Nawet jego silnie owłosione ręce były bardziej do przyjęcia, kiedy wyobraziła sobie, jak trzymają kij do krykieta, a szerokie ramiona kotyszą się gotowe do odbicia piłki... Zamknęła oczy, usiłując skupić się na tym, co Stackpole mówi.

Gracz

Spotkała później Stackpole'a na piętrze. Palił cygaro, ona niosła poduszki. Zastąpił jej drogę.

– Czy mógłbym w czym pomóc, Janet?

– Ściele tylko sobie łóżko.

– Nie śpisz z mężem?

– Wie pan, on chce zostać sam na kilka nocy. Będę na razie spała w pokoju dzieciennym.

– Więc pozwól mi zanieść te poduszki. I bardzo proszę, mów mi po imieniu – Clem. Wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają.

Usiłowała być miłsza, odprężyć się trochę, przypomnieć sobie, że Jack nie usuwa jej z sypialni na zawsze, ale kiedy odpowiedziała:

– Przepraszam, to tylko dlatego, że mieliśmy kiedyś teriera o imieniu Clem – nie zabrzmiało to tak jak chciała.

Położył poduszki na niebieskim łóżku Piotra, zapalił lampkę nocną i siadł na brzegu łóżka, trzymając w ręku cygaro i dmuchając w jego żarzący się koniuszek.

– To może być trochę kłopotliwe, ale muszę ci coś powiedzieć, Janet.

Nie patrzyła na nią. Przyniosła mu popielniczkę i stanęła przy nim.

– Obawiamy się, że zdrowie psychiczne twojego męża jest zagrożone, chociaż zapewniam cię, że jak dotąd nie zdradza żadnych objawów utraty równowagi psychicznej, może poza niezwykle zaabsorbowaniem otaczającymi go zjawiskami – ale nawet w tym wypadku nie można powiedzieć, na pewno nie można, że zaabsorbowany jest bardziej, niż należałoby się spodziewać. To znaczy spodziewać w takich bezprecedensowych okolicznościach. Musimy o tym porozmawiać w najbliższych dniach.

Czekała, co będzie dalej, lekko ubawiona tym, co wyczyniał z cygarem. Nagle spojrzął jej prosto w oczy i powiedział:

– Szczerze mówiąc, uważamy, że pomogłoby to mężowi, gdybyś zaczęła znów z nim żyć.

Nieco zaskoczona, odpowiedziała:

– Czy może pan sobie wyobrazić... – ale zaraz się poprawiła: – to zależy od mojego męża. Nie jestem nieprzystępna.

Podchwycił to natychmiast i odpowiedział prostym i bezpośrednim strzałem:

– Jestem tego pewien.

Przy zgaszonym świetle leżała w łóżku syna

Leżała w łóżku Piotra przy zgaszonym świetle. Oczywiście, że miała na to ochotę, nawet wielką – skoro już pozwalała sobie o tym myśleć. Podczas długich miesięcy wyprawy na Marsa, kiedy ona została w domu, a on oddalał się od tego domu coraz bardziej, kiedy właściwie był mieszkańcem tamtej planety, pozostała mu wierna. Opiekowała się dziećmi, odwiedzała sąsiadów, sprawiała jej przyjemność pisanie artykułów do pism kobiecych i udzielanie wywiadów w telewizji, kiedy już ogłoszono, że statek kosmiczny opuścił Marsa i jest w drodze powrotnej. Żyła jakby w letargu.

A potem ta wiadomość, z początku starannie przed nią ukrywana, że są trudności w porozumiewaniu się z załogą statku. Sensacyjny brukowiec zdradził tajemnicę, podając, że cała dziewięćosobowa załoga postradła zmysły, a statek przekroczył strefę lądowania i spadł do Atlantyku. Jej pierwsza reakcja była czysto egoistyczna – nie, może nie egoistyczna, ale osobista: nigdy już nie pójdzie ze mną do łóżka. Bezgraniczna miłość i żal.

Kiedy został w końcu uratowany, jeden jedyny, cudem jakimś cały i nie okaleczony, jej pragnienia znów się ocknęły. I żyły w niej dotąd, tak jak on żył w przesuniętym czasie. Spróbowała wyobrazić sobie, jak wyglądałaby teraz ich miłość, gdyby on odczuwał wszystko wcześniej, zanimby ona nawet zaczęła... osiągnąłby rozkosz jeszcze zanim ona... Nie, to niemożliwe! Chociaż tak, oczywiście to możliwe, gdyby najpierw wszystko dokładnie obmyślili – wówczas, gdyby po prostu leżała bez ruchu... Ale to, co usiłowała sobie wyobrazić, co mogła sobie wyobrazić, to nie była miłość, tylko upokarzające przystosowanie się do funkcji gruczołów i do upływu czasu.

Usiadła na łóżku, spragniona ruchu, swobody. Zerwała się, żeby otworzyć okno, w pokoju ciągle unosił się zapach cygara.

Gdyby wszystko dokładnie obmyślili

W ciągu kilku dni nabrali pewnej wprawy. Słoneczna pogoda jak gdyby przyszła im z pomocą, podtrzymując równowagę ducha. Musieli wolno i ostrożnie, trzymając się lewej strony, przechodzić przez drzwi, aby się ze sobą nie zderzyć – zanim to ustalili, poszła cała taca kieliszków. Zastosowali prosty system pukania do drzwi przed wejściem do łazienki, porozumiewali się za pomocą krótkich komunikatów, nie zadając pytań, o ile nie było to absolutnie konieczne. Chodzili trzymając się w pewnej od siebie odległości. Słowem, każde pozostawało w obrębie własnego życia.

– W gruncie rzeczy to całkiem proste, jeżeli się tylko uważa – powiedziała pani Westermarck do Janet.

– A kochany Jack jest taki cierpliwy! – Mam nawet wrażenie, że ten stan rzeczy mu odpowiada.

– Ależ moja droga, jak może mu odpowiadać taka nieznośna sytuacja?

– Mamo, zdajesz sobie chyba sprawę z tego, jak wygląda nasze życie? Nie, to zbyt straszne, nie mogę o tym mówić.

– Bardzo cię proszę, tylko nie nabijaj sobie głowy jakimiś głupstwami. Byłaś bardzo dzielna, nie czas więc, żebyśmy się zaczęły przejmować właśnie teraz, kiedy wszystko idzie jak najlepiej. Jeżeli cię coś

gnębi, porozmawiaj z Cleniem. Po to tutaj jest.

– Wiem.

– No więc!

W tej chwili zobaczyła w ogrodzie Jacka. Spojrzał w górę, uśmiechnął się, powiedział coś do siebie, wyciągnął rękę, cofnął ją, wciąż uśmiechnięty podszedł do ławki na trawniku i usiadł na jej brzegu.

Janet, wzruszona, podbiegła do drzwi balkonowych, chcąc natychmiast biec do męża.

Zatrzymała się. Zobaczyła z góry wszystko, co zaraz zrobi, wszystkie swoje ruchy, gdyż Jack wytyczył już linię najbliższej przyszłości, wyprzedzając ją w czasie. Wyjdzie na trawnik, zawoła go, uśmiechnie się i podejdzie, kiedy on odpowie jej uśmiechem. Potem podejda razem do ławki i usiądą, każde na przeciwległym końcu.

Świadomość ta odebrała jej naraz wszelką spontaniczność. Może się już nie spieszyć, skoro, jeśli chodzi o Jacka, zrobiła już to, co zamierzała. A gdyby tak w ogóle nie wyszła, zbuntowała się, wróciła do rozmowy z teściową u gospodarstwie? Wówczas Jack jak wariat rozmawiałby na trawniku sam ze sobą, tkwiąc w fantastycznym świecie, do którego ona nie ma dostępu. Dobrze, niech to Stackpole zobaczy, wtedy porzucą teorię o wyprzedzaniu czasu i będą musieli postarać się uleczyć Jacka ze zwykłego obłędu i urojeń. W rękach Clenia będzie bezpieczny.

Ale zachowanie się Jacka dowodziło, że ona musi do niego pójść. Szaleństwem byłoby, gdyby nie poszła. Szaleństwem? Sprzeciwić się sprawom wszechświata to rzecz niemożliwa, a nie szalona. Jack nie sprzeciwiał się im, potknął się tylko o prawo, o którym aż do pierwszej wyprawy na Marsa nikt nie wiedział. To oczywiście, że odkryto coś o wiele bardziej doniosłego i nieprzewidzianego, niż się ktokolwiek spodziewał. A ona straciła – nie, jeszcze nie straciła! Wybiegła na trawnik, zawołała go, pozwoliła, aby ruch uspokoił zamęt w jej myślach.

W powtórzonym zdarzeniu zachowało się jednak trochę świeżości, bo przypomniawszy sobie, że jego uśmiech, który dostrzegła z okna, miał w sobie czułość i ciepło, jakby mąż chciał jej dodać otuchy. Co wtedy powiedział? To było stracone. Podeszła do ławki i usiadła obok niego.

Czekał z wypowiedzią, aż minie ustalony i niezmienny odstęp czasu.

– Nie martw się, Janet – powiedział. – Mogłoby być gorzej.

– Jak to? – spytała, ale on już odpowiadał:

– Mógłby być dzień różnicy. 3,3037 minuty przynajmniej umożliwiają pewne porozumienie.

– To wspaniale, że traktujesz to z takim filozoficznym spokojem rzuciła.

Sarkazm w jej tonie przeraził ją.

– Porozmawiamy?

– Jack, już od dłuższego czasu chcę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

Ja?

Wysokie buki osłaniające ogród od północy były tak nieruchome, że pomyślała: „Wyglądają tak samo dla niego jak i dla mnie”.

Wygłosił swój komunikat patrząc na zegarek. Miał bardzo chude ręce. Wyglądał jeszcze bardziej krucho niż wtedy, gdy wychodził ze szpitala.

– Kochanie, zdaję sobie sprawę, jakie to musi być dla ciebie przykre. Oddziela nas od siebie to zdumiewające przesunięcie w czasie, ale ja przynajmniej mam tę pociechę, że poznaję zupełnie nowe zjawisko, podczas gdy ty...

Rozmowa na odległość międzygwiazdową

– Chciałem powiedzieć, że ty jesteś uwięziona w nie zmienionym, starym świecie, który cała ludzkość zna od zarania dziejów, ale ty przypuszczalnie patrzysz na to inaczej – w tej chwili dotarła do niego widocznie jakaś uwaga Janet, bo dodał bez związku: – Ja też chciałem porozmawiać z tobą sam na sam.

Janet ugryzła się w język i powstrzymała od odpowiedzi, bo właśnie podniósł ostrzegawczo palec i zirytowanym tonem powiedział:

– Proszę cię, odmierzaj w czasie swoje wypowiedzi, żeby nie utrudniać porozumienia. I ograniczaj się do rzeczy zasadniczych. Doprawdy, kochanie, dziwię ci się, że nie stosujesz się do rady Clenia i nie zapisujesz, co i kiedy zostało powiedziane.

– Ależ ja... ja chciałam tylko... przecież nie możemy stale zachowywać się tak, jakbyśmy brali udział w jakiejś konferencji. Chcę wiedzieć, co czujesz, jak ci jest, o czym myślisz, chcę ci pomóc, żebyś mógł kiedyś wrócić do normalnego życia.

Patrzył cały czas na zegarek, więc odpowiedź padła natychmiast.

– Nie cierpię na żadne zaburzenia psychiczne i odzyskałem już zdrowie fizyczne po wypadku. Nie ma powodu, żeby sądzić, że moja percepcja kiedykolwiek się cofnie i zrówna z waszą. Odkąd nasz statek opuścił powierzchnię Marsa, ta percepcja wyprzedza niezmiennie o 3,3037 minuty czas ziemski.

Umilkł. Pomyślała: „Na moim zegarku jest teraz 1103, a tyle rzeczy mam mu do powiedzenia. Ale

dla niego jest już 1106 z kawałkiem i on już wie, że nie mogę powiedzieć nic. Rozmowa poprzez dystans jego 3 i coś tam minuty wymaga takiego wysiłku i trudu, jakbyśmy rozmawiali na odległość międzygwiazdową”.

Widocznie on również zgubił wątek rozmowy, bo uśmiechnął się i wyciągnął rękę w powietrze. Janet obejrzała się. Z tacą pełną kieliszków zbliżał się do nich Clem Stackpole. Postawił ją ostrożnie na trawie, wziął martini i wsunął kieliszek Jackowi między palce.

– Jak się macie – powitał ich z uśmiechem. – A to dla ciebie podał Janet gin z tonikiem. Sobie przyniósł butelkę jasnego piwa.

– Clem, czy mógłbyś dokładniej wytłumaczyć Janet moją sytuację? Ona jeszcze chyba jej nie rozumie.

Janet odwróciła się gniewnie do psychologa.

– To miała być rozmowa bez świadków, tylko między moim mężem a mną.

– Przepraszam, ale w takim razie nie bardzo wam to idzie. Może spróbuję wyjaśnić ci pewne rzeczy. Wiem, jakie to wszystko jest trudne.

3,307

Mocnym ruchem zerwał kapsel z butelki i nalał do szklanki piwa. Popijając, mówił:

– Zawsze zwykliśmy sądzić, że czas jest dla wszystkich w swej istocie niezmienny. Mówiąc o upływie czasu zakładamy, że czas płynie zawsze i wszędzie z tą samą prędkością. Zakładamy także, że jakiegokolwiek życie na innej planecie w dowolnej części naszego wszechświata upływa z tą samą prędkością. Inaczej mówiąc, chociaż od dawna dzięki teorii względności przyzwyczailiśmy się do pewnych osobliwości czasu, to z drugiej strony przywykliśmy również do pewnych błędów w rozumowaniu. Teraz będziemy musieli myśleć inaczej. Rozumiesz, co mówię?

– Doskonale.

– Wszechświat nie jest w żadnym wypadku zwykłym pudełkiem, jak to sobie wyobrażali nasi przodkowie. Możliwe, że każda planeta otoczona jest własnym polem czasowym, tak jak otoczona jest własnym polem grawitacyjnym. Wszystko wskazuje na to, że pole czasowe Marsa wyprzedza nasze, ziemskie, o 3,3077 minuty. Wnosimy o tym z faktu, że twój mąż i pozostali ośmiu mężczyzn, którzy byli z nim na Marsie, nie odczuwali między sobą żadnych różnic czasowych i nie zdawali sobie sprawy, że coś się zmieniło, póki nie opuścili Marsa i nie usiłowali nawiązać ponownie kontaktu z Ziemią. Wtedy natychmiast wyszła na jaw rozbieżność czasów. Twój mąż żyje nadal według czasu marsjańskiego. Niestety, pozostali członkowie złogi nie przeżyli katastrofy, ale gdyby ocalili, z pewnością wystąpiłyby u nich te same objawy. To chyba jasne?

– Najzupełniej. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego te objawy, jeżeli jest tak, jak twierdzisz...

– Nie ja tak twierdzę, ale do takich wniosków doszli ludzie znacznie mądrzejsi ode mnie. –

Uśmiechnął się i dodał na marginesie: – Co nie przeszkadza, że ustawicznie korygujemy, a nawet zmieniamy nasze wnioski.

– Więc dlaczego nie zaobserwowano podobnych objawów u Rosjan i Amerykanów, którzy wrócili z Księżyca?

– Tego nie wiemy. Jest jeszcze bardzo dużo rzeczy, których nie wiemy. Przypuszczamy tylko, że w tym wypadku nie istnieje niezgodność czasu, ponieważ Księżyc jest satelitą Ziemi i w związku z tym pozostaje w zasięgu jej pola grawitacyjnego. Ale dopóki nie będziemy mieli nowych danych, dopóki nie posuniemy się dalej, będziemy wciąż wiedzieć zbyt mało i będziemy nadal mogli tylko snuć domysły. To zupełnie tak, jakby się chciało ustalić wynik meczu już po pierwszym strzale. Kiedy powróci ekspedycja na Wenus, będzie nam znacznie łatwiej opracować jakąś teorię.

– Jaka ekspedycja na Wenus? – zapytała, przerażona.

– Zanim wylecą, może minąć jeszcze rok, ale przyspieszają program. To nam dostarczy naprawdę bezcennych danych.

Czas przyszły oraz jego plusy i minusy

Zaczęła mówić:

– Ależ po tym, co się stało, nie będą chyba tacy głupi...

Urwała jednak. Wiedziała, że będą tacy głupi. Przypomniały jej się słowa syna: „Ja też zostanę kosmonautą. Chcę być pierwszym człowiekiem na Saturnie!”

Mężczyźni patrzyli na zegarki. Westermark przeniósł wzrok z zegarka na ziemię i powiedział:

– Ta liczba 3,073 na pewno nie jest wielkością stałą dla całego wszechświata. Może się zmieniać – myślę, że zmienia się w zależności od układu planetarnego. Osobiście sądzę, że musi to się w jakiś sposób wiązać z aktywnością słoneczną. Jeżeli rzeczywiście tak jest, to może się okazać, że załoga powracająca z Wenus będzie miała percepcję nieco opóźniona w stosunku do czasu ziemskiego.

Wstał nagle, wyraźnie czymś poruszony.

– To mi nie przyszło do głowy – powiedział Stackpole, robiąc odpowiednią notatkę. – Jeżeli załoga lecąca na Wenus zostanie o tym wszystkim wcześniej dokładnie poinformowana, nie powinno być

zadnych kłopotów ze sprowadzeniem ich na Ziemię. W końcu uporządkujemy kiedyś ten chaos i bez wątplenia przyczyni się to ogromnie do wzbogacenia kultury ludzkości. Możliwości są tu tak olbrzymie, że...

– To okropne! Jesteście wszyscy obłąkani! – krzyknęła Janet, zerwała się z ławki i pobiegła w stronę domu.

Z drugiej strony

Jack ruszył za nią do domu. Na jego zegarku, wskazującym czas ziemski, była godzina 1118 i dwanaście sekund. Pomyślał, już nie po raz pierwszy, że powinien sprawić sobie drugi zegarek na prawą rękę, który by wskazywał czas marsjański, bo z zegarka na tej ręce częściej korzysta i do niego się stosuje, nawet kiedy musi się porozumiewać z ludźmi, którzy nie znają nic prócz Ziemi.

Zdał sobie sprawę, że według odczucia Janet, wyprzedził ją. Ciekawe byłoby spotkać kogoś, kto by w swoich doznaniach wyprzedzał jego na rozmowie z kimś takim zależałoby mu na pewno i chętnie zadałby sobie trud jej prowadzenia. Co prawda utraciłby wówczas swój prymat w świecie, owo wspaniałe uczucie, że jest ustawicznie pierwszy we wszechświecie, pierwszy wszędzie, a wszystko dla niego lśni dziwnym blaskiem światłem marsjańskim! Tak to będzie nazywał, dopóki nie uda mu się tego zjawiska sklasyfikować – romantycznej wizji wolno poprzedzać wyniki naukowe, zanim wkroczy ścisła dyscyplina badań. A z drugiej strony przypuścimy, że naukowcy mylą się w swoich teoriach i ta mgiełka świetlna jest po prostu złudzeniem optycznym, skutkiem odbicia tak długiej podróży kosmicznej; albo przypuścimy, że upływ czasu ma charakter kwantowy... przypuścimy, że wszelki upływ czasu ma charakter kwantowy. W końcu proces formowania się świata – zarówno organicznego, jak i nieorganicznego, przebiega skokami, a nie jest zjawiskiem ciągłym.

Stał teraz na trawniku w zupełnym bezruchu. Trawa w przenikającym ją blasku wydawała się krucha, a każde jej źdźbło było zabarwione maleńkim widmem świetlnym. Czy gdyby jego percepcja jeszcze bardziej wyprzedziła czas ziemski, światło marsjańskie byłoby mocniejsze, a Ziemia bardziej przejrzysta? Jakież by to był piękny widok! Po dłuższej podróży do gwiazd wracałoby się na Ziemię przezroczystą jak pajęczyna, cofniętą o setki lat w tył, będącą ucieleśnieniem światła, pryzmatem. Skwapliwie próbował to sobie wyobrazić. Ale najpierw trzeba było powiększyć zasób wiedzy.

Nagle pomyślał: „Gdybym tak mógł wziąć udział w wyprawie na Wenus! Jeżeli ci z Instytutu mają rację, miałbym sześć, może pięć i pół... nie, nie można tego określić dokładnie, ale w każdym razie wyprzedzałbym tamten czas. Muszę tam polecieć! Będę dla nich cennym nabytkiem, trzeba się tylko zgłosić”.

Nie zauważył, że Stackpole dotknął przyjaźnie jego ramienia i minął go, wchodząc do domu. Jack stał, wpatrując się w ziemię, jakby widział przez nią kamienne doliny Marsa i nieodgadnione krajobrazy Wenus.

Ruchome liczby

Janet zgodziła się pojechać ze Stackpolem do miasta. Miał odebrać z naprawy buty do krykieta, a ona postanowiła kupić przy okazji film do aparatu fotograficznego. Dzieciom na pewno sprawią przyjemność zdjęcia przedstawiające ją i tatusia razem. Stojących razem.

Kiedy samochód mijał drzewa przy drodze, ich cienie migają jej przed oczami w postaci czerwonych i zielonych plamek. Stackpole prowadził bardzo pewnie, pogwizdując przez zęby. Dziwne, ale nie miała mu za złe tego gwizdania, które kiedy indziej uznałaby za irytujące, teraz bowiem wydawało się jej objawem pewnego skrepowania.

– Mam przykre wrażenie, że lepiej ode mnie rozumiesz teraz mojego męża – powiedziała.

Nie zaprzeczył.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wydaje mi się, że ta okropna izolacja wcale mu nie przeszkadza.

– Jest bardzo dzielny.

Westermarck już od tygodnia był w domu. Janet czuła, że z każdym dniem bardziej oddalają się od siebie, bo Jack odzywał się coraz rzadziej, natomiast coraz częściej stał nieruchomo jak posąg, wpatrując się z napięciem w ziemię. Przypomniła sobie coś, czego nie miała kiedyś odwagi powiedzieć teściowej; z Clemem Stackpolem czuła się mniej skrepowana.

– Widzisz chyba, w jaki sposób udaje się nam żyć we względny spokój – powiedziała. Stackpole zwolnił tempo jazdy i patrzył na nią z ukosa. – Radzimy sobie jakoś tylko dlatego, że usunęliśmy z naszego życia wszystko: zdarzenia, dzieci, przyszłość. W przeciwnym razie odczuwalibyśmy co chwila, jak bardzo jesteśmy sobie obcy.

Stackpole posłyszał napięcie w jej głosie i powiedział uspokajająco:

– Jesteś nie mniej dzielna od męża, Janet.

– Po uszy mam dzielności! Nie mogę znieść tej – pustki.

Widząc znak drogowy, Stackpole zerknął do lusterka i zmienił bieg. Na szosie oprócz nich nie było.

nikogo. Zaczął znów pogwizdywać, ale Janet nie mogła już umilknąć, musiała mówić dalej.
– Już dosyć narobiliśmy zamieszania wokół problemu czasu, mam na myśli nas wszystkich – ludzi. Czas to europejski wynalazek. Jak się w nim zaplącemy, Bóg jeden wie, do czego nas to doprowadzi, jeżeli... no, jeżeli będziemy brnąć dalej. – Zła była na siebie, że mówi tak chaotycznie.

Stackpole odezwał się dopiero wtedy, kiedy zjechał na pobocze i zatrzymał samochód w cieniu bujnie rosnących krzewów. Odwrócił się do niej z wyrozumiałym uśmiechem:

– Czas był wynalazkiem Boga – jeżeli się wierzy w Boga. Ja osobiście wolę wierzyć. Obserwujemy czas, poskramiamy go, a kiedy to możliwe, eksploatujemy.

– Eksploatujemy!

– Nie możesz myśleć o przyszłości tak, jakbyśmy wciąż brnęli po kolana w błocie. – Roześmiał się krótko, opierając ręce na kierownicy. – Jaka cudowna pogoda. Przyszło mi coś do głowy... W niedzielę gram tu w miasteczku w krykieta. Może chciałabyś zobaczyć mecz? Moglibyśmy potem pójść gdzieś na herbatę.

Zdarzenia, dzieci, przyszłość

Nazajutrz rano przyszedł list od Jane, jej pięcioletniej córki, i list ten dał jej dużo do myślenia. Było w nim tylko kilka słów: „Kochana Mamusi! Dziękuję za lalki. Całuję mocno – Jane”, ale Janet wiedziała, ile wysiłku kryje się za wysokimi na cal literami. Jak długo potrafi znieść to, że dzieci pozbawione są domu i jej opieki?

Równocześnie przypomniawszy sobie niesprecyzowane myśli z poprzedniego wieczoru: gdyby miało być „coś” pomiędzy nią a Stackpolem, to lepiej, aby nie było tu dzieci – po prostu dlatego, jak to sobie teraz uświadomiła, że ich nieobecność byłaby im obojgu na rękę. Nie myślała wtedy o dzieciach, Myślała o Stackpole'u, który wprawdzie okazał się nadspodziewanie delikatny, ale w gruncie rzeczy jej nie pociągał.

„I jeszcze jedna głęboko niemoralna myśl – zgnębiona szepnęła do siebie – kogóż mam innego poza Stackpolem?”

Wiedziała, że mąż jest w gabinecie. Było zimno, zbyt zimno i mokro, żeby mógł odbyć swoją codzienną wędrowkę po ogrodzie. Zdawała sobie sprawę, że Jack coraz bardziej izoluje się od świata, pragnęła mu pomóc, bała się, że padnie ofiarą tej izolacji, nie chciała tego, pragnęła żyć pełnią życia. Upuściła list, przycisnęła ręce do czoła i zamknęła oczy czując, jak pod czaszką kłębią się wszystkie dalsze możliwości, a ewentualne przyszłe posunięcia ścierają się i nawzajem unicestwiają.

Stała jak przygwożdżona, kiedy do pokoju weszła teściowa.

– Szukam cię wszędzie – powiedziała. – Czuję, moje dziecko, że jesteś bardzo nieszczęśliwa.

– Mamo, ludzie zwykle kryją się z tym, że cierpią. Czy tak jest zawsze? – Przede mną nie staraj się nic ukrywać... zwłaszcza że nie potrafisz. – Ale nie wiem, jak bardzo ty cierpisz, a w tym wypadku powinnyśmy obydwie wszystko o sobie wiedzieć. Dlaczego jesteśmy tak okropnie skryte? Czego się boimy – politowania czy śmieszności?

– Może pomocy.

– Pomocy! Może masz rację... To bardzo przykre.

Stały patrząc na siebie, dopóki matka Jacka nie odezwała się:

– Nieczęsto rozmawiamy tak szczerze, Janet.

– To prawda.

Chętnie by powiedziała coś więcej. Nieznajomej osobie spotkanej przypadkiem w pociągu opowiedziałaby pewnie wszystko, ale teraz nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Czując, że nic już na ten temat nie usłyszy, starsza pani Westermark rzekła:

– Chciałam ci powiedzieć, że może będzie lepiej, jeśli dzieci nie wrócą tu na razie, dopóki tak się sprawy przedstawiają. Jeżeli chcesz pojechać, zobacz się z nimi i zostań tam u rodziców przez jakiś tydzień, mogę tymczasem zająć się tu gospodarstwem. Nie wydaje mi się, żeby Jack chciał się widzieć z dziećmi.

– To bardzo miło z twojej strony, mamo. Zobaczę jeszcze. Przyrzekłam Clemowi... to znaczy powiedziałam panu Stackpole'owi, że może jutro pójde popatrzeć na mecz krykieta, w którym bierze udział. To nie takie ważne, oczywiście, ale jednak obiecałam... w każdym razie mogę pojechać do dzieci w poniedziałek, jeżeli zostaniesz na posterunku.

– Masz jeszcze moc czasu, gdybyś miała ochotę pojechać dzisiaj. Jestem pewna, że pan Stackpole cię zrozumie.

– Wolę odłożyć to do poniedziałku – powiedziała Janet nieco chłodno, bo zaczęła się domyślać, jakie pobudki kierują teściową.

Do czego nie odważył się posunąć „Przegląd Naukowy”

Jack Westermark odłożył „Przegląd Naukowy Ameryki” i wbił spojrzenie w blat biurka. Przyłożył rękę do piersi i sprawdził, jak bije mu serce. W piśmie był artykuł o nim, ilustrowany zdjęciami

zrobionymi w Instytucie Badań Psychicznych. Ten przemyślany artykuł różnił się diametralnie od innych sensacyjnych i płytkich relacji prasowych, określających Westermarka jako „człowieka, który bardziej niż Einstein zrewolucjonizował nasze pojęcie o wszechświecie”. Z tego też powodu stanowił większą rewelację i poruszał pewne aspekty sprawy, których sam Westermark nie wziął jeszcze pod uwagę.

Rozmyślając nad wnioskami artykułu, odpoczywał teraz po wysiłku, jakiego tu na Ziemi wymagało od niego czytanie, a Stackpole siedział przy kominku paląc cygaro i czekając, aż Westermark będzie gotów dyktować. Zwykle czytanie pisma urastało do rozmiarów wyczynu w czasoprzestrzeni i wymagało współpracy i porozumienia. Stackpole w odmierzonych odstępach czasu przewracał strony, a Westermark czytał, kiedy leżały płasko przed nim. Sam nie mógł ich przewrócić, ponieważ w swoim wąskim wycinku czasoprzestrzeni nie były w danej chwili przewracane, dla jego palców były jak pokryte zakrzywioną powłoką – co stanowiło złudzenie optyczne, reprezentujące niepokonaną inercję kosmiczną.

Inercja ta nadawała osobliwy połysk również powierzchni biurka, w które się Westermark wpatrywał, zgłębiając w myślach tezy artykułu z „Przeglądu Naukowego”.

Autor artykułu zaczął od przytoczenia faktów, po czym nadmienił, że wskazują one na istnienie „czasów lokalnych” w różnych punktach wszechświata; gdyby tak było rzeczywiście, można się spodziewać nowego wytłumaczenia zjawiska ucieczki galaktyk oraz rozbieżności w ocenach wieku wszechświata (i oczywiście stopnia jego złożoności). Następnie autor zajął się problemem, który nurtował także innych naukowców mianowicie, dlaczego Westermark zatracił czas ziemski na Marsie, a nie zatracił czasu marsjańskiego po powrocie na Ziemię. Fakt ten bardziej niż cokolwiek innego wskazywałby na to, że „czasy lokalne” nie działają w sposób mechaniczny, ale również, przynajmniej do pewnego stopnia, w sposób psychiczno-biologiczny.

W blacie biurka, jak w lustrze, Westermark ujrzał siebie w chwili, gdy go proszą, żeby ponownie poleciał na Marsa, wziął udział w drugiej wyprawie na tę planetę rdzawych piasków, gdzie struktura czasoprzestrzeni w jakiś tajemniczy i niepokonany sposób wyprzedza ziemską normę o 3,30 minuty. Czy jego zegar wewnętrzny znów by się przesuwał naprzód? Co by się stało z połyskiem otaczającym wszystko na Ziemi? I jakie byłyby skutki stopniowego wyzwania się spod żelaznych praw, według których żyła ludzkość od swego zamierchłego, plejstoceniowego dzieciństwa?

Niecierpliwie wybiegł myślami w przyszłość wyobrażając sobie dzień, w którym Ziemia będzie siedliskiem wielu „czasów lokalnych”, pokłosa licznych podróży po bezkresach kosmosu – te bezkresy rozciągają się również w czasie – wtedy owa mało rozumiała koncepcja (Mc Taggart w ogóle podał w wątpliwość jej realność) wejdzie w sferę możliwości pojmowania człowieka. W ten sposób ludzkość posiadałaby największą tajemnicę bytu: możliwość zrozumienia nurtu, w którym rozgrywa się istnienie, podobnie jak sen rozgrywa się w pierwotnych granicach umysłu.

Tak... ale... czy ten dzień nie unicestwi zarazem lokalnego ziemskiego czasu? I właśnie on, Westermark, to rozpoczął. Istnieje tylko jedno wytłumaczenie: „czas lokalny” nie jest wytworem sił planetarnych – autor artykułu w „Przeglądzie Naukowym” nie odważył się posunąć aż tak daleko – „czas lokalny” jest wyłącznie tworem psychiki ludzkiej. Ten zagadkowy, najtajniejszy twór, który potrafi trzymać się określonego, dokładnego czasu nawet wówczas, kiedy człowiek leży nieprzytomny, jest na razie prowincjuszem, ale można go będzie wychować na obywatela wszechświata. Westermark rozumiał, że jest pierwszym przedstawicielem nowego gatunku, którego jeszcze przed kilkoma miesiącami nie wymyśliłby nikt obdarzony największą nawet fantazją. Jest niezależny od wroga, bardziej niż śmierć zagrażającego współczesnemu człowiekowi: od Czasu. Tkwią w nim zupełnie nowe możliwości. Nadczłowiek wkroczył na scenę.

Nadczłowiek z trudem poruszył się na krześle. Siedział zatopiony w myślach tak długo, że zdrętwiały mu ręce i nogi, a on nawet tego nie zauważył.

Dokładnie odmierzone w czasie refleksje o zasadniczym znaczeniu

– Dyktuję – powiedział i czekał niecierpliwie, aż polecenie dotrze w przepastną otchłań przy kominku, gdzie siedział Stackpole. To, co miał do powiedzenia, było niezmiernie ważne, a mimo to musiało czekać na tych ludzi...

Jak to miał w zwyczaju, wstał i zaczął chodzić wokół biurka, mówiąc szybkimi, urywanymi zdaniem. Miało to być przesłanie dla ludzi na nową drogę życia...

– Świadomość nie jest jednolita, ale wieloraka... w początkowym okresie rozwoju ludzkości mogło istnieć wiele miar czasu... chorzy umysłowo częstokroć żyją w czasie mającym inne tempo... Dla niektórych dzień ciągnie się w nieskończoność... Wiemy z doświadczenia, że dzieci odbierają czas w krzywym zwierciadle świadomości, powiększony i zniekształcony poza swoim punktem ogniskowym...

Na moment zirytowała go przerażona twarz żony w oknie, odwrócił się od niej i kontynuował:

– ...punktem ogniskowym... Ale człowiek w swojej ignorancji wciąż sobie wmawiał, że czas ma

charakter jednokierunkowego nurtu mającego przy tym tę samą i niezmienną prędkość... mimo iż fakty świadczą o czymś wręcz przeciwnym... Nasze wyobrażenie o nas samych... nie... to błędne wyobrażenie stało się podstawowym założeniem życia...

Córki córek

Matka Westermarka nie była na ogół skłonna do rozważań metafizycznych, ale wychodząc z pokoju zatrzymała się w drzwiach i powiedziała do synowej:

- Wiesz, co mi czasami przychodzi na myśl? Jack wydaje się taki obcy, często w nocy zastanawiam się, czy mężczyźni i kobiety z każdym pokoleniem nie oddalają się od siebie coraz bardziej w sposobie bycia i myślenia – zupełnie jakby stanowili dwa odrębne gatunki. Moje pokolenie dokonało wielkiego wysiłku, żeby doprowadzić do równouprawnienia obu płci, ale wygląda na to, że nic z tego nie wyszło.
- Z Jackiem niedługo wszystko będzie dobrze – Janet usłyszała powątpiewanie w swoim głosie.
- To samo myślałam – o tym, że mężczyźni i kobiety coraz bardziej się od siebie oddalają – kiedy zginął mój mąż.

Współczucie, które Janet zaczęła odczuwać, nagle wyparowało. Wiedziała już, na jaki temat zejdzie teraz rozmowa i poznała ton, starannie oczyszczony ze wszelkich nutek litowania się nad sobą, kiedy teściowa dodała:

- Bob miał pasję szybkości. To go właśnie zabiło, a nie ten głupiec, który zajechał mu drogę.
- Nikt przecież nie winił twojego męża. Powinnaś przestać o tym myśleć.
- Ale sama chyba widzisz związek... Cały ten postęp. Bob, który chciał zawsze, za wszelką cenę być pierwszy za zakrętem, a teraz Jack... No cóż, kobieta nic na to nie poradzi.

Zamknęła za sobą drzwi. Janet bezwiednie wzięła do ręki list od następnego pokolenia kobiet: „Dziękuję za lalki”.

Decyzje i związane z nimi niespodziewane wypadki

Był ich ojcem. Może jednak Jane i Piotr powinni wrócić do domu, mimo pewnego ryzyka. Janet stała przez chwilę w rozterce, aż nagle podjęła decyzję, że od razu rozmówi się z Jackiem. Jest taki drażliwy, taki nieprzystępny, ale ona może przynajmniej zobaczyć, co on robi, zanim mu przerwie.

Kiedy wyszła do przedpokoju i ruszyła do tylnych drzwi, usłyszała, że woła ją teściowa.

– Chwileczkę! – odpowiedziała.

Słońce przebiło się przez chmury i spijało wilgoć z ogrodu. Jesień niewątpliwie już nadeszła. Janet skręciła za róg domu, obeszła rabatę róż i zajrzała do gabinetu męża.

Wstrząśnięta zobaczyła, że zgięty w pół pochyla się nad stołem. Rękami zasłaniał twarz, spomiędzy palców ściekały krople krwi i padały na otwarte stronice pisma.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że Stackpole cały czas siedzi obojętnie przy elektrycznym kominku.

Wydała stłumiony okrzyk i pobiegła z powrotem do domu, zderzając się w drzwiach z matką Jacka.

- Chciałam właśnie... Janet, co się stało?
- Mamo, Jack! Dostał udaru albo miał jakiś straszny wypadek!
- Ale skąd wiesz?
- Prędko, musimy zadzwonić do szpitala... muszę iść do niego.

Pani Westermark chwyciła Janet za rękę.

– Może lepiej zostawmy to panu Stacpolowi, dobrze? Boję się, że...

– Mamo, musimy zrobić, co w naszej mocy. Wiem, że nie jesteśmy kompetentne, ale... Proszę cię, puść mnie.

– Nie, Janet. My... to jest ich świat. Boję się. Przyjdą tu, jeżeli będą nas potrzebować.

Ogarnięta paniką, trzymała Janet kurczowo za ramię. Przez chwilę patrzyły na siebie nieprzytomnie, jakby widząc przed sobą zupełnie co innego, potem Janet wyrwała się.

– Muszę do niego iść – powiedziała.

Przebiegła przez hall i otworzyła gwałtownie drzwi gabinetu. Jej mąż stał teraz przy oknie w drugim końcu pokoju, z nosa płynęła mu krew.

– Jack! – krzyknęła.

Kiedy biegła do niego, coś niewidzialnego uderzyło ją nagle w czoło. Zatoczyła się i wpadła na regał z książkami. Grad mniejszych tomów z górnej półki posypał się na nią i wokół niej. Stackpole z okrzykiem przerażenia zerwał się upuszczając notes i pobiegł do niej wokół biurka. Nawet w chwili kiedy biegł jej na pomoc, zerknął na zegarek i zanotował w myślach dokładny czas: 1024.

Pomoc po godz. 1024 i zacisze pokoju

W drzwiach ukazała się pani Westermark.

– Proszę stać w miejscu – krzyknął Stackpole – bo będą nowe kłopoty! Janet, widzisz, coś narobiła. Wyjdź stąd, proszę cię. Jack, już do ciebie idę – Bóg jeden wie, co przeżywałeś pozostawiony bez

pomocy przez trzy i jedną trzecią minuty!

Zagniewany podszedł i stanął na odległość ramienia od swojego pacjenta. Rzucił na biurko chusteczkę do nosa.

– Proszę pana... – zaczęła od progu matka Jacka, obejmując w pół synową.

Odwrócił się i rzucił przez ramię:

– Ręczniki, szybko! Proszę zadzwonić do Instytutu po karetkę i, niech się pośpieszą.

Zanim minęło południe, Westermark leżał już w zacisznym pokoju, a karetka z lekarzem, który udzielił mu pomocy, czyli po prostu zatamował krew płynącą z nosa, odjechała. Stackpole zamknęła za lekarzem drzwi, odwrócił się i zmierzył wzrokiem obydwie kobiety.

– Uważam za swój obowiązek ostrzec panie – powiedział z naciskiem że następny taki wypadek może być śmiertelny. Tym razem uszło nam prawie na sucho. Ale jeżeli znów zdarzy się coś podobnego, będę musiał zalecić, aby pana Westermarka zabrano z powrotem do Instytutu.

Nowa definicja przypadku

– Nie będzie chciał tam wrócić – powiedziała Janet. – Poza tym jesteś śmieszny, to był zupełny przypadek. A teraz chcę iść na górę i zobaczyć, jak się Jack czuje.

– Zanim pójdziesz, pozwól sobie powiedzieć, że to, co się zdarzyło, to nie był przypadek – w każdym razie nie w zwykłym sensie tego słowa, skoro skutek swojego wtargnięcia widziałas przez okno, zanim jeszcze weszłaś do pokoju. Można ci mieć za złe...

– Ależ to nonsens... – zaczęły obie kobiety naraz. Janet mówiła dalej: – Nigdy bym tak nie wpadła do pokoju, gdybym nie zobaczyła przez okno, że Jackowi coś się stało.

– Zobaczyłaś skutek swego późniejszego wtargnięcia.

Z westchnieniem ciężkim jak jęk, matka Jacka powiedziała:

– Nic z tego nie rozumiem. Na co wpadła Janet, kiedy wbiegła do pokoju?

– Wpadła, proszę pani, na miejsce, w którym jej mąż stał 3,3077 minuty temu. Chyba zrozumiały już panie ten podstawowy problem inercji czasu?

Kiedy zaczęły mówić obie naraz, patrzył na nie bez słowa, dopóki nie umilkły. Potem powiedział:

– Przejdźmy do bawialni. Jeśli chodzi o mnie, chętnie bym się czegoś napił. Nalał sobie whisky i dopiero trzymając w ręku szklaneczkę zaczął mówić:

– Nie chcę tu urządzić paniom wykładu, ale myślę, że najwyższy już czas, żeby panie zrozumiały, że nie żyjemy w starym bezpiecznym świecie klasycznej mechaniki, którą rządzą osiemnastowieczne prawa wieku Oświecenia. Wszystko, co się tu zdarzyło, jest całkowicie racjonalne, ale jeżeli chcą panie udawać, że wykracza to poza możliwości kobiecego umysłu...

– Panie Stackpole – przerwała ostro Janet – czy może pan trzymać się tematu, nie obrażając nas?

Dlaczego to, co się zdarzyło, to nie był przypadek? Rozumiem teraz, że kiedy patrzyłam przez okno gabinetu, widziałam u męża skutki zderzenia, które dla niego miało miejsce trzy i coś tam minuty wcześniej, a dla mnie miało nastąpić dopiero za trzy i coś tam minuty, ale wtedy byłam tak przerażona, że zapomniałam...

– Nie, nie, źle to obliczasz. Cała różnica czasu wynosi tylko 3,3013 minuty. Kiedy zobaczyłaś męża, cierpiał na skutek uderzenia dopiero połowę tego czasu – 1,65385 minuty, a następne 1,65385 minuty miało jeszcze upłynąć, zanim wpadłaś do pokoju i uderzyłaś go.

– Ależ ona go nie uderzyła! – zaprotestowała pani Westermark.

Stackpole odczekał chwilę, nim odpowiedział:

– Uderzyła go 0 1024 czasu ziemskiego plus około 36 sekund czasu na Marsie, czyli czasu Jacka, co się równa 9.59 czasu Neptuna, co się równa z kolei 156 i pół czasu Syriusza. Wszechświat jest duży, proszę pani! Nie zrozumie pani nic z tego, dopóki będzie pani mieszać te dwa pojęcia: zdarzenie i czas. Może zechce pani usiąść i napić się czegoś?

– Pomijając liczby – rzekła Janet, ponawiając atak (cóż za wstrętny oportunistą z tego człowieka!) – jak możesz mówić, że to nie był przypadek? Nie twierdzisz chyba, że zraniłam męża umyślnie? Z tego, co mówisz, wynika, że byłam bezsilna od chwili, kiedy zobaczyłam go przez okno.

– Pomijając liczby... – powtórzył. – Na tym właśnie polega twoja wina. Widziałas przez okno skutek swojego czynu, a wtedy było już rzeczą nieuchronną, że musisz ten czyn popełnić, bo właściwie został już popełniony.

Powiew czasu

– Nie rozumiem! – ścisnęła rękami czoło, przyjmując z wdzięcznością papierosa od teściowej, ale wzruszając ramionami na jej współczujące słowa:

– Nie staraj się tego zrozumieć, kochanie.

– Przypuśćmy, że widząc krew płynącą Jackowi z nosa, spojrziałabym na zegarek i pomyślała: „Jest teraz 1020, czy która tam była, i on być może cierpi na skutek mojego niespodziewanego wtargnięcia, więc lepiej będzie, jeśli nie wejdę” i rzeczywiście bym nie weszła. Czy wtedy nos by mu się jakimś

cudem zagoił?

– Oczywiście, że nie. Masz takie mechanistyczne podejście do świata. Staraj się patrzeć na rzeczy z pozycji rozumu, postaraj się żyć w naszych czasach! Nie mogłabyś pomyśleć tego, co przed chwilą powiedziałaś, bo nie leży to w twojej naturze, podobnie też nie w twojej naturze jest rozsądne korzystanie z zegarka i podobnie z reguły „pomijasz liczby”, jak to ujęłaś. Nie, nie chcę cię wcale urazić, to wszystko jest bardzo kobiece i na swój sposób pociągające. Chcę tylko powiedzieć, że gdybyś była taką osobą, która przed zajrzeniem do okna myśli: „Bez względu na to, w jakim stanie zobaczę męża, muszę pamiętać, że ma on już za sobą doświadczenie następnych 3,3037 minuty”, mogłabyś wówczas spokojnie zajrzeć i zobaczyćłabyś, że jest zdrow i cały i nie wpadłabyś bez opamiętania do pokoju.

Zaciągnęła się papierosem, oszołomiona i do żywego dotknięta.

– Mówisz, że stanowią zagrożenie dla własnego męża.

– To twoje słowa, nie moje.

– Boże, jak ja nienawidzę mężczyzn! Jesteście tacy cholernie logiczni, tacy zadowoleni z siebie!

Skończył whisky, postawił szklaneczkę przy niej na stole i jednocześnie pochylił się nad nią.

– Jesteś w tej chwili wytracona z równowagi – powiedział.

– Pewnie, że jestem wytracona z równowagi! A coś ty myślał?

Najchętniej rozplakałaby się albo dała mu w twarz. Zapanowała jednak nad sobą i obróciła się do matki Jacka, która delikatnie ujęła ją za rękę.

– Kochanie, najlepiej jedź teraz do dzieci i zostań z nimi na weekend. Wrócisz, kiedy będziesz miała ochotę. O Jacka się nie martw, zaopiekuję się nim – o ile w ogóle potrzeba mu opieki.

Janet rozejrzała się po pokoju.

– Jadę. Zaraz spakuję rzeczy. Dzieci ucieszą się z mojego przyjazdu. Mijając Stackpole'a, dodała z goryczą. – Ich przynajmniej nic nie obchodzi lokalny czas na Syriuszu.

– Może przyjdzie taki dzień – odparł Stackpole z niewzruszonym spokojem – że będzie je to musiało obchodzić.

Zdarzenia, dzieci, przyszłość.

Przełożyła Blanka Kuczborska

Dziewczyna i robot z kwiatami

Napomknąłem o tym mimochodem, kiedy zmywaliśmy po obiedzie.

– Zacząłem nowe opowiadanie.

Marion postawiła filiżanki na suszarce i objęła mnie mocno.

– Ty mój spryciarzu! Kiedy zdążyłeś to zrobić? Jak wyszłam dziś rano na zakupy?

Kiwnąłem głową zadowolony i uśmiechnąłem się do niej, z przyjemnością słuchając jej radosnej i podnieconej paplaniny. Marion jest wspaniała, zawsze można na niej polegać. Czy naprawdę sprawiło jej to taką radość... Przecież nie przepada za science fiction? Ale to nieważne, kocha, i stąd zapewne bierze się to zrozumienie, które pozwala jej cieszyć się wraz ze mną, kiedy wykluwa się nowe opowiadanie.

– Pewnie nie zechcesz mi powiedzieć, o czym to będzie? – spytała.

– Będzie o robotach, ale nic więcej ci nie powiem.

– Dobrze. Idź i popisz trochę, a ja dokończę zmywania. Mamy jeszcze chwilę czasu, prawda?

Wybieraliśmy się do Carrów, naszych przyjaciół, którzy mieszkają na drugim końcu Oxfordu. Carrowie nie mają samochodu i umówiliśmy się, że zabierzemy ich i dwójkę ich dzieci na wycieczkę połączoną z piknikiem dla uczczenia fali upałów.

Kiedy wychodziłem z kuchni, zawarczała lodówka.

– Znów ryczy – zauważyłem ponuro. Kopnąłem ją, ale nie przestała na mnie warczeć.

– Ja jej nie słyszę, dopóki mi o niej nie przypominisz – powiedziała Marion. Jej nic nie rusza! To wspaniałe; potrafi działać jak środek uspokajający, nie przestając być podniecającą.

– Muszę wezwać elektryka, żeby ją obejrzał – powiedziałem. Chyba że ten hurkot sprawia ci przyjemność. Stoi toto i zżera prąd jak...

– Jak robot? – rzuciła Marion.

– Właśnie. – I z godnością udałem się do pokoju. Na dywanie pod oknem leżała w jakiejś absurdalnej pozycji Nikola wystawiając brzuszek do słońca. Zamyślony podszedłem i podrapałem ją, żeby zaczęła mruczeć. Wiedziała, że lubię to tak samo jak ona... pod wieloma względami przypominała Marion. I wtedy nagle opadło mnie zwątpienie.

Zapaliłem cygaro i wróciłem do kuchni. Drzwi były otwarte, oparłem się o framugę i powiedziałem:

– Może tym razem powiem ci, o czym ma być opowiadanie. Nie wiem, czy jest dobre i czy warto je kończyć.

Spojrzała na mnie.

– Czy jak je usłyszę, to się poprawi?

– Może będziesz miała jakieś uwagi.

Niewykłuczone, że przyszło jej na myśl, jaki to byłby kiepski pomysł wołać mnie na pomoc, gdyby jej się ciasto nie udało, mimo że jestem dobry w męskich pracach domowych. Ale powiedziała tylko:

– Nigdy nie zaszkodzi obgadać pomysł.

– Ktoś napisał znakomity artykuł na temat tego, jak pomysły rodzą się z rozmowy. Jakiś Niemiec z zeszłego wieku, ale nie pamiętam kto, chyba von Kleist. Pewnie ci już mówiłem. Chciałbym to kiedyś jeszcze raz przeczytać. Zwracał uwagę na dziwny fakt, że w rozmowie potrafimy zaskoczyć samych siebie, podobnie zresztą, kiedy piszemy.

– A twoje roboty cię nie zaskakują?

– Zbyt dużo o nich pisano. Może powinienem dać im spokój. Jim Ballard ma rację, że zostały zajęzione na śmierć.

– Jaki jest ten twój pomysł?

Skończyły się wykręty i musiałem jej powiedzieć.

– Ziemiopodobna planeta Iksnivarts wypowiedziała Ziemi wojnę. Jej mieszkańcy są tak długowieczni, że osiemdziesięcioletnia podróż na Ziemię to dla nich drobny. Dla Ziemiaków natomiast to całe życie i jedynym sposobem, aby uderzyć na Iksnivarts, jest wykorzystanie robotów, pięknych, śmiertelnych stworzeń, wolnych od wielu ludzkich wad i zalet. Pracują na bateriach słonecznych, są niemal wieczne i mają w głowach minikomputery dające im przewagę nad wszelkimi istotami biologicznymi.

Flotyła statków z tymi robotami na pokładzie zostaje wysłana przeciwko Iksnivarts. Wraz z flotą leci fabryka z robotami naprawczymi. Ta w pełni zautomatyzowana siła uderzeniowa jest wyposażona w potworną broń, zdolną związać cały tlen planety w skałach, tak iż w ciągu kilku godzin atmosfera Iksnivart stanie się trująca.

Nieludzka flota wyrusza w drogę. W jakieś dwadzieścia lat później do Układu Słonecznego nadciąga flota obcych porywając Ziemię, Wenus i Marsa sporą porcją promieniotwórczego pyłu i likwidując około siedemdziesięciu procent ludzkości. Jednak flotyła robotów przez niepowstrzymanie i po osiemdziesięciu latach osiąga cel. Broń antytlenowa okazuje się przerażająco skuteczna. Wszyscy mieszkańcy Iksnivarts giną na skutek uduszenia niemal natychmiast i planeta przechodzi w ręce stalowych zdobywców. Roboty lądują, nadaje na Ziemię wiadomość o swoim zwycięstwie i przez następne dziesięć lat skrzętnie grzebią trupy.

Kiedy ich komunikat dociera do Układu Słonecznego, Ziemia zaczyna odradzać się z ruin. Ludzie są ogromnie poruszeni podbojem odległego świata i planują wysłanie niewielkiego statku, żeby dowiedzieć się, jak wyglądają sprawy na Iksnivarts. Jednocześnie są lekko zaniepokojeni z powodu swoich wojowniczych robotów, które teraz rządzą planetą. Niestety pierwszy statek z dwuosobową załogą w stanie hibernacji zbacza z kursu na skutek błędu technicznego. Drugi podobnie. Dopiero trzeci dociera do celu i dwaj piloci, Graham i Josca, budzą się na czas z letargu i wprowadzają swój statek w beztlenową atmosferę Iksnivarts na długi lot zwiadowczy.

Na zdjęciach, które przywożą na Ziemię – po następnych osiemdziesięciu latach hibernacji – widać ogromne miasta robotów, w których wrze ożywiona działalność technologiczna. Wygląda to niepokojąco.

Ale są i inne zdjęcia. Wydaje się, że śmiertelne roboty zmieniły usposobienie na pokojowe.

Wiele zdjęć przez teleobiektywy ukazuje pojedyncze roboty zrywające na wzgórzach kwiaty.

Szczególnie jedno ujęcie trafia do wszystkich środków masowego przekazu i obiega kulę ziemską podnosząc ludzi na duchu. Przedstawia ono ciężkozbrojnego, prawie czterometrowego robota z naręczem kwiatów. Stąd tytuł mojego opowiadania: „Robot z kwiatami”.

Marion skończyła zmywanie. Wyszliśmy do małego ogródka za domem i przyglądaliśmy się ptakom śmigającym wokół dachu starego kościoła graniczącego z naszym ogródkiem. Nikola przyłączyła się do nas.

– Czy to koniec? – spytała Marion.

– Niezupełnie. Zakończenie ma być ironiczne. To zdjęcie robota z kwiatami jest błędnie interpretowane: żalostny przykład myślenia schematami. Roboty muszą zrywać wszystkie kwiaty, ponieważ kwiaty wydzielają tlen, a tlen powoduje korozję metalu. Wcale nie zaryzykowały się od ludzi zamilowaniem do piękna, tylko oddają się charakterystycznym dla robotów użytecznym zajęciom i za niewiele lat wrócę na Ziemię rozprawić się z jej mieszkańcami.

W kuchni znów ruszyła lodówka. Zwalczyłem w sobie chęć powiedzenia o tym Marion. Nie chciałem spłoszyć z jej twarzy odblasku słońca.

– Niezła puenta – powiedziała. – Powinno z tego wyjść przyzwoite komercyjne opowiadanie. Może nie całkiem w twoim stylu.

– Jakoś nie mogę się zmusić, żeby je dokończyć.

- Przypomina to trochę opowiadanie o robotach Paula Andersona, które tak ci się podobało, chyba „Epilog”.
- Możliwe. Wszystkie opowiadania science fiction stają się coraz bardziej podobne. Jest też trochę podobne do jednego z opowiadań Harry'ego.
- „Rzecz napisana przez Harry'ego nie może być całkiem złą” zacytowała nasz prywatny żart.
- „Żałuję, że nie ja to napisałem” – dodałem puentę. – Ale nie dlatego nie mam ochoty kończyć tego „Robota z kwiatami”. Możliwe, że spodobałoby się Fredowi Pohlowi albo Mike'owi Moorcockowi i zostałyby wydrukowane, ale straciłem do niego serce. Nie tylko dlatego, że jest wtórne.
- Powiedziałeś kiedyś, że zawsze potrafisz rozpoznać plagiat, bo brak w nim napięcia emocjonalnego. Pod liśćmi lilii wodnych w mojej miniaturowej ozdobnej sadzawce błyskały złote rybki. Nikola i Marion były nimi wyraźnie zainteresowane. Mówiłem, że są podobne. Spojrzałem na nie czule z domieszką goryczki. Ostatnia uwaga Marion uświadomiła mi, że bierze udział w tej rozmowie tylko przez wzgląd na mnie: brak w niej było napięcia emocjonalnego.
- Powinnaś była zapytać, dlaczego straciłem serce dla tego pomysłu.
- Kochanie, jeżeli mamy jechać po Carrów, to musimy ruszać. Jest za dwadzieścia trzecia.
- Ja jestem gotów.
- Zaraz wracam. – Pocałowała mnie w przejściu.

Oczywiście ma rację, pomyślałem. Muszę to sam przemyśleć, bo inaczej nigdy nie będę zadowolony. Usiadłem obok kota i patrzyłem na złote rybki. Ptaki uwijały się wokół kościoła karmiąc młode. W ich życiu lato zdarza się tak niewiele razy.

Właściwie tego, co chciałem powiedzieć, nie chciałem zdradzić Marion, i to ze szczególnego, bardzo osobistego powodu. Spędziłem niejedno uroczne lato z niejedną uroczą dziewczyną, a teraz była ze mną Marion, najukochańsza ze wszystkich, ta, przy której mogłem być najbardziej sobą i najswobodniej wypowiadać swoje myśli. I dlatego właśnie nie chciałem nadużywać swoich praw i musiałem zachować coś dla siebie.

Dlatego nie chciałem jej powiedzieć więcej. Nie chciałem jej powiedzieć, że teraz, gdy jestem tak szczęśliwy, nie potrafiałbym poważnie swojego opowiadania o robotach, niezależnie od tego, z jakim artystycznym bym je napisał. W moim sercu nie było wojny, jak więc mogłem uwierzyć w wojnę międzyplanetarną z jej imponowalnymi i nieprawdopodobieństwami? Jak tu zajmować się bezdusznymi metalowymi imitacjami ludzi, kiedy człowieka całuje ktoś tak miły i ciepły jak Marion?

Poza tym, czyz fantastyka naukowa nie jest wytworem rozdartej i skłóconej wewnętrznie natury człowieka? Według mnie tak, i moje własne powieści fantastyczne – naukowe mówiły głównie o sprawach mrocznych, będąc odbiciem nastroju, który dominował w moim życiu do czasu pojawienia się w nim Marion. Ale to też nie było stwierdzenie takie oczywiste.

Obraz robotów zbierających kwiaty, pomyślałem nagle, to sygnał z głębi mojej psychiki, żeby diametralnie zmienić nastawienie, odwrócić tę kwestię z Szekspira:

W skrzyniach zamknięte jedwabne rozkosze;
To czas płatnerzy...

Nadszedł czas, żebym puścił z torbami moich literackich płatnerzy i wyjął ze skrzyń jedwabne rozkosze. Moja psychika chciała skończyć ze zbrojnymi ludźmi, ale moje pełne lęków ego musiało zakończyć opowiadanie obrazem robotów przygotowujących jeszcze cięższe czasy. Cała literatura jest takim właśnie odbiciem wewnętrznej walki.

Załóżmy jednak, że ja swoje ciężkie czasy mam już za sobą... choćby tylko przejściowo... Czy nie powinienem rozbroić się, póki mogę? Czy nie powinienem, kiedy jest po temu okazja, złożyć w ofierze bogom i moim cierpliwym stałym czytelnikom jakiegoś pogodnego opowiadania, wychylić się poza moje fortyfikacje i pokazać raz wreszcie przyszłość, dla której warto żyć?

Nie, to było zbyt powikłane, żeby móc to wytłumaczyć. I dla mnie wystarczająco logiczne, żebym nie czuł potrzeby tłumaczenia tego komukolwiek.

Wstałem więc i zostawiłem kotkę rozciągniętą nad sadzawką, sięgającą co jakiś czas z nadzieją pod liście lilii wodnej. Przeszedłem przez kuchnię do gabinetu i zacząłem ładować do kieszeni rzeczy niezbędne, wyjmując z nich wszystko co zbędne, z myślą o czekającym nas pikniku. Dzień był piękny i prawie bezchmurny. Charles Carr i ja będziemy chcieli napić się piwa. To oni zapewniali posiłek, ale zdrowy instynkt kazał mi upewnić się co do piwa.

Kiedy wyjmowałem cztery puszki z lodówki, zaczęła znów warczeć. Biedaczka starzała się. Nie miała jeszcze dziesięciu lat, ale trudno oczekiwać od maszyny, żeby była wieczna. To nie literatura, gdzie można wysłać ożywioną maszynę papierowym kosmolotem w podróż przez papierowe lata świetlne i być pewnym jej niezawodności. Psychę się już o to zatroszczy. Może gdybym zaczął pisać optymistyczne opowiadania, psychę poczułaby się tym podbudowana i zaczęłaby optymistycznie myśleć, jak dziesięć i więcej lat temu.

– Zabieram tylko trochę piwa – powiedziałem, kiedy Marion zeszła z góry. Zmieniła sukienkę i umalowała usta. Wyglądała jak przystało na dziewczynę, bez której udany piknik byłby nie do pomyślenia. Wiedziałem też, że zdobędzie serca dzieciaków.

– Otwieracz jest w samochodzie, o ile pamiętam – powiedziała. A właściwie co ci się nie podoba w tym opowiadaniu?

Roześmiałem się.

– Nieważne. Po prostu wydało mi się tak dalekie od rzeczywistości. Ruszyłem do drzwi i po drodze objąłem ją ręką, w której trzymałem piwo, recytując: – „Jakże mógłbym żyć bez ciebie, bez twoich słodkich słów i pieszczot tak wdzięcznie splecionych? Adam do Ewy, ja do ciebie”.

– Piłeś piwo, mój stary Adamie. Poczekaj, wezmę torebkę. Co to znaczy dalekie od rzeczywistości? Może nie mamy jeszcze robotów, ale za to mamy lodówkę, obdarzoną wolną wolą.

– Właśnie. Dlaczego więc nie napisać fantystyczno-naukowego opowiadania o tej lodówce, o tym cudownym słońcu i o tobie, zamiast o kupie bezdusznych robotów? Widzisz tego puszystego kota w ogródku, jak usiłuje złowić złotą rybkę? On nie wie, że dzisiaj nie będzie trwało wiecznie, że reszta życia nie będzie jednym złotym popołudniem. My wiemy, ale czy nie byłoby dobrze, gdybym mógł napisać opowiadanie o tym ulotnym, złotym popołudniu zamiast o stuleciach nieszczęść i całkowitym braku tlenu?

Wyszliśmy z domu. Zamknąłem drzwi i poszedłem za Marion do samochodu. Byliśmy już trochę spóźnieni.

Roześmiała się, zgadując z mojego tonu, że mówię półzartem.

– No to napisz o tym – powiedziała. – Jestem pewna, że potrafisz. Zrób z tego opowiadanie!

Uśmiechała się wprawdzie, ale zabrzmiało to jak wyzwanie. Umieściłem piwo starannie w bagażniku i pojechaliśmy rozpaloną drogą na piknik.

Przełożył Lech Jęczmyk

Jak jeden mąż

Cztery lata po tym jak Anna Boleyn została ścięta w londyńskim Tower, w rodzinie Gladwebb przyszło na świat dziecko – niezwykle dziecko.

Tego ranka cztery osoby czekały w zimnym przedsionku sypialni milady, gdzie odbywał się poród – matka milady, ciotka, szwagierka i paż. Mąż milady, młody Sir Frank Gladwebb, był nieobecny – przebywał na polowaniu. W końcu nadszedł długo oczekiwany moment, gdy położna pośpieszyła ogłosić oczekującej pod drzwiami czwórce, że Wszechmogący (który ostatnio przeszedł na protestantyzm) uznał za stosowne pobłogosławić milady synem.

– Czemuż zatem nie słyszymy płaczu tego dziecięcia, kobieto? – oburzyła się matka milady, Cynthia Chinfont St. Giles i stanowczym krokiem weszła do komnaty córki. Tam też powody, dla których dziecko nie płakało, stały się zrozumiałe: dziecko spało.

Pozostało w tym „śnie” przez 19 lat.

Cierpliwość nie była dominującą cechą charakteru młodego Sir Franka. W tym tak ambitnym okresie historycznym Sir Frank cierpiał właśnie z powodu ambicji i wszystko, co stało między nim a karierą było natychmiast usuwane z drogi. Przerwanie polowania tylko po to, by zobaczyć pierwotnego w stanie śpiączki bynajmniej nie ucieszyło Sir Franka. Sytuacja została jednak załagodzona narodzinami drugiego syna w rok później i trojga następnych dzieci w ciągu czterech kolejnych lat. Całe to potomstwo prezentowało się jak najbardziej normalnie, a jeden z chłopców przyjął później święcenia kapłańskie i został w ostateczności opatem St. Duckwirt, gdzie symonia uzupełniała i tak już obfite dochody.

Śpiące dziecko spało i rosło. Poruszało się we śnie, czasami ziewało i nie gardziło butelką mleka. Sir Frank trzymał je w pokoju gdzieś na tyłach rezydencji i wyznaczył do opieki nad swoją latoroślą służącą o imieniu Nan i wyglądzie wiedźmy. W chwilach ślepego gniewu, lub też gdy był pijany, Sir Frank zarzekał się, że przesyje dziecko mieczem, lecz były to czcze słowa, o czym przekonali się wkrótce jego bliscy. Między Sir Frankiem a śpiącym dzieckiem istniała dziwna więź. Chociaż więc widywał je rzadko, nigdy o nim nie zapominał.

W dniu trzecich urodzin dziecka Sir Frank poszedł je zobaczyć. Leżało na środku łóża z baldachimem, a na jego twarzyczce malował się spokój. Kierowany przyływem tkliwości Sir Frank wziął je na ręce i pokołysał, słabe i bezbronne, w ramionach.

– To śliczny chłopaczek, panie – rzekła Nan. W tym momencie dziecko otworzyło oczy i wlepiło je w twarz ojca. Z okrzykiem przerażenia Sir Frank przechylił się do tyłu, niby odrzucony, przygnieciony rozmiarem tego niezwykle wydarzenia. Runął na łóżko, trzymając dziecko tak, by nie zrobić mu krzywdy. Kiedy odurzenie minęło, spojrzał na syna i zobaczył, że jego oczy są już zamknięte. I takimi pozostały przez dość długi czas.

Mijały kolejne wiosny i zimy panowania dynastii Tudorów. Śpiące dziecko nie widziało ani jednej z nich. Wyrosło w tym czasie na przystojnego młodzieńca, który otrzymał teraz służącego. Jednak jego oczy nie otwierały się nigdy, może z wyjątkiem rzadkiej okazji, gdy jego ojciec – zajęty teraz na dworze królewskim – przychodził w odwiedzinach. Z powodu słabości, jakie nawiedzały Sir Franka w tym okresie, ograniczał on te wizyty do minimum.

Zmarł dobry król Henryk, sukcesja przeszła w ręce kobiet i dzieci, Sir Frank wstąpił w służbę Roberta Devereux, hrabiego Essex, a w roku koronacji Elżbiety śpiące dziecko obudziło się.

Sir Frank, czterdziestoletni teraz mężczyzna, cieszący się ogólnym poważaniem, przybył, żeby zobaczyć pierworodnego po raz pierwszy od trzydziestu miesięcy. Na łożu z baldachimem leżał młodzieniec lat dziesiętnastu, na którego policzkach sypał się pierwszy zarost będący zapowiedzią brody równie eleganckiej jak u jego ojca. Służącego nie było w komnacie.

Czując dziwne zaniepokojenie, tak jakby coś nieokreślonego czało się tuż pod powierzchnią jego świadomości, Sir Frank podszedł do łóżka i położył ręce na ramionach chłopca. Wydawało mu się, że stoi na skraju przepaści.

– Frank – wyszeptał, bo śpiące dziecko nosiło jego imię. Frank, dlaczego się nie budzisz?

W odpowiedzi na te słowa oczy młodzieńca otworzyły się. Charakterystyczne dla nich nieprzytomne spojrzenie zniknęło jak płomień zdmuchniętej świecy. Sir Frank uświadomił sobie, że patrzy w swoje własne oczy.

Uświadomił sobie coś więcej.

Odkrył nagle, że jest dziesiętnastoletnim młodzieńcem, którego, jeststwo pozostawało dotychczas w zamknięciu. Odkrył, że może usiąść, przeciągnąć się, przejechać ręką po włosach i krzyknąć: „Na Boga!”. Odkrył, że może wstać, popatrzeć na kipiący zielenią świat za oknem, a potem odwrócić się i spojrzeć na samego siebie.

A w tym samym czasie „on sam” oglądał całe to przedstawienie swoimi własnymi oczyma. Drżąc, ojciec i syn usiedli razem na łożu.

– Co to za czary? – wykrztusił Sir Frank.

To nie były czary, a przynajmniej nie w tym sensie, w jakim rozumiał je dziedzic Gladwebb. Po prostu zdobył on jeszcze jedno ciało dla własnego ego. Nie był to taki przypadek, w którym dusza wybiera sobie od czasu do czasu inne ciało. Sir Frank był w obydwu ciałach jednocześnie. Bo kiedy syn odzyskał w końcu świadomość, była ona świadomością jego ojca.

Tegoż dnia i przez kilka następnych, podczas gdy całe domostwo radowało się przebudzeniem młodego panicza, Sir Frank przeprowadzał ostrożne eksperymenty ze swoim nowym ciałem i odkrył, że potrafi on robić wszystko to, co on sam potrafił: potrafiło jeździć konno, uprawiać szermierkę i uprawiać miłość z dziewczynką kuchenną; zaiste, potrafiło robić te rzeczy lepiej niż stare ciało, które w miarę upływu lat zaczynało już trochę tracić swoją dawną giętkość. Jego doświadczenie i wiedza służyły teraz w równym stopniu drugiemu ciału. Sir Frank był właściwie dwiema osobami równocześnie.

Późniejsze pokolenia byłyby zapewne w stanie wytłumaczyć ten fakt Sir Frankowi, chociaż wyjaśnienie to operowałoby terminami, których nasz bohater mógłby nie zrozumieć. Mimo że wiedział on wystarczająco dużo o teorii dziedzicznych cech i podobieństwa w rodzinie, nikt nie potrafiłby sprawić, by zrozumiał zawiłości nauki o chromosomach, które niesie ze sobą powyższa teoria. Nie chodzi tu bynajmniej o takie powierzchowne sprawy jak kolor włosów i temperament. Jest to kwestia tajemnej wiedzy o tym jak oddychać, jak poruszać mięśniami i układem kostnym, jak dojrzewać, jak zapamiętywać, jak kierować procesami myślowymi – kwestia nieskończonej liczby czynności, które trzeba sobie przyswoić po to, by wznieść się ponad poziom życia jamochłonów.

Dziwaczny chromosom Sir Franka sprawił, że poznał on nie tylko normalne procesy ludzkiego życia, lecz także tajemnicę swojej świadomości.

Było to niesamowite. Być w dwóch miejscach jednocześnie i robić dwie zupełnie inne rzeczy. Było to niesamowite, lecz bynajmniej nie kłopotliwe. Sir Frank miał po prostu dwa ciała uzupełniające się i zgrane ze sobą niczym dwie ręce.

Frank II używał życia na całego: młodość i doświadczenie, zdolność przewidywania i młodzieńczy wygląd połączone zostały jak nigdy przedtem. Taka kombinacja była nie do odparcia. Dziewicza królowa dobiegająca wówczas trzydziestki wezwała go kiedyś przed swoje oblicze i westchnęła głęboko. Następnie, schwyciwszy spojrzenie hrabiego Essex, oddaliła od siebie pokusę, wysyłając młodego Franka w służbę dyplomatyczną na dwór swojego szwagra Filipa.

Frank II polubił Hiszpanię. Stolica króla Filipa była o wiele weselsza, cieplejsza i posiadała klimat zdrowszy od londyńskiego. Uroki i radości obydwu dworów królewskich, przeżywane jednocześnie, mogły niejednego przyprawić o zawrót głowy. Sytuacja ta była niezwykle korzystna: wspólna świadomość Franka I i II była bezkonkurencyjnie najlepszym środkiem komunikacji pomiędzy zwaśnionymi państwami i przynosiła niezłe dochody. Frank nie zdradził nikomu swojej tajemnicy,

jakkolwiek nie tań, że posiada armię zręcznych szpiegów, którzy bez żadnego ryzyka podróżują między Anglią a Hiszpanią. Dzięki temu Frank cieszył się wielkimi względami zarówno lorda Burleigha, jak i księcia Mediny Sidoni.

Bycie dwiema osobami równocześnie było zajęciem tak fascynującym, że Frank I nie spieszył się zbyt z dokonaniem systematycznej analizy ukrytych możliwości płynących z jego sytuacji. Pechowy upadek z konia dał mu jednak w końcu szansę dłuższej medytacji. I nawet wtedy Sir Frank mógł być opuścić jakiś ważny punkt, gdyby nie pewne wydarzenie, które miało miejsce w Madrycie.

Urodził się Frank III.

Frank II przekazał światu zdradziecki chromosom przez pewną hiszpańską kurtyzanę. Dziecka, które nazwano Sancha, nie trapiła żadna śpiączka. Pokrzykiwało ono zdrowo od samego początku, tak jakby urągało powadze tajemnicy, która niczym zasłona strzegła prawdy o jego narodzinach. No i oczywiście dziecko to posiadało wspólną świadomość swojego ojca i dziadka.

Było to doprawdy przedziwne uczucie, otwieranie nowej księgi życia i poznawanie świata przez całą słabość i bezradność wieku dziecięcego. Frank I przeżywał wiele frustracji, lecz zarazem ileż radości! – wystarczy wspomnieć o intymnej bliskości z uroczą mamusią.

Te narodziny uświadomiły Frankowi pewien fakt: tak długo jak chromosom reprodukuje się sam w wystarczających ilościach – Frank był nieśmiertelny! Kwestia ta nie przedstawiała się jemu, żyjącemu w czasach o niewielkich osiągnięciach naukowych, tak jasno, lecz rozumiał ją wystarczająco dobrze, by dostrzec możliwość przenoszenia własnej świadomości z pokolenia na pokolenie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że Frank wydał jedną ze swoich córek za architekta nazwiskiem Tanyk. Ze związku tego przysłała na świat dziewczynka mniej więcej w dwa tygodnie po narodzinach Franka III (jego dziadek prawie nigdy nie myślał o nim jako o Sanchy). Frank I i Frank II uzgodnili, iż Frank III powinien przybyć do Anglii i poślubić pannę Tanyk, gdy tylko obydwójce znajdą się w odpowiednim wieku żywotny chromosom z pewnością spał przyczajony w ich organizmach i powinien ujawnić się w następnym pokoleniu.

W związku z tym, że pogorszyły się stosunki między Anglią a Hiszpanią, Frank II powrócił wkrótce do domu wraz z Frankiem III grającym rolę jego pazia. Owoce kilku innych romansów pozostały ze swoimi matkami – żadne z tych dzieci nie posiadało wspólnej świadomości, w ich żyłach płynęła tylko dobra angielska krew.

Frank II przebywał był w kraju ojczystym zaledwie kilka miesięcy, gdy jedna z zaprzyjaźnionych dam obdarzyła go Frankiem IV. Frank IV był dziewczynką, ochrzczonej imieniem Berenice. Śpiączka, która nie opuszczała Franka II przez tak długi okres jego życia, nie dotknęła ani Berenice, ani żadnego z jego potomków:

Narodziny Berenice wymagały od Franka konieczności przystosowania się do zupełnie nowej sytuacji, która wynagrodziła mu wszystkie trudności: Frank był pierwszym mężczyzną w dziejach ludzkości patrzącym na świat z punktu widzenia kobiety.

Wydarzenia następowały jedno po drugim. Zmarła żona Sir Franka. Opactwo St. Duckwirt kwitło. Frank II wyruszył na zamorską wyprawę do kolonii hiszpańskich w Ameryce. Wielka Armada natomiast wyruszyła ku angielskim brzegom i została odparta. A następnego roku Frank III (Sancha), ze swoim hiszpańskim wyglądem i angielską fortuną, zdobył rękę Rosalind Tanyk, tak jak to zostało wcześniej uzgodnione. Kiedy jego ojciec powrócił z Nowego Świata (z angielskim wyglądem i hiszpańską fortuną) zdążył akurat w sam raz, by zobaczyć ślub swojej córki Berenice, alias Franka IV.

Frank I był już wtedy posiwanym starcem i rezydował na wsi. Podczas gdy doznawał wątpliwych uroków starczego żywota we własnym ciele, przeżywał wiek średni w ciele syna oraz rozkosze małżeństwa obojga wnucząt.

Sir Frank czekał niecierpliwie na owoce małżeństwa Franka III (Sanchy) z jego kuzynką Rosalind. Potomstwa było tam dość! Jedno dziecko w roku 1590. Bliźnięta w 1591. W sumie, trójka rozkosznych maleństw, ale niestety, zwykłych śmiertelników, bez cienia wspólnej świadomości. Jednakże w dwa lata później, podczas przedstawienia krwawej i okrutnej tragedii „Tytus Andronikus” Rosalind dostała bóli porodowych i wydała na świat – w tawernie w Cheapside Franka V.

W dwóch następnych latach urodziła Franka VI i VIII. Frank VII wyszedł z Iona Berenice (Franka IV) i tak też uczynił Frank IX. Dziwaczny chromosom rozpoczął regularny cykl produkcyjny.

Ciało Sir Franka zeszło z tego świata w wieku dość zaawansowanym. Dyfteryt, który wtrącił go do grobu, naraził go na takie same cierpienia jak innych, normalnych ludzi. Umieranie nie było ułatwione przez żaden szczególny dar. Sir Frank roztopił się w wiecznych ciemnościach; lecz jego świadomość żyła dalej, bezpieczna w ośmiu innych ciałach.

Byłoby rzeczą niezwykle interesującą prześledzić dzieje owych ośmiu Franków (z których każdy nosił własne, odmienne imię i nazwisko), lecz nie miejsce po temu. Dość powiedzieć, że przeżywali zmienne koleje losu. Stara królowa uwięziła Franka II w Tower. Franka VI powaliła wstydliva choroba. Franka IX zrujnowała hodowla asparagów sprowadzonych niedawno z Azji. Pomimo tego

wszystkiego, wspólna świadomość rozprzestrzeniła się. Pięć osób, które dzieliły ją w trzecim pokoleniu, wydało na świat dzieci o takich samych zdolnościach.

Liczby rosły. Dwunastu w czwartym pokoleniu, dwudziestu dwóch w piątym, pięćdziesięciu w szóstym, a w siódmym pokoleniu, w chwili wstąpienia na tron Wilhelma i Marii, wspólną świadomość dzieliły równo sto dwadzieścia cztery osoby.

Ludzie ci, rozproszeni po całej Anglii (a niektórzy nawet po kontynencie), nie różnili się niczym od zwykłych śmiertelników. Ich rodziny i przyjaciele nie domyślali się nawet łączących ich związków. Zresztą związki te nigdy nie były ujawniane – Frankowie nie spotykali się ze sobą. Niektórzy z nich stali się kupcami, kapitanami statków handlujących z Indiami, niektórzy żołnierzami, parlamentarzystami, farmerami. Jedni rzucali się w wir walk politycznych, które wstrząsały siedemnastowieczną Anglią, inni trzymali się od tego z daleka. Lecz wszyscy byli, bez wyjątku, mężczyźni i kobiety, Frankami. Ciągnęli nieopisane korzyści z ponad stu siedemdziesięcioletniego doświadczenia swojego antenata, i nie tylko z jego, lecz z doświadczeń wszystkich poprzednich Franków. Nie ma więc nic niezwykłego w tym, że z małymi wyjątkami, w każdej dziedzinie życia, którą się zajmowali, powodziło im się nadzwyczaj dobrze.

W chwili kiedy na tron wstąpił Jerzy III, a w koloniach brytyjskich w Ameryce wybuchła rewolucja, dziesiąte pokolenie liczyło 2160 Franków.

Ambicje pierwszego Franka nie zgasły, stały się jednak bardziej wyszukane. Ambicja przerodziła się w przemożną chęć zakosztowania wszystkiego. Im więcej powłok cielesnych służyło tej idei, tym szybciej rosła jej atrakcyjność. Faktem jest, że wiele z ludzkich doświadczeń nie zostaje nigdy powtórzonych, a wiele wymyka się nam, nim zdążymy je zauważyć i zakosztować ich – albowiem tak krótka bywa epoka, która stwarza te doświadczenia.

Taka właśnie była epoka rządów króla Edwarda w latach 1901 – 1911. Odpowiadała ona bardzo elżbietańskiemu duchowi Franka ze względu na swój chełpliwy i wyuzdany charakter, no i londyńskie ulice zatłoczone konnymi pojazdami. Frankowie prosperowali wtedy świetnie – w chwili wybuchu I wojny światowej osiągnęli liczbę trzech i pół miliona.

Wojna, która tak bardzo zmieniła wygląd świata i przyspieszyła rozwój techniki, miała rujnący wpływ na rozprzestrzenioną tak szeroko wspólną świadomość Franka. Wielu Franków z szesnastego pokolenia zostawiło martwe ciała w błocie okopów. Frank umierał wiele, wiele razy, wykształcając w umyśle obsesyjną wręcz nienawiść do wojny, które to uczucie miało go już nigdy nie opuścić.

W czasie, kiedy Ameryka przystępowała do wojny, myśli Franka skierowały się ku polityce.

Nie była to łatwa sprawa. Aż do tej chwili koncentrował się on na różnorodnych rodzajach działalności i delektował się każdą z osobna. Ujeżdżał konie na południu Francji, grał w orkiestrze La Scali w Mediolanie, budował zapory wokół Jeziora Zurychskiego, kręcił filmy z Rene Clairem, łowił ryby w wodach Zatoki Biskajskiej, głosił ewangelię z ambony wiedeńskiej katedry i prowadził spory z założycielami akademii Bauhaus. Teraz kierował jednego z przedstawicieli dorastającego pokolenia wspólnej świadomości na wysokie stanowisko rządowe, rekompensując w ten sposób innym nudę i szarość ich codziennych obowiązków i mając nadzieję na szybką zmianę sytuacji.

Plany te nie zaszły jednak zbyt daleko, wybuchła II wojna światowa. Świadomość Franka, dzielona teraz przez jedenastomilionową rzeszę, cierpiała, od Plymuth i Guernsey do Syjamu i Hongkongu. Tego już było za wiele. Z chwilą gdy skończyła się wojna, głównym celem Franka stała się dominacja nad całym światem.

Chromosom rozwijał się teraz jak nigdy przedtem. Grupa krwi, wyznaczenie, kolor skóry – nic nie mogło mu stanąć na przeszkodzie. Liczba ludzi ze wspólną świadomością, rozmnażających się bez żadnych ograniczeń, potrajała się w każdym nowym pokoleniu.

17 pokolenie – 11 milionów w roku 1940.

18 pokolenie – 33 miliony w roku 1965.

19 pokolenie – 100 milionów w roku 1990.

20 pokolenie – 300 milionów w roku 2015.

Frank miał wspaniałą pozycję wyjściową w wyborach do parlamentu – każdy z jego alter ego mógł na niego głosować. Frank występował zresztą w roli kilku członków parlamentu, z których jeden został w końcu premierem, lecz sprawowanie władzy wprowadziło go w głęboką depresję. Istniał przecież o wiele łatwiejszy i pewniejszy sposób kontroli nad krajem – rozmnażanie się.

Do tego zadania wszyscy Frankowie przyłożyli się z ochoczo.

Z początkiem XXI wieku ludność Wielkiej Brytanii składała się wyłącznie z Franków. Niby nieograniczona liczba zwierciadeł patrzyli oni na siebie nad ladą w sklepie czy też w klubie, młodzi i stani, grubi i szczupli, bogaci i biedni, wszyscy, jak jeden mąż, dzielili wspólną, wielką świadomość.

W życiu publicznym i prywatnym zaszło wiele zmian. Intymność życia prywatnego zmarła śmiercią naturalną, wszystkie domy budowano ze szkła; wyrzucono zasłony, zburzono ściany. Aparat policyjny

i wymiar sprawiedliwości zniknęły prawie z dnia na dzień – człowiek nie szkodzi przecież samemu sobie. Pozostała parodia parlamentu, która zajmowała się polityką zagraniczną, lecz partie z ich przywódcami i wybory opisywane dotychczas w każdej gazecie (jak i same gazety) Przestały istnieć. Zniknęło zainteresowanie sztuką. Żaden z przedstawicieli klanu Franków nie był zainteresowany oglądaniem innego Franka na scenie. Po telewizji i wytwórniach filmowych nie został ślad.

Zwyczający w kraju Frankowie, uwolnieni od powyższych instytucji i od wielu innych podobnego pokroju, udali się za granicę, by płodzić nowych Franków.

Te radykalne zmiany w zwyczajach przysłowiowo konserwatywnych Brytyjczyków zostały zauważone w innych krajach, a w szczególności zainteresowali się nimi Amerykanie i Kanadyjczycy, którzy wysłali do Europy własnych obserwatorów.

Wkrótce fala zmian ogarnęła całą Europę. Pokój był zagwarantowany.

Z końcem następnego stulecia Rosja i Azja zostały zalane taką samą powodzią za pomocą takiej samej pokojowej metody. Miliardy ludzi – jedna świadomość.

I wtedy zdarzyło się pierwsze niepowodzenie, jakiego doświadczył Frank podczas stuleci wielorakiej egzystencji. Zwrócił swoje siły rozrodcze ku Ameryce i został odrzucony.

Od Argentyny po Alaskę, Przez wszystkie porty leżące po drodze, zdobywcy chromosom odnosił porażkę za porażką. Zwarty, olbrzymi intelekt zaczął analizować sytuację i wkrótce wyciągnął właściwy wniosek. Jakiś obcy chromosom dotarł do Ameryki jako pierwszy. Przypuszczenie to zostało niebawem potwierdzone, kiedy drastyczna fala zmian w życiu publicznym i prywatnym, podobna tej, która zalała była Stary Świat, opanowała obie Ameryki. Istniała druga wspólna świadomość.

Na podstawie różnorodnych przemyśleń Frank wywnioskował, iż Frank II, przebywając zbyt długo w zamorskich posiadłościach Hiszpanii, rozrzucił tam nieco żywotnego chromosomu, który, niezbyt jeszcze stabilny w tym czasie, rozprzestrzenił się po całym kontynencie amerykańskim w ten sam sposób, w jaki chromosom Franka zawojował resztę świata.

Sytuacja była niezmiernie trudna do wyjaśnienia. Frankowie i Amerykanie dzielili między sobą świat nie mówiąc do siebie ani słowa. Po latach intensywnych poszukiwań Frankowie znaleźli wyjście z impasu: zbudowali flotę statków kosmicznych i wyruszyli w bezdroża systemu słonecznego.

I to jest właśnie, panie, panowie i obojnaki, krótka historia dziwnej rasy, która wylądowała ostatnio na naszej planecie, Wenus, jak ją nazywają. Myślę, że możemy sobie pogratulować, iż nasz sposób zachowania gatunku jest tak różny od metod przez nich praktykowanych. W innym przypadku, nic nie zdołaloby nas obronić przed tak zdradziecką formą podboju.

Przełożyła: Barbara Flisiuk

Jeszcze jeden „Człowieczek”

Szef „Globalnej Agencji Zadar Smith” zagarnął oburącz tuzin plastikowych kształtek, podniósł je i wysypał z powrotem na biurko.

– Tak – powiedział. – Oczywiście. Na pewno zrobimy coś naprawdę nadzwyczajnego.

Pstryknął przełącznikiem i prażkowane oblicze prezydenta Stanów Zjednoczonych Obu Ameryk znikło z dużego ekranu naprzeciw biurka. Elektroniczne impulsy, które niosły jego wizerunek, wciąż drgały jak plemniki pod mikroskopem, ekran nie zamierał; w swoim czasie pracowite plemniki nakreśliły na nim wiele słynnych twarzy – Jacka Gascaddena z Gascasmów, Clowna Javę i gromadę głów państwa. Żadnemu z nich szef „Globalnej Agencji Zadar Smith” nie rzucił równie entuzjastycznego „tak”, ale Morgan Zadar nie budował potęgi swej firmy na jej powszechnej dostępności.

Kawałki plastiku uformowane były na kształt esów, iksów, zetek, ósemek i trójek oraz innych abstrakcyjnych wygibasów właściwych dla nieznanego przedmacicznego abecadła. Niektóre szczyły się ze sobą. Zadar rozdzielał je i wywoływał równocześnie sześćoosobowy Zarząd Agencji.

Zgłosili się ze swoich biur rozsianych po całym świecie: Saul Betatrom z Nowego Jorku, Dave Li Tok z Pekinu, Jerry Peran z Singapuru, Fess Reed z Antarktydy, Mazda Onakwa z Ibadanu i Thora Peabright z Bonn. Thora była jedyną kobietą na tak kluczowym stanowisku w jednym z kluczowych punktów świata.

Skinęli sobie na powitanie – satelitarnie złączone grono w czterech ścianach i w kolorze.

– J.J. Spillaine dał nam zlecenie – poinformował ich Zadar. – To nasz największy kontrakt.

– Oby nie jeszcze jeden festiwal! – jęknął Jerry Peran.

– Niewykluczone. Decyzja należy do Globalnej Agencji. Musimy uczcić pewną rocznicę. Spillaine mówi, że wszystkie kraje będą ją obchodzić i chce, żeby Stany Zjednoczone Obu Ameryk zrobiły to z największym rozmachem, dały największy i najstosowniejszy pokaz.

- A cóż takiego jest do uczczenia?
- Pomyślcie! Jaką mamy datę?
Odpowiedzieli chórem:
- Siódmy września.
- Miałem na myśli rok. Dwa tysiące czterdziesty czwarty. Czy coś wam to mówi?
Ich twarze wyrażały pustkę. Thora Peabright podsunęła z nadzieją:
- Dwusetlecie śmierci Abrahama Lincolna albo coś w tym rodzaju?
- Nie, ale jesteś na najlepszej drodze... donikąd. – Zadar potrafił być mocno uszczypliwy, zwłaszcza w stosunku do kobiet. – W przyszłym roku, szóstego sierpnia. urządzimy największy fajerwerk wszechczasów. Wasza w tym głowa, żeby wymyślić, jak to zrobimy i dlaczego. Zgłóście się, kiedy będziecie mieli coś rozsądnego do zaproponowania. Jasne?
- Co rzekłszy, znów zaczął w zamyśleniu podrzucać spiralki.
- Thora Peabright włożyła mondrianowską sukienkę, która podzieliła ją na cztery nierówne, choć apetyczne kawałki. Wywołała Saula Betatroma.
- Przyjeżdżam do ciebie do Nowego Jorku.
- Co? We własnej osobie?
- Czemu nie? Jeszcze nie nadeszła nowa era purytyzmu. Powinniśmy razem popracować nad tym projektem.
- Projekt X! Thora, co się stało szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku? To przecież nie za naszych czasów!
- Nie mam zielonego pojęcia. Może data urodzin prezydenta Forsteina?
- Wynalezienie radia?
- Pierwsze lądowanie na Księżycu?
- Urodziny Arthura C. Clarke'a?
- Powstanie Republiki Skandynawskiej?
- Śmierć Grace Metallious?
- Ho Chi Minh?
- Picasso?
- Walter Disney? – Roześmiała się. – Strzelamy w ciemno! Zastanów się, już lecę do ciebie.
- Bez pośpiechu opuściła mieszkanie, pojechała windą na sześćdziesiąte drugie piętro i wyszła na dach. Pod nią leżało całe Bonn, z Renem połyskującym metalicznie z boku. Wysoko na niebie fluoryzował czerwony napis: WITAJCIE W ZJEDNOCZONYCH NIEMCZECH – OJCZYŹNIE MEI. MEI była jedną z największych w świecie firm elektronicznych, produkowała sztuczne nerki i inne części zamienne ludzkiego organizmu, a także podstawowe wyposażenie kosmiczne. Globalna Agencja Zadar Smith prowadziła jej kampanie reklamowe. Pieściła jej kampanie reklamowe.
- Helikopter odrzutowy zabrał ją na lotnisko, gdzie musiała czekać dwadzieścia minut na następny ponaddźwiękowy lot do Obu Ameryk. Samolot uniósł ją poprzez fluoryzujący napis jej własnego projektu i w dwie godziny później kołował na lotnisku Kennedy. Odrzutówką dostała się na róg Piątej i Dwieście Dwudziestej Piątej Ulicy, do Betatroma.
- Saul miał na sobie dwuczęściowy przezroczysty strój z kwiecistego brokatu. Był niski i ciemny jak Thora, i bardzo słabo owłosiony.
- Może byśmy się pokochali, zanim się zabierzemy do pracy? zaproponował. – Spotykamy się osobiście już po raz piąty i jakoś nic dotąd między nami nie było.
- Nie czuję potrzeby, dzięki, Saul. Wczoraj miałam trzy orgazmy i dziś powinnam być na diecie.
- To po co przyjeżdżałaś? Myślałam, że po to. – Odciał się.
- Położyła mu dłoń na ramieniu.
- Nie chciałabym cię rozczarować, Saul. No to chodź. Pocałował ją.
- Jesteś kochana i chyba bardziej owłosiona ode mnie, a to mnie zawsze podnieca. Łóżko, basen czy wirówka? Na co masz ochotę? Wszystko jest na miejscu.
- Zdecydowała się na basen. Gdy złączeni dryfowali łagodnie w oleistym roztworze, powiedział:
- Przed twoim przyjazdem przeglądałem doroczny raport Azjaseksu; to nasz klient, jak wiesz. Doniesienia o ubogiej jakości orgazmu w tych krajach są naprawdę wstrząsające. Seksuolodzy rozróżniają teraz dziesięć poziomów orgazmu, a na przykład w samych Indiach, według oceny Azjaseksu, osiemdziesiąt cztery procent męskiej populacji osiąga najwyżej siódmy stopień.
- To mogą być skutki zrzucenia bomby SM na Kalkutę. To było... zaraz, kiedy skończył się indyjsko-indonezyjski konflikt lokalny?... zaledwie dwa i pół roku temu.
- Ale dane dla Kambodży są równie niskie, a od kambodżańsko-malajskiego konfliktu lokalnego minęło co najmniej pięć lat.
- Doprawdy nie wiem, ku czemu zmierza nasz świat...
- Na szczęście amerykańskie prognozy intensywności orgazmu na najbliższy rok są bardzo zachęcające.

Zapadli w hałaśliwe milczenie, aby po chwili pogratulować sobie nawzajem przekroczenia średniej krajowej orgazmu w ich przedziale wieku i grupie zawodowej.

Z musującymi napojami w ręku zasiedli do pracy. Betatrom połączył się z biblioteką satelitarną, skąd wyświetlono mu odpowiednie ustępy z encyklopedii światowej. Rozpostarł szeroko ramiona jakby dla podkreślenia skali problemu.

– To rzeczywiście duża rzecz, Thora. W przyszłym roku mija setna rocznica nowej ery: wieku nukleoniki.

Zmarszczyła się z wdziękiem.

– Myślałam, że żyjemy w wieku Planowej Gospodarki Spermy.

– To też, ale przede wszystkim mamy erę energii jądrowej, a nawet jej schyłek, jeśli wierzyć raportom o erupcjach gwiazd supernowych i możliwości ich wykorzystania.

– Era energii jądrowej... W tej chwili nic mi specjalnie nie przychodzi do głowy, ale to musi być duża sprawa, skoro Spillaine osobiście zwrócił się do Morgana.

– Właśnie. Kto podsunie Morganowi najlepszy sposób uczczenia rocznicy, może z miejsca liczyć na fotel wicedyrektora Agencji. Zabierzmy się za to razem, Thoro, podzielmy się pomysłami.

Spojrzała na niego po staroświecku.

– Widzisz, jak patrzę na ciebie po staroświecku, panie Betatrom? Kto tu kogo chce wykiwać?

– To znaczy, że już coś masz?

Roześmiała się.

– Nic a nic, wujaszku! Ale nawet – gdybym miała, to na pewno nie przyszłoby mi do głowy się tym dzielić!

– Jesteś wstrętna Niemra i do tego mniej owłosiona niż myślałam! Przez następne dwa dni Thora Peabright pracowała intensywnie nad gromadzeniem danych, naciskając bez końca różne guziki. Jej pięciu kolegów w pięciu różnych stolicach również nie próżnowało. Trzeciego dnia połączył się z nią Fess Reed z Antarktydy. Thora dobrze go znała zarówno z wcześniejszej wspólnej pracy, jak i wspólnych orgii; kiedyś razem realizowali zlecenia Monopoli Halucynogennego przed wybuchem amerykańsko-amerykańskiej zawieruchy w trzydziestym piątym roku. Od razu zauważyła jego ostrożność, zdradzającą, że o coś mu chodzi.

– Jak tam, Thora? Wymyśliłaś coś?

– Mam parę pomysłów. A ty?

– Tak się zastanawiam... – Bawił się kośćmi do gry, nie patrząc na jej obraz na ekranie. – Może te obchody należałoby upamiętnić jakimś wielkim pomnikiem, na przykład odbudową Stonehenge lub czymś w tym rodzaju.

– Świetny pomysł, Fess! Przedstawiłeś go Morganowi?

– Hmm... Ach, byłbym zapomniał! Ciekaw jestem, czy Morgan nas z tym wszystkim trochę, tego, nie podpuszczał. Może sam ma jakąś własną koncepcję?

– Jakbyś nie znał Morgana! Za to nam płaci, żebyśmy my mieli koncepcje. Skąd ci to przyszło do głowy?

Zupełnie jakby mu Thora właśnie przypomniała o głowie, Fess podrapał się po niej i ciągnął dalej:

– Wtedy gdy nas wywołał, bawił się czymś. Nie jak zwykle kośćmi do gry. Zastanawiałem się, czy nie było w tym jakiejś aluzji, jakiejś wskazówki, za którą powinniśmy pójść.

Thora łatwo wpadała w wesołość i teraz też się roześmiała.

– Och, ty detektywie od siedmiu boleści! Przecież on podrzucał spirale domaciczne! Nie mów mi, że nigdy nie widziałeś spiralki!

– Spirale domaciczne! Coś podobnego! Wiesz, Thora, ja naprawdę nigdy nie widziałem spirali domacicznej.

– Morgan dostał je pewnie jako próbki od Korporacji Wkładek Domacicznych. Zakłada się je przy urodzeniu niemowlętom płci żeńskiej, rosną wraz z nimi i zostają na całe życie, chyba że nadejdzie sygnał prokreacyjny z Centralnego Komputera.

– Spirale domaciczne! A ja myślałem, że Zadar podrzuca jakieś tajemnicze literki! Dziękuję za informację, Thoro... i mam nadzieję, że kiedyś Komputer wylosuje i twój numer!

– To już chyba nie na moją macicę, dzięki.

Rozłączyła się. Kochany stary Fess, okaz niewinności, nie poznał spirali mając ją przed oczami.

To słowo nie dawało jej spokoju. Spirala... Staroświeckie słowo, tak mocno związane dziś z życiem, gdyż wkładki domaciczne przyniosły nadzieję światu stojącemu już na skraju przepaści z powodu przeludnienia. Zaczęto je stosować obowiązkowo jeszcze przed jej urodzeniem, zaraz po włosko-hiszpańskim konflikcie lokalnym. A może był to hiszpańsko – jugosłowiański konflikt lokalny? Czy w ogóle był hiszpańsko-jugosłowiański konflikt lokalny?...

Spirala... Kiedyś to słowo kojarzyło się raczej ze śmiercią niż z życiem. Słowa dziwnie potrafią zmieniać swoje znaczenie. Chyba miało to coś wspólnego z bombami.

Połączyła się z biblioteką satelitarną, z działem encyklopedycznym i podała hasło „Bomba”. Ekran

wypełniły tasiecowe opisy bomby SM – broni wykorzystującej efekt spójnej materii, którą dysponowała jedynie Wielka Trójka: Chiny, Zjednoczone Niemcy i Stany Zjednoczone Obu Ameryk. Przełączyła na podhasło: „Historia” i zwiększyła szybkość wyświetlania. Gdy gdzieś na granicy świadomości mignęło jej słowo „spirala”, nacisnęła cofacz i zatrzymała obraz.

„Spirala Zbrojeń Jądrowych” – doktryna militarna dwudziestego wieku; zakładała, że niektóre rodzaje broni poprzedzające bombę SM mogą zadziałać skuteczniej jako potencjalna groźba niż jako rzeczywiste środki rażenia. Patrz: „Wiek XX, Militaria”. Także: „Atomowa bomba”.

Kiedy wywołała następne hasło, ekran zamigotał literami jak synchrotron. Przed jej oczami rozwijał się kilometrowy opis „Zimnej Wojny”. Zbita z tropu przybiegała wzrokiem kolejne akapity, usiłując znaleźć związek między przedstawianymi faktami a australijsko-antarktycznym konfliktem lokalnym. Dopiero po chwili zorientowała się, że nie ma żadnego związku. Tekst omawiał drobny zatarg z epoki poprzedzającej bombę SM, a nie słynną wojnę o tej samej nazwie. Kiedy naciskała kasownik, wpadła jej w oczy data: „sierpień 1945” i Thora gorączkowo ją wystukała.

Na ekranie wyświetliły się nowe dane. Sledziła je ze zwiększonym zainteresowaniem, aż w końcu doszła do historii Drugiej Wojny Światowej, o której nigdy nawet nie słyszała – ale świat był wtedy o tyle mniejszy i nikt nie postawił jeszcze nogi na Marsie, Wenus, czy Merkurym, nie mówiąc już o Nowych Planetach. Po chwili zaczęła ślizgać się wzrokiem po tekście znudzona wyliczaniem narodowości, o których też nigdy nie słyszała. Estończycy, Belgowie, Chorwaci. Przeskoczyła do Japonii. To było bardziej interesujące. Zjednoczone Niemcy prowadziły ożywiony handel z Japonią; prawdę mówiąc od japońsko – koreańskich zamieszek w trzydziestym dziewiątym roku Japończycy stali się uciążliwym konkurentem na światowym rynku, szczególnie w dziedzinie ekwipunku kosmicznego. Japońskie ochraniacze antyablacyjne, LOR – y, harpuni i kombinezony kosmiczne, śluz awaryjne, a nawet modułowe elementy stacji kosmicznych królowały na rynku wypierając produkty MEi, której dział wyposażenia kosmicznego od pięciu lat odnotowywał spadek obrotów.

Wreszcie Thora znów trafiła na datę 6 sierpnia 1945. Pierwsza broń nuklearna, mała bomba atomowa przewieziona na pokładzie samolotu, który wystartował z amerykańskiego lotniska połowego na wyspie Tinian, została zrzucona na japońskie miasto Hiroszimę. W wyniku tego posunięcia i drugiej bomby zrzuconej później na Nagasaki cesarz Japonii skapitulował.

Rozłączyła się z biblioteką satelitarną. Przez kilka minut siedziała pogrążona w myślach. Tkwiła w tym jakaś zagadka, którą należało wyjaśnić. Nacisnęła dzwonek i pojawił się jej służący, Karl; był ubrany w neutralny szary uniform i miał gładko wygoloną głowę. Skłonił się głęboko przy wejściu. – Karl, gdzieś w mieście musi być jakiś zbiór starych książek, wiesz, takich oprawionych w płótno z papierowymi kartkami. Odszukaj mi go. Zadzwoń do muzeów, starych centrów kulturalnych i tak dalej. Spróbuj w Instytucie Zapomnianych Wartości.

– Tak, pani.

– Szczególnie zależy mi na książkach z lat tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt. I pospiesz się!

Skłonił się ponownie i wyszedł. Jego rodzina przegrała w wyścigu o pozycję społeczną; ani on, ani jego dwie siostry nie byli w stanie zdać Testu Możliwości i zostali wcieleni do służby domowej na okres dziesięciu lat – była to oświecona, a nade wszystko wydajna forma niewolnictwa.

Karl zameldował się z powrotem po dwudziestu minutach, właśnie kiedy Thora zaczynała się już niecierpliwić i była skłonna nieco go popędzić.

– Bogaty zbiór książek, o jakie pani chodzi, znajduje się w Muzeum Dziejów Sprzed Epoki SM.

– Nie wiedziałam, że się zachował. Nie może być państwowy... Kto jest tam tym, jakie się on nazywa... kierownikiem, kuratorem?

– Heinry Godsmith. Bibliotekarz.

– Wybiorę się do niego osobiście. Zawieź mnie tam. Poczekaj, zmienię tylko sukienkę i majtki.

Heinry Godsmith aż drżał z podniecenia na widok pięknej kobiety co o tyle nie było dziwne, że Thora włączyła swój zminiaturyzowany mikrofalowy stymulator poziomu adrenaliny, który wprowadził jego krew w stan niejakiego wrzenia. Sama Thora również była nieco podekscytowana swoim niespodziewanym odkryciem.

– I pomyśleć tylko, że te stare, zatęchłe mury mogą kryć w sobie sekret wart ponownego wydobycia na światło dzienne! – wykrzyknęła, rozglądając się po regałach zapchanych staroświeckimi, przedelektronicznymi tomami.

– Nasz wiek nie sprzyja oglądaniu się wstecz, panno Peabright powiedział Godsmith. Był to krzepki, elegancko ubrany, sprężysty w ruchach mężczyzna. Mimo że większość życia spędzał pod ziemią wśród swoich książek, dzięki puszkowanemu słońcu był prawie tak opalony jak ona. – Czasy są teraz tak ciekawe, no i te wszystkie nowe odkrycia kosmiczne zacierają w nas pamięć o naszej własnej, ziemskiej przeszłości.

– Ale tak zwana Druga Wojna Światowa...

– Mielśmy tyle wojen ostatnio, co chwilę ginęły miliony ludzi, cóż dla nas znaczą takie stare dzieje!

Sto lat temu, phi! Ludzie wtedy nie wiedzieli, że żyją!

Zdumiona jego postawą, powiedziała:

- Przecież musi pan chyba darzyć uczuciem te książki, którymi się pan opiekuje!
- Dlaczego? Praca jak każda inna... zapewne mniej interesująca od pani pracy. A czym się pani zajmuje, panno Peabright, można wiedzieć? Z pewnością czymś ciekawszym niż ja. Czy może ma pani coś wspólnego z reklamą?
- Tak się składa, że jestem członkiem Zarządu Globalnej Agencji Zadar Smith!
- O, bardzo przepraszam za swoją śmiałość! Czym mogę służyć? A może miałaby pani ochotę na drobne cudzołóstwo?
- Mam robotę, i pan też. – Teraz, kiedy ustawiła go na właściwym miejscu, mogła się odprężyć. – Zastanawiamy się, jak uczcić stulecie narodzin ery jądrowej. Potrzebne mi są bliższe dane z pańskich książek, biblioteka satelitarna ma bardzo ubogi dział historyczny i nie zawiera żadnych dokumentów z epoki.

Godsmith spojrzął na swoje równo obcięte paznokcie.

- Nasi przodkowie byli śmiertelnie nudni, nie uważa pani? Zadręczali się poczuciem winy z powodu seksu, narkotyków, wojen, jedzenia i wszystkiego, co nam sprawia największą przyjemność. Mieliśmy wszelkie powody, żeby odciąć się od tych bzdur, nie sądzi – pani?

Przyjrzała mu się bliżej.

- Jest pan całkiem inteligentny. Co pan robi na tej głupkowatej posiadzie?
- Głównie rozmawiam z głupkowatymi klientkami. Zmieniła pani może zdanie na temat chwili nieskrępowanego seksu?
- Jestem zajęta.
- Spojrzął na nią badawczo.
- Nie wygląda mi pani na lesbijkę.
- Na nic panu nie zamierzam wyglądać, panie Godsmith. A teraz wróćmy do interesów. Kupuję wszystkie te książki. Proszę je dostarczyć pod mój adres.
- Nie są na sprzedaż.
- Daję milion krautów!
- Nie są na sprzedaż. Musi je pani przejrzeć na miejscu, pod moim nosem.
- Pod pańskim czym?

Przez tydzień pracowała w podziemiach i częstokroć była zmuszona kierować z antyrektora silny strumień promieni na podnieconego Godsmitha. W miarę jak rosła jej wiedza o przeszłości, rosło także jej poczucie niechęci i obrzydzenia. Ten odpychający Godsmith miał rację: Ziemianie z połowy dwudziestego wieku stanowili doprawdy pożałowania godne społeczeństwo, uwikłane w tysiączne winy i kompleksy. W końcu znalazła wszystko, o co jej chodziło. Zamknęła ostatnią książkę, biografię majora Eatherly, którego uznała za skończonego durnia. Heinry'ego Godsmitha nie było w pobliżu, wyszła więc po prostu i wróciła do domu, gdzie wzięła niewielką dawkę halucynogenu i pachnącą kąpiel pod kojącą opieką Karla.

Nagle ogarnął ją niepokój. Zbyt wiele dni minęło, piątka kolegów mogła już pozostawić ją w tyle w tym jubileuszowym wyścigu. Jak zamierzali uczcić szóste sierpnia dwa tysiące czterdziestego piątego roku?

Połączyła się z nimi kolejno. Wszyscy byli małowówni, ale też wszyscy uchylili rąbka tajemnicy oczarowani widokiem Thory wypełniającej ekran swoją ponętą nagością.

Kiedy ostatni rozmówca się wyłączył, wystukała ich propozycje w elektronotesie przy wannie, żeby je porównać i ocenić.

- Saul. Masowa orgia, z udziałem wszystkich głów państwa, transmitowana przez telewizję.
- Jerry. Świetlista zorza w jonosferze, widzialna z każdego punktu globu, w formie napisu: CHWAŁA NASZEJ ZIEMI.
- Fess. Rekonstrukcja Stonehenge i umieszczenie powiększonej, plastikowej repliki na Księżycu.
- Mazda. Podpalenie Jowisza super – bombą SM w celu uzyskania nowego mini – słońca.
- Dave. Wielkie, Orbitalne, Wszechświatowe Targi Elektroniki. Thorze nie podobał się żaden z tych pomysłów, może z wyjątkiem orgii Saula, no ale to już było. Nowe mini – słońce mogło dostarczyć trochę rozrywki, tylko jak do tego przekonać kolonie zamieszkujące księżyc Jowisza? Poza tym w przeciwieństwie do jej koncepcji żadna z tamtych nie miała tak wstrząsającego, bezpośredniego odniesienia do tematu. Musi zobaczyć się z Morganem Zadarem i osobiście mu ją przedstawić. Ponure dni w podziemiach Godsmitha nie poszły na marne.

Prywatne apartamenty Zadara znajdowały się w Monterey. Morgan przyjął Thorę w pokoju, w którym nadzy niewolnicy homoseksualiści zabawiali się w ściennych akwariach tworząc groteskowe drgające freski, poświęcone sztuce fellatio, pedicatio i innym rozkosznym innowacjom.

Pocałowała go w rękę witając się oficjalnie. Był imponującym, choć brzydkim mężczyzną i sapał

ciężko, jakby przed chwilą wyszedł z któregoś z akwariów. Podczas wystawnego posiłku nawiązała do tematu.

– Inni członkowie Zarządu przedstawili już zapewne swoje projekty uczczenia przyszłorocznych obchodów?

– Owszem, miałem kilka propozycji.

– Chciałabym teraz przedstawić moją. To dopiero będzie coś! Wzbudzi powszechną sensację.

Zaczęła od przygotowania gruntu, naświetlając najpierw tło historyczne. Opowiedziała Zadarowi, jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku Ameryka Północna walczyła z Japonią i wykorzystując angielskie odkrycie skonstruowała bombę atomową. W porównaniu ze współczesną bombą SM o wielkości guzika, tamta bomba była ogromna: miała czternaście stóp długości, pięć stóp średnicy i ważyła około dziesięciu tysięcy ton. Bombę tę załadowano na staroświecki samolot zwany według jednych źródeł „B-29” a według innych „Enola Gay”. Samą bombę nazwano „Człowieczek”. Samolot przewiózł ją nad japońskie miasto Hiroszimę i tam zrzucił. „Człowieczek” wytworzył kulę ognistą o średnicy tysiąca ośmiuset stóp i temperaturze stu milionów stopni. Żadna kampania reklamowa nie powstydziałaby się takiego efektu. Jakies osiemdziesiąt tysięcy ludzi zginęło na miejscu, a sto czterdzieści tysięcy umarło w ciągu następnego roku, głównie na chorobę popromienną. Zupełnie niezły wynik. Było to o godzinie ósmej minut szesnaście rano, szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku – wtedy właśnie narodziła się nowa wspaniała era energii jądrowej.

– Wybuch zakończył wojnę – mówiła Thora – i utorował drogę do coraz lepszych bomb, jak bomba Spójnej Materii, i do późniejszych błyskawicznych konfliktów lokalnych. Był to niezaprzeczalny krok naprzód. A jednak nasi dziwni przodkowie wariowali z poczucia winy, chcieli zakazać dalszych prób, kreowali Eatherly'ego na męczennika, pisali na ten temat książki, tragiczne powieści, rozdygotane opowiadania i Bóg wie co jeszcze.

– To były smutne czasy – podsumował Zadar. – Ludzie nie umieli cieszyć się życiem. Niepotrzebnie się w tym grzebałaś, Thoro, nic dobrego ci to nie przyniesie.

– Właśnie w ten sposób wpadłam na mój pomysł! Oto jak uczymy przyszłoroczną rocznicę: zdobędziemy duplikat „Enoli Gay”, rozejrzemy się, czy któreś z pomniejszych państweczek nie ma do dziś jakiejś bomby atomowej, załadujemy ją na samolot i z odpowiednim rozgłosem spuścimy ją ponownie na Hiroszimę, punktualnie o godzinie ósmej minut szesnaście rano! Jak ci się to podoba, Morgan?

Z roztargnioną miną podrapał się po nosie.

– To niezły pomysł. Ale nie ty pierwsza na niego wpadłaś... Zabrakło jej tchu. Pokój z młodzieńcami w akwariach zawirował jej w oczach.

– Nie Saul... nie Fess... Ale wobec tego kto? Dave?

– Nie, ktoś zupełnie obcy. Młody człowiek Henry Godsmith. Bystry chłopak. Od razu wziąłem go do Zarządu.

Projekt przedstawiono prezydentowi Obu Ameryk, który poddał go pod dyskusję na obradach Rady Światowej. Nie posiadając się z entuzjazmu członkowie Rady przyjęli go jednogłośnie. Dylizanse, maszyny parowe, automobile – to wszystko już mieli przy okazji różnych międzynarodowych imprez rozrywkowych. Bomby atomowej nie mieli. Tylko delegat Japonii głosował przeciw, ale go zakrzyczano – większość państw zbyt wiele ucierpiała wskutek ich nieuczciwej konkurencji handlowej, żeby dać mu posłuch.

Zadar stosował pewną żelazną regułę wobec pracowników, którzy, podsuwali znane mu już pomysły: Thora Peabright została zdegradowana.

Dostała pracę w dziale projektowania pod kierownictwem Henry'ego Godsmitha, którego apetyt okazał się nienasycony.

Nie mogli znaleźć „Enoli Gay” ani B-29, ale w starym muzeum regionalnym w Tunisie wyszperali dakotę, antyczny samolot tłokowy, który można było wykorzystać jako mniej więcej współczesny „Enoli Gay”.

gorzej poszło z bombą atomową. W którymś momencie poszukiwań Thora znalazła się wśród uczestników spotkania na szczycie małych państweczek, którym zgodnie z prawem nie wolno było używać bomb SM. Państwa te określały się mianem „niezaangażowanych” i w swoich konfliktach nadal korzystały z prostej broni jądrowej.

W konferencji udział wzięły Finlandia, Irlandia, Cypr, Brytania, Rodezja, Liechtenstein, Jemen, Wenezuela, Wyspy Falklandzkie i Hongkong. Thorze udało się odciągnąć na bok delegata Brytanii i przedłożyć mu swoją ofertę. Minister, starszy człowiek nazwiskiem Terry Spalding-Woad, obiecał, że zobaczy, co się da zrobić. Nie usatysfakcjonowana tym Thora pojechała z nim aż do Brytanii. Po raz pierwszy odwiedziła tę małą turystyczną wysepkę – Globalna Agencja pokryje koszty tej wycieczki.

Przepchnąwszy się przez tłum handlarzy i żebraków, dotarli do gmachu Parlamentu. Nastąpiła seria długich i nudnych rozmów nieoficjalnych prowadzonych w kolejnych ciasnych gabinetach i co rusz

przerwywanych przez wścibskich turystów. W końcu jednak osiągnięto porozumienie. Sam premier we własnej osobie zjawił się po oferowaną przez Thorę zapłatę.

Chowając pieniądze, powiedział:

– Muszę zwrócić pani uwagę, panno Peabright, że ta bomba nie jest właściwie bombą A tylko H, czyli wodorową, rozumie pani. Cieszę się, że mogę nią służyć. Mamy ją od osiemdziesięciu lat, w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia stanowiła naszą siłę odstraszającą, o ile pamiętam. Mam nadzieję, że jeszcze działa.

Przygotowania do obchodów ukończono na czas. Szóstego sierpnia dwa tysiące czterdziestego piątego roku stara, trzęsąca się tunezyjska dakota śledzona przez wszystkie telewizje satelitarne świata, poniosła starą, zarzewiałą, brytyjską bombę wodorową nad Hiroszimę. Zrzuciła ją w jasnym świetle poranka. Bomba zakwitła. Gigantyczna kula ognista, jaśniejsza niż tysiąc słońc, rozprzestrzeniła się błyskawicznie, pochłaniając także stary samolot ku zachwytowi widzów. Japończycy, ci którzy ocaleli, trzęśli się z wściekłości. Reszta świata zgodnie uznała, że była to prawdziwie historyczna okazja.

Wszyscy stwierdzili, z nutką sentymentu jakże w stylu zeszłego stulecia, że wielkie wydarzenia zawsze zasługują na upamiętnienie i zażądali bisu. Piloci zaczęli się szykować do lotu nad Nagasaki.

Przełożyli Blanka i Tomasz Kuczborscy

Judasz tańczył

To nie był uczciwy proces.

Rozumiecie, że nie chciało mi się słuchać zbyt uważnie, ale to nie był uczciwy proces. Przebiegał w atmosferze podejrzanego i ukradkowego pośpiechu. Sędzia, adwokat i ława przysięgłych robili wszystko, żeby załatwić sprawę jak najszybciej. Nic nie mówiłem, ale wiedziałem dlaczego tak się dzieje: wszyscy śpieszyli się na tańce.

W ten sposób upłynęło niewiele czasu i sędzia wstał, żeby ogłosić wyrok.

– Sąd stwierdza, że Aleksander Abel Ybo jest winien powtórnego zabójstwa Parowena Scrybana.

Mógłbym roześmiać się w głos. Omal tego nie zrobiłem.

– Sąd skazuje go po raz drugi na śmierć przez uduszenie. Wyrok powyższy zostanie wykonany w ciągu tygodnia.

Przez salę przebiegł szmer podniecenia.

W pewnym sensie nawet ja byłem zadowolony. Sprawa niecodzienna, bo niewielu ludzi ryzykuje powtórna śmierć; pierwsza śmierć czyni perspektywę gorszą, nie zaś lepszą. Przez jakąś minutę w sądzie panowała cisza, potem sala opustoszała z prawie nieprzyzwoitym pośpiechem. Po chwili zostałem w niej zupełnie sam.

Ja, Aleks Abel Ybo, albo w przybliżeniu on, zszedłem ostrożnie z podwyższenia dla oskarżonego i pokuśtykałem przez całą zakurzoną salę do wyjścia. Po drodze spojrzałem na swoje dłonie. Nie drżały.

Nikt nie zadał sobie trudu, żeby mnie pilnować. Wiedzieli, że mogą mnie wziąć w każdej chwili, kiedy będą gotowi do egzekucji. Rzucałem się z daleka w oczy i nie miałem dokąd uciekać. Byłem kuternogą, który nie mógł tańczyć, i nie można mnie było z nikim pomylić. Tylko ja sam mogłem coś takiego zrobić.

Na zewnątrz, w posepnym blasku słońca czekała na mnie na stopniach sądu wspaniała kobieta ze swoim mężem. Na jej widok poczułem, jak życie i ból budzą się na nowo w moich żyłach. Swoim zwyczajem uniosłem rękę na powitanie.

– Przyszliśmy zabrać cię do domu, Aleks – powiedział jej mąż podchodząc.

– Ja nie mam domu – odparłem zwracając się do niej.

– Mam na myśli nasz dom – poinformował mnie.

– Wyjaśnienie przyjmuję do wiadomości. Zabierz mnie stąd, zabierz mnie stąd, zabierz mnie stąd, o Charlemagne. I pozwól mi zasnąć.

– Niewątpliwie potrzebujesz snu po tych wszystkich przejściach powiedział, o dziwo, prawie ze współczuciem.

Czasami nazywam go Charlemagne, ponieważ mam historyczne spojrzenie, a czasami po prostu Charley. Albo Cheeps, albo Jags, albo Jagers, zależnie od nastroju. Wyglądało na to, że nie ma do mnie o to żalu. Może nawet to mu się podobało, sam nie wiem. Urok osobisty znaczy bardzo wiele, że nie muszę nawet pamiętać imion.

Zatrzymali przejeżdżającą taksówkę i wsiedliśmy wszyscy troje. Podobno to się nazywało tumbrel. Wiecie, we Francji. Tysiąc siedemset osiemdziesiąt i coś – zanim jeszcze stulecia zostały zasypane wojnami. Mąż siedział po jednej stronie, żona po drugiej, i trzymali mnie pod rękę, jakby obawiali się,

że mogę stać się niebezpieczny. Pozwalałem im na to, choć sam pomysł mnie śmieszył.

– Cześć, przyjaciele! – zwróciłem się do nich ironicznie. Czasem nazywałem ich „rodzicami”, albo „uczniami” albo czasem „pacjentami”. Różnie. – Chyba się postarzeliscie.

Wspaniała kobieta popłakiwała.

– Spójrz na nią – powiedziałem do Męża. – Jest urocza, kiedy płacze, słowo daje, wiesz, mógłbym się z nią ożenić, gdyby nie moja misja. Powiedz mu, ty wspaniała istoto, powiedz mu, jak cię odrzuciłem.

– Aleks powiedział, że ma ważniejsze sprawy niż seks – przyznała szlochając.

– Możesz więc mnie podziękować za Perditę. Była to wielka ofiara, ale jestem szczęśliwy widząc, że wy jesteście szczęśliwi. – Ostatnio często nazywałem ją Perditą. Pasowało to jakoś do niej. Roześmiał się z tego, co powiedziałem, a potem wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Tak, dobrze było żyć.

Wiedziałem, że pozwalam im odczuwać radość z tego, że żyją. Byli lojalni. Musiałem im to wynagrodzić, a nie miałem srebra ani złota.

Tumbrel zatrzymał się przed domem Charleya, powiedzmy lepiej, przed rezydencją Męża. Jakie ja już nazwy wymyślałem dla tego miejsca. Ktoś to powinien zapisywać. Dom miał modny kształt odwróconego gniazda os. Na parterze tylko drzwi do windy, ale czwarte piętro mogło już pomieścić salę balową. Tylko patrzeć, jak się przewróci. Pojechaliśmy na czwarte. Piątego nie było. Gdyby było, powinienem tam pojechać, biorąc pod uwagę, jak się czułem. Poprosiłem o piątę, żeby zobaczyć jak rozjaśnia się twarz tej wspaniałej kobiety. Lubiła, kiedy żartowałem, nawet nie mając nastroju do żartów. Czułem, że nadal kocha mnie aż do bólu.

– A teraz mały cud, wy darmozjady – powiedziałem wchodząc do salonu.

Wziąłem pusty puchar z dolnej półki i naplułem do niego. Proszę, nie straciło się jeszcze starych umiejętności. Puchar natychmiast napełnił się winem, słodkim i czerwonym jak krew. Spróbowałem, było dobre.

– Proszę, Perdito, spróbuj – powiedziałem.

Wspaniała K. odwróciła głowę ze smutkiem. Nie chciała nawet dotknąć pucharu. Mógłbym zjeść każdy kosmyk włosów na jej głowie, a ona zdawała się nie dostrzegać wina, naprawdę wierzę, że nie widziała tego wina.

– Proszę cię, tylko nie zaczynaj z tym od nowa, Aleks – poprosiła mnie znużonym głosem. Ludzie małej wiary... stara historia. (Przypomnijcie mi, żeby opowiedziałam nową, którą niedawno usłyszałem). Umieściłem swój zadek na jednym krześle, a moją kulawą nogę na drugim, i siedziałem nadąsany.

Podeszli i stanęli obok mnie... nie za blisko.

– Podejdźcie bliżej – zachęciłem ich patrząc na nich spode łba i udając, że się zloszczę. – Nie zrobię wam nic złego. Wiecie chyba, że morduję tylko Parowena Scrybana?

– Musimy z tobą o tym porozmawiać – powiedział desperacko Mąż. Pomyślałem sobie, że się postarzał.

– Myślę, że się postarzałeś, Perdito – powiedziałem.

Jego też często nazywałem Perditą. Zresztą czasami mieli tak zmartwione miny, że trudno ich było odróżnić.

– Nie będę żył wiecznie – powiedział. – A teraz spróbuj skupić się na tym zabójstwie, dobrze

Machnąłem ręką i spróbowałem beknąć. Czasami potrafię wydać odgłos niczym tonący okręt.

– Robimy wszystko co w naszej mocy, Aleks, żeby ci pomóc mówić. Słyszałem go, mimo że miałem zamknięte oczy. A wy tak potraficie? – Ale nie możemy cię ochronić, jeżeli ty sam nam nie pomożesz. Wszystko przez taniec. Nic cię tak nie zdradza, jak taniec. Musisz obiecać, że będziesz się trzymał z daleka od tańca. Chcemy, żebyś wręcz obiecał, że pozwolisz, żebyśmy cię powstrzymali. Nie dopuścili cię do tańca. Coś w tym tańcu...

Mówił i mówił, i nadal go słyszałem. Ale zaczęły się dziać inne rzeczy. Słowo „taniec” przesłoniło wszystkie inne jego słowa. Z początku było to jak trzepotanie pod powiekami. Wysunąłem rękę i ująłem dłoń wspaniałej kobiety, tak miękka i miła, i słuchałem tego słowa „taniec”, „taniec”. Niosło ono swój własny rytm, rozedrgany jak gałka oczna w głowie. Rytm narastał, Mąż krzyczał.

Nagle otworzyłem oczy.

W. kobieta leżała na podłodze, bardzo blada.

– Ścisnąłeś za mocno – szepnęła.

Zobaczyłem, że jej mała dłoń była jedyną czerwoną rzeczą, jaką posiadała.

– Przepraszam – powiedziałem. – Naprawdę zastanawiam się, dlaczego mnie nie wyrzucicie na dobre.

– Nie mogłem wytrzymać i zacząłem się śmiać. Lubię się śmiać. Mogę się śmiać nawet, kiedy nie ma nic śmiesznego. Nawet kiedy zobaczyłem ich twarze, nadal śmiałem się jak szalony.

– Przestań – powiedział Mąż. Przez chwilę wyglądał, jakby miał mnie uderzyć. Ale śmiałem się tak, że go nie poznawałem. Niewątpliwie musiało ich podnosić na duchu, kiedy widzieli, jak mi jest wesoło; czułem, że jest im to obojętne.

– Jak przestaniesz się śmiać, to zabiorę cię na dół do klubu – zaproponował mi łapówkę.

Przestałem. Zawsze wiem, kiedy przestać. Z całą skromnością, jest to wielki przyrodzony dar.
– Klub to jest miejsce w sam raz dla mnie – powiedziałem. – Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, chodźmy. – Wstałem. – Prowadźcie, moi panowie, moi wierni sojusznicy – rozkazałem.
– Ty i ja pójdziemy tam sami – powiedział Mąż. – Wspaniała kobieta tu zostanie. Powinna naprawdę już pójść do łóżka.
– Jaką ona w tym widzi przyjemność? – zażartowałem. Potem poszedłem za nim do windy. On wie, że nie lubię siedzieć zbyt długo w jednym miejscu.
Gdy tylko znalazłem się w klubie, zrozumiałem, że chciałbym być gdzie indziej. To jest najgorsze, jak się ma misję: człowiek robi się strasznie niespokojny. Czasami jestem tak niespokojny, że mógłbym umrzeć. Zwykli ludzie nie wiedzą nawet, co te słowa znaczą. Gdybym był zwykłym człowiekiem, mógłbym się z nią ożenić. Nazywa się to przeznaczeniem.
Ale klub był dobry.
Weszliśmy tam. Ja wkuśtykałem do środka. Postarałem się kuleć wyraźnie.

Klub miał ekran czasu. Muszę przyznać, że to był jedyny powód mojego zainteresowania klubem. Kobiety mnie nie interesują. Mężczyźni też nie. Nie interesują mnie żyjący mężczyźni i kobiety. Lubię ich tylko w przeszłości.

Tej nocy – omal nie powiedziałem „tej szczególnej nocy”, ale nie było w niej nic szczególnie szczególnego – ekran czasu został nastawiony z grubszą na sto sześćdziesiąt stuleci wstecz. Oglądano chyba Wojnę Kolorów, sądząc po strojach kobiet i licznych zdjęciach podziemnych. Mnóstwo ludzi spojrzało, kiedy Perdita Cezar i ja wchodziliśmy, zacząłem więc udawać, że on po raz pierwszy widzi taki ekran. Znacze mnie: fabryka śmiechu.

– Tele – oczy, kiedy są wysłane w przeszłość, zużywają niewiarygodne ilości energii w każdej sekundzie – powiedziałem teatralnym głosem. Dlatego są bardzo kosztowne, zwłaszcza że im dalej wstecz sięgają, tym więcej zużywają energii. Znacze to, że prywatne osoby nie mogą sobie pozwolić na ekrany i tele-oczy, tak jak kiedyś nie mogły sobie pozwolić na własne kina. Ten klub jest na szczęście bardzo bogaty. Jego członkowie nurzają się w złocie.

Wiele osób oglądało się już na mnie. Cezar kręcił głową i wznosił oczy ku niebu.

– Tele-oczy stają się coraz bardziej krótkowzroczne; dzisiaj nie potrafią sięgać dalej niż dwadzieścia trzy tysiące lat – mówiłem. – Z powodu ograniczonych możliwości możemy zobaczyć mojego imiennika Aleksandra Wielkiego, ale budowniczych pierwszych piramid już nie. Nauka, jak wiesz, to system, który odbiera jedną ręką to, co daje drugą. Nie zdobył się na dowcipną odpowiedź, ciągnąłem więc dalej.

– Z powodu tych ograniczeń nauki w naszych zdegenerowanych czasach okazuje się niemożliwe wysłanie człowieka dalej niż na tydzień w przeszłość. I koszt jest taki, że tylko rządy mogą sobie na to pozwolić. Jak może słyssałeś, nic nie może być wysłane w przeciwnym kierunku... ten interes nie ma przyszłości!

Musiałem się z tego roześmiać. Było to śmieszne i wyszło mi zupełnie niespodziewanie.

Wiele osób krzychało na mnie i Cezar Borgia ciągnął mnie za ramię usiłując mnie uciszyć.

– Nie chcę psuć nikomu zabawy! – krzyknąłem. – Wy sobie oglądajcie, a ja będę gadał swoje.

Ale nie chciało mi się gadać do tej gromady darmozjadów. Usiadłem bez słowa i Mały Borgia opadł na siedzenie obok mnie z westchnieniem ulgi. Nagle poczułem lekki smutek. Życie nie jest już takie jak dawniej. Kiedyś mogłem ożenić się z żoną tego męża.

– Fizycznie można się teraz cofnąć tylko o tydzień – szepnąłem a optycznie o dwadzieścia trzy wieki. To bardzo smutne.

To było bardzo smutne. Ludzie na ekranie też byli smutni. Żyli w ciężkich czasach i wyglądało, że mają z tego niewiele uciechy. Chciałem nawet nad nimi zapłakać, ale mi nie wyszło, bo akurat w tym momencie wydali mi się tylko ożywioną historią. Ujrzałem ich jako eksponaty tkwiące tam gdzieś na kilka generacji przed tym, zanim umiejętność czytania i pisanie zanikły całkowicie i ludzkość ostatecznie zrzuciła kajdany alfabetyzmu. Niewiele ich obchodziły rytmy historii, o wiele przecież ważniejsze niż wszystkie wydumane alfabety.

– Wpadł mi do głowy pewien pomysł, którym chcę się z tobą podzielić, Cezarze – powiedziałem. – To był dobry pomysł.

– Czy to nie może poczekać? – spytał. – Chciałbym obejrzeć ten program. Rzecz jest o Hołdzie Chińsko – Afrykańskim.

– Muszę ci powiedzieć, zanim zapomnę.

– Mów – westchnął z rezygnacją i wstał.

– Jesteś zbyt lojalny w stosunku do mnie – poskarżyłem się. Psujesz mnie. Powiem o tym świętemu Piotrowi, zaprawdę, powiem.

Najpokorniej w świecie wyszedłem za nim do przedpokoju. Wziął sobie szklanekę napoju od automatycznego człowieka stojącego w rogu. Drżał cały. Ja nie drżałem, chociaż w głębi mojego

umysłu czały się rzeczy, od których można było zdrzeć.

– Proszę bardzo, powiedz, do diabła, co chcesz powiedzieć – zaczął osłaniając ręką oczy. Widziałem już, jak stosuje tę sztukę; pamiętam, że zrobił to, kiedy po raz pierwszy zabiłem Parowena Scrybana. Pamięć mam dobrą poza chwilowymi zaćmieniami.

– Przyszła mi do głowy następująca myśl – powiedziałem, usiłując ją sobie przypomnieć. – Ta myśl, ach, tak. Historia. Wpadłem na nią patrząc na tych ludzi z dwudziestego drugiego wieku. Kluczem do wszystkiego jest mitologia, nieprawdaż? Chodzi mi o to, że ludzie budują sobie życie na zbiorze mitów, wszyscy ludzie we wszystkich czasach, prawda? I w naszym świecie, w świecie, który otrzymaliśmy w spadku, te ogólnie akceptowane mity miały bardzo długo charakter religijny, mniej więcej do dziewiętnastego wieku. Do tego czasu większość Europejczyków nauczyła się czytać i potem przez kilka następujących stuleci mity miały charakter literacki: tragedia nie oznaczała już różnicy między łaską a naturą, lecz między sztuką a rzeczywistością. To wielka myśl, nie sądzisz?

Juliusz opuścił rękę. Zainteresowało go. Widziałem, że zastanawia się, co będzie dalej. Sam nie bardzo wiedziałem.

– Potem środki elektroniczne – telewizja, komputery, media wizualne wszelkiego rodzaju – wyparły umiejętność czytania i pisania. Próżnię wypełniły ekrany czasu, że się tak aforystycznie wyrażę. Nasze mitologie mają teraz charakter historyczny: dziś tragedia to po prostu niemożność ujrzenia przyszłości.

Skłoniłem się przed nim z radosnym wyrazem twarzy nie wtajemniczając go w to, że mnie ta tragedia nie dotyczy. Siedział i nie odzywał się. Czasami opadał mi tak straszliwa nuda, że nie jestem w stanie z nią walczyć.

– Czy rozumiem prawidłowo? – spytałem. (Dwie kobiety zajrzały do pokoju, zobaczyły mnie i wyszły w pośpiechu. Wyczuły widocznie, że ich nie chcę, bo inaczej na pewno by do mnie podeszły. Jestem młody i przystojny, nie skończyłem jeszcze trzydziestu trzech lat).

– Zawsze umiałeś prawidłowo rozumować – powiedział Marek Aureliusz Marcom – ale nic nigdy z tego nie wynikało. Boże, jak ja jestem zmęczony.

– Z tego rozumowania coś wynika. Uwierz w to, proszę, Święty Rzymianinie – powiedziałem padając przed nim na kolana. – To, o czym ci mówiłem, to cała filozofia państwa. I dlatego, chociaż utrzymuje się karę śmierci za zbrodnie takie, jak zamordowanie łotra nazwiskiem Parowen Scryban, następnego dnia wraca się w czasie i odwołuje egzekucję. Uważa się, że zbrodniarz powinien zapłacić życiem za swoją zbrodnię, ale jeszcze silniej wierzy się, że każdy powinien przeżyć swoją prawdziwą przyszłość. Wszyscy oglądaliśmy zbyt wiele przedczesnych śmierci na ekranach. Rzymianie, Khmerowie, Celtowie, Inkowie. Anglicy, Izraelczycy. Wszystkie rasy. Pojedyncze osoby... wszyscy umierają przedwcześnie, nie wypełniwszy... – Przyznaję, że w tym miejscu rozszołałem się na jego kolanach, dzielnie jednak udając, że po prostu szczekam jak pies. „Choćby Herkules dał się posiekać, zawsze kot miauczeć będzie, a pies szczekać”. Hamlet. Nie w naszych gwiazdach, ale w nas samych. Widziałem jak W.S. pisał ten kawałek.

Plakałem na myśl, że w przyszłym tygodniu przyjdzie nieuchronnie policja, żeby mnie zdmuchnąć a potem wskrzesić zgodnie z wyrokiem. Pamiętałem, jak to było ostatnim razem. Zawsze o tym pamiętam. To trwało tak długo.

To trwało tak długo. Chociaż się wrywałem, nie mogłem się ruszyć. Ci policjanci umieli trzymać. Zaciskano mi krtań, jak tego wymagał wyrok sądu. Nie ma tlenu dla Aleksandra. Nie ma O dla A.

A potem zdawało mi się, że napłynęły pudełka. Najpierw małe, później coraz większe. Czarne pudełka, wszystkie czarne. Pojawiały się coraz szybciej, szybciej, we mnie i wokół mnie. Opowiadał wam, jak to było, na Boga. I przesłoniły mi cały, ale to cały wszechświat, czarno i czerwono, czerwono na czarnym. I tak, z płucami pełnymi pudełek, zszedłem ze świata.

Zszedłem w nicość, zszedłem w piekło.

Nie mówię, że nic się tam nie działo, tylko nie byłem w stanie zrozumieć, co się tam dzieje i brać w tym udziału. A potem znów byłem żywy.

Nagle powrócił znów dzień przed egzekucją i wysłannik rządu cofnął się o dzień i uratował mnie, tak iż z pewnego punktu widzenia nie zostałem uduszony. Ale pamiętałem, że to się stało, i pudełka, i nicość. Nie mówcie mi o paradoksach. Rząd wydatkował kilka miliardów megawoltów na wysłanie swojego człowieka po mnie i te megawolty wyjaśniają wszystkie paradoksy. Umarłem, a potem znów żyłem.

Teraz zostałem skazany na przejście tego po raz drugi. Nic dziwnego, że zbrodnie dzisiaj były rzadkością: groźba straszliwego przeżycia powstrzymywała większość potencjalnych przestępców. Ale ja m u s i a ł e m zabić Parowena Scrybana. Dopóki oni będą cofać się w czasie i wskrzeszać go, ja będę musiał znów go zabijać. Nazwijmy to zobowiązaniem moralnym. Nikt tego nie rozumie. Zupełnie jakbym żył w jakimś swoim osobnym świecie.

– Wstawaj, wstawaj! Gryziesz mnie po nogach.

Skąd ja znam ten głos? W końcu nie mogłem go dłużej ignorować. Ilekroć usiłuję się skupić,

przerywają mi jakieś głosy. Przestałem gryźć to, co gryzłem, odblokowałem wzrok i usiadłem. Był to po prostu pokój, bywałem już w pokojach. Stał nade mną jakiś mężczyzna. Nie znałem go. Po prostu mężczyzna.

– Zestarzałeś się – powiedziałem.

– Nie będę żył wiecznie, Bogu dzięki – odpowiedział. – A teraz wstań i chodźmy do domu. Pójdiesz do łóżka.

– Jaki dom? – spytałem. – Jakie łóżko? Kim ty w imię czyjekolwiek jesteś?

Wyglądał, jakby mu było niedobrze.

– Mów mi Adam – powiedział zmęczonym głosem.

Wtedy poznałem go i poszedłem z nim. Byliśmy w jakimś klubie, nigdy nie powiedział mi dlaczego. Nadal nie wiem, po co przyszliśmy do tego klubu.

Dom, do którego mnie zabrał, miał kształt odwróconego gniazda os i wszedłem do niego jak pijak. Jak kulawy pijak.

Wspaniały nieznajomy zawiózł mnie windą do miękkiego łóżka z taką troskliwością, jakbym był jego synem. Jestem autentycznie zdziwiony dobrocią, którą mi okazują nieznajomi. Sprawa uroku osobistego, jak sądzę.

Po jego wyjściu leżałem w łóżku najdłużej jak tylko mogłem w tym odwróconym gnieździe os. Potem mrok stał się gęsty i lepki, i zacząłem sobie wyobrazać wszystkie te pasiaste, chitynowo uskrzydłone ciała os kłębiące się na suficie. Chwila dłużej i spadłbym między nie głową w dół. Uparcie starałem się zwalczyć to uczucie, ale wszystko ma swoje granice.

Na czworakach wyczołgałem się z łóżka i z pokoju. Szybko i bezgłośnie zamknąłem za sobą drzwi. Ani jedna osa nie uciekła.

W oświetlonym pokoju nieco dalej rozmawiali ludzie. Podczołgałem się do drzwi patrząc i nasłuchując. Wspaniały nieznajomy rozmawiał ze wspaniałą kobietą w nocnym stroju i z obandażowaną ręką.

Ona mówiła: – Będziesz musiał rano udać się do władz i złożyć prośbę.

On mówił: – To nic nie da. Nie mogę żądać zmiany prawa. Sama wiesz, że to beznadziejne.

Ja tylko słuchałem.

Usiadł ciężko na łóżku i ukrył twarz w dłoniach, a kiedy wreszcie podniósł głowę, powiedział:

– Prawo żąda osobistej odpowiedzialności. Musimy opiekować się Alekssem. To jest znak czasu, w którym żyjemy. Dzięki ekranom uzyskaliśmy – czy nam się to podoba, czy nie – historyczną perspektywę. Widzimy na własne oczy, że całe szaleństwo dawnych czasów wynikało z niedostatków indywidualnej odpowiedzialności. Nasze prawa są tak uformowane, żeby to naprawić, i swoje zadanie spełniają. Tak się akurat składa, że dla nas jest to bolesne.

Westchnął i dodał:

– Najsmutniejsze, że nawet Aleks zdaje sobie z tego sprawę. Mówił do mnie w klubie całkiem sensownie o tym, że nie wolno uciekać przed przyszłością.

– Najbardziej mnie boli, kiedy on mówi z sensem – powiedziała wspaniała kobieta. – Uświadamiam sobie wtedy, że on jest nadal zdolny do cierpienia.

Ujął jej zabandażowaną rękę, jakby chciał ulżyć jej bólowi dzieląc go z nią pospołu.

– Pójdę rano do władz – obiecał – i poproszę ich, żeby ta egzekucja była ostateczna, bez pośmiertnego ulaskawienia.

Nawet to jej nie pocieszyło.

Może tak jak ja me rozumiała o czym rozmawiają. Pokręciła ze smutkiem głową.

– Gdyby nie ta jego kulawa noga – powiedziała. – Gdyby nie to, mógłby wytańczyć z siebie chorobę.

Jej twarz wykrzywiła się coraz bardziej.

Miałem dosyć. Więcej.

– Śmieście się i tyjcie – zasugerowałem. Chrypiałem, bo zaschło mi w gardle. Zawsze miałem migdały jak bomby. Przypomniało mi to żabę, wskoczyłem więc żabką do pokoju. Żadne z nich się nie ruszyło, usiadłem na łóżku obok nich.

– Znów wszyscy razem – rzuciłem. Nie ruszali się.

– Wracaj do łóżka, Aleks – powiedziała z wyzyn swojej wspaniałości głębokim głosem.

Przyglądali mi się. Bóg jeden wie, co chcieli, żebym zrobił albo powiedział. Zostałem tam, gdzie byłem. Zielony zegarek na zielonej półce pokazywał dziewiątą.

– Wielkie nieba – westchnęła. – Co przyniesie przyszłość

Tamten zielony zegarek pokazywał minutę po dziewiątej. Czulem się tak, jakby jego mała wskazówka powoli wypruwała mi wnętrzności.

Wiedziałem, że jeżeli poczekam odpowiednio długo, to będę musiał o czymś pomyśleć. Mówili coś do mnie, a ja czekałem i myślałem. Nie mam pojęcia, co dobrego chcieli przez to osiągnąć, ale wiedziałem, że nie zrobię im krzywdy. Chcieli dobrze. To najlepsi ludzie pod słońcem. Co nie znaczy,

że muszę słuchać tego co mówią.

- Olśniła mnie myśl o zegarze. Boskie natchnienie.
- Zaczęły się tańce – powiedziałem zrywając się jak nóż sprężynowy.
- Nie! – zawołał Maż.
- Nie! – powtórzyła Perdita.
- Zestarliście się – powiedziałem im. To moje ulubione powiedzenie.

Wybiegłem z pokoju trzasnąwszy drzwiami, pokuśtykałem korytarzem i rzuciłem się do windy: Z nieskończeniem małym opóźnieniem wybrałem właściwy guzik i zjechałem na parter. Tam zablokowałem ażurowe drzwi windy krzesłem, co ją unieruchomiło.

Przechodnie nie zwracali na mnie uwagi. Głupcy, nie zdawali sobie sprawy kim jestem. Nikt nie odezwał się do mnie, kiedy pośpiesznie szedłem ulicą, więc oczywiście odpowiedziałem tym samym.

W ten sposób doszedłem do miejsca tańców.

Każda społeczność ma swoje miejsce tańców. Są trzy takie miejsca w Związku. Pomyślcie o wszystkim, co w przeszłości znaczył teatr, zawody gladiatorów, książka i sport. Teraz wszystko to wcieliło się w taniec. Zrozumiałe, bo tylko przez taniec, taki taniec jak nasz, można interpretować historię. A my żyjemy interpretacją historii, ponieważ na ekranach czasu widzimy, że historia to życie. Żyje wokół nas, więc ją tańczymy. Chyba że jesteśmy kuśtyk – kuśtyk kulawi. Na trzydziestu stałych scenach odbywało się jednocześnie wiele tańców. Sceny nie były od siebie oddzielone, tak że widzowie lub tancerze przechodząc ze sceny na scenę mogli czuć, że wszystko zdarza się jednocześnie, co jest wrazeniem, jakie daje ekran czasu.

To właśnie tak dziko kocham w historii. To nie jest przeszłość, to coś, co trwa nadal. Kleopatra zawsze spoczywa w spoconych objęciach Antoniusza, Sokrates wciąż pije swoją cykutę. Wystarczy wybrać odpowiedni ekran albo odpowiedni taniec.

Większość tancerzy to amatorzy, choć słowo to niewiele znaczy tam, gdzie każdy tańczy swoją rolę, kiedy tylko jest to możliwe. Stałem wśród tłumu i patrzyłem. Żywe ruchy podniecają mnie, wprawiają w trans. Po jednej mojej stronie Marco Polo majestatycznie przemierza Kataj w drodze na dwór Kubilaj Chana. Przede mną czwórka dzieci, które przedstawiają satelitów Jowisza, biegnie na spotkanie posępnej postaci Galileusza. Po drugiej stronie perski poeta Firdausi odjeżdża na wygnanie do Bagdadu, a Suryavarman wznosi przepiękny pałac w starym Ankorze. Jeszcze dalej dostrzegam wyruszającego na morze Heyerdahla.

I jeżeli zrobię zezą, tratwa, teleskop, pogoda, pałac, palma nakładają się na siebie. Jakie to znaczące! Gdybym tylko mógł to wytańczyć!

Nie mogę ustać w miejscu. Znow jest ze mną mój niepokój, mój jedyny towarzysz. Ruszam przed siebie nie koncentrując wzroku. Obchodzę albo przecinam sceny kuśtykając wśród tańczących. Czuję jakiś przymus, nie pamiętam jaki. Nie pamiętam nawet kim jestem. Przekroczyłem już granicę osobowości.

Wszędzie taniec staje się szybszy, dostosowując się do rytmu mojego serca. Nie mógłbym skrzywdzić nikogo poza jedną osobą, która skrzywdziła mnie na wieki. To jego muszę odnaleźć. Dlaczego oni tańczą tak szybko. Te ich ruchy poganiają mnie jak uderzenie bata.

Nagle trafiłem na lustro. Stoi na zatłoczonej scenie. Walczę ze stworem w nim uwięzionym, przekonany, że jest prawdziwy. Potem dociera do mnie, że to tylko lustro. Potrząsam głową, czekam aż krew odpłynie mi z oczu i przyglądam się sobie. Tak, to niewątpliwie ja. I przypominam sobie, kim mam być.

Po raz pierwszy zrozumiałem, kim mam być, kiedy jako dziecko zobaczyłem jeden z największych dramatów świata. Pamiętam go jak dziś na ekranie czasu. Żołnierze, centurioni i zadowolone z siebie rzesze. Niebo pociemniało, kiedy wbijali w ziemię trzy krzyże. I kiedy ujrzałem człowieka, którego przybili do środkowego krzyża, zrozumiałem, że mam Jego twarz. Zrozumiałem, że ja jestem Nim.

Oto mam teraz przed sobą tę samą szlachetną twarz, która spogląda na mnie z lustra z bólem i współczuciem. Nikt mi nie wierzy. Przestałem im mówić kim, jak wierzę, jestem. Ale wiem, że jedną rzecz muszę zrobić. Muszę.

Teraz więc znow biegnę kuśtyk-kuśtyk, wiedząc już, czego szukam. Tyle tych wielkich dekoracji, kolumny, płyty betonu i plastyku, biegam między nimi, szukam.

Wreszcie mam. Ten dramat tańczą zawodowcy, mój dramat, tak trudny, i smutny. Piłat w gołębioszarym, Maria Magdalena w zielonym, Piotr ma szatę błękitną. Otacza ich grupa tancerzy reprezentujących obojętny tłum. Ja .nie jestem obojętny! Moje oczy płonąć szukają wśród nich. Aż wreszcie mam człowieka, którego szukam.

Właśnie opuszcza scenę, żeby odpocząć za kulisami przed swoim ostatnim wejściem. Idę za nim kryjąc się jak krab wśród wodorostów.

Tak! Jest do mnie bardzo podobny. Jest moim żywym odbiciem i dlatego też nosi Tamtą twarz.

Teraz jednak pokrywa ją warstwa szminki, jest różowa i nieruchoma, i bez świateł sceny wygląda jak twarz trupa.

Jestem tak blisko, że widzę tę grubą maskę z brudami i zmarszczkami od potu i mimiki. Dobrze znam prawdziwą twarz ukrytą pod tym wszystkim, choć nałożona na nią charakterystyczna przedstawia Judasza.

Mieć Tę twarz i grać Judasza. To najgorsza z możliwych niegodziwości. Ale to jest właśnie Parowen Scryban, którego dwukrotnie już zamordowałem za to właśnie bluźnierstwo. Pewne pocieszenie stanowi myśl, że chociaż rząd cofnął potem czas i uratował go, to jednak musi on pamiętać te prawdziwe śmierci i zawsze będzie je pamiętać. Teraz muszę go znów zabić.

W momencie, kiedy wchodzi do garderoby, mam go. Moje palce ślizgają się w tej różowej mazi, ale pod spodem jest twarda skóra. Jest mniejszy, szczuplejszy, wyczerpany tańcem. Pada na twarz ze mną na plecach.

Zabijam go, chociaż za kilka godzin cofną czas, uratują go i wszystko to się nie wydarzy. Nie słyszę krzyków: dusić. Na Boga, dusić.

Razy sypią się na moją głowę, ale to nie ma znaczenia. Scryban powinien być już martwy. Zdrajca. Staczam się z niego i pozwalam, żeby wiele rąk związało mnie w kaftan bezpieczeństwa.

W oczach mam wiele świateł. Wiele głosów mówi naraz. Leżę i zdaje mi się, że poznaję dwa z tych głosów, jeden męski i jeden kobiecy.

Mężczyzna mówi:

– Tak, panie inspektorze, wiem, że zgodnie z prawem rodzice odpowiadają za swoje dzieci. Dbamy o Aleksa najlepiej jak możemy, ale on jest szalony. To degenerat. J... Boże, jak ja nienawidzę tej kreatury.

– Nie wolno ci tak mówić! – woła kobieta. – Cokolwiek robi, jest przecież naszym dzieckiem.

Mają zbyt przenikliwe głosy jak na ludzi, którzy mówią prawdę. Nie mam pojęcia, o co robią tyle szumu. Otwieram oczy i patrzę na nich. Ona jest wspaniałą kobietą, ale nie poznaję ani jej, ani mężczyzny. Oni mnie nie interesują. Za to poznaję Scrybana.

Stoi i rozciera sobie gardło. Wygląda okropnie z tymi dwiema twarzami wymieszanymi jak u Picassa. Oddycha, więc wiem, że znów cofnęli czas i uratowali go. Nie szkodzi, będzie pamiętać, będzie zawsze pamiętać.

Człowiek, którego nazywają Inspektorem (kto, u diabła, wymyślił takie imię?) podchodzi do Scrybana.

– Pański ojciec mówi, że jest pan bratem tego szaleńca – zwraca się do niego. Judasz spuszcza głowę nie przestając rozcierać sobie szyi.

– Tak – mówi równie cicho, jak kobieta mówiła głośno. To dziwne, jak ludzie się różnią. – Aleks i ja jesteśmy bliźniakami. Zmieniłem nazwisko wiele lat temu. Kwestia popularności... rozumie pan... szkodziło to mojej karierze...

Jakież jestem znużony i znudzony.

Kto jest czyim bratem, zadaję sobie pytanie, kto jest czyją matką? Ja jestem w szczęśliwej sytuacji, nie mam krewnych. Ci ludzie nie wyglądają na wesołą kompanię. Najsmutniejsza kompania we wszechświecie.

– Wszyscy się zestarzelicie! – krzyczę nagle.

Inspektor podchodzi i staje nade mną, co mi się nie podoba. Ma kolana w połowie długości nóg. Udaje mi się przybrać postać trytona z solniczki Benvenuto Celliniego i inspektor odwraca się do Męża.

– Dobrze – mówi. – Widzę, że jest to jedna z tych spraw, za które nikogo nie można winić. Postaram się, żeby ułaskawienie unieważnić. Tym razem jak umrze, to pozostanie martwy.

Mąż obejmuje Scrybana. Wspaniała kobieta zaczyna płakać. Wszyscy zdrajcy! Wybucham śmiechem tak głośnym, chrapliwym i okropnym, że nawet mnie to przeraża.

Nikt z nich nie rozumie jednego: za trzecim razem znów zmartwychwstanę.

Przełożył Lech Jęczyk

Kamyczki Poety Tu Fu

Dwudziestego dnia Piątego Miesiąca Roku V, czy też Ta-Li, co według starego chrześcijańskiego kalendarza odpowiadało majowi A.D. 770, odbywałem wraz z wiekowym poetą Tu Fu podróż w dół rzeki Jangcy.

Tu Fu był już wtedy aż skurczony ze starości, ale jego słowa, a także to, co potrafił zawrzeć między nimi, nic nie straciły i nigdy nie tracą ze swej świeżości. Nigdy nie zdarzyły mi się spotkać kogoś równie jak on kulturalnego, a zarazem zabawnego, co tłumaczy chyba, dlaczego tak długo zatrzymałem się w tej epoce. Od tamtego czasu zastanawiam się często, czy przypadkiem sztuka bycia zabawnym, wiążąca się przecież nierozdzielnie z koniecznością odseparowania się od własnego „ja” i obiektywnego na nie spojrzenia, nie jest jednym z najbardziej niedocenianych składników naszej cywilizacji. W wielu epokach być zabawnym znaczy tyleż samo co być śmiesznym. Ludziom rzadko kiedy zdarza się rozumieć, co jest naprawdę istotne, Tu Fu natomiast doskonale to rozumiał.

Chociaż mędrzec ów był już wtedy chory i przypominał raczej niewielkie zawiniątko z grzechoczącymi w nim kośćmi, zapragnął raz jeszcze przed swoją śmiercią odwiedzić Białego Króla. Obawiam się, co prawda, że pojawienie się mej wychudzonej osoby w miejscu zwanym Białym Królem może dać duchowi Białego Rycerza wystarczający powód dla ostatecznego rozprawienia się ze mną – wyznał.

To prawda, że biały jest w Chinach kolorem śmierci, ale miałem wątpliwości, czy tego rodzaju słowno-zdarzeniowy kalambur może zmusić duchy do działania. Czyżby były aż tak wrażliwe na słowa?

– A co poza słowami może stanowić ich strawę? – zapytał Tu Fu. – Nie wyobrażam sobie duchów jedzących czy pijących cokolwiek, chociaż słyszy się nawet o takich jarzących pod drzwiami. Są zmuszone prowadzić nudne, czyste d u c h o w e życie – zachichotał.

Było to powiedziane tonem przesyconym spirytualizmem, jako że nieszczęsny Tu Fu musiał jakiś czas temu zrezygnować z picia alkoholu. Kiedy zrobiłem na ten temat jakąś uwagę, odpowiedział:

– Tak, tak, wiodę nędzny żywot na balkonie życia i nie wolno mi nawet pić, bo mógłbym przelecieć przez balustradę.

Ale nawet ta jego uwaga nie nosiła znamion uzalania się nad własnym losem. Współczuł wszystkim, którzy starzeli się i stawali nie przygotowani w obliczu śmierci, chociaż, jak sam kiedyś zauważył, „gdybyśmy czekali, aż będziemy gotowi, świat udusiłby się pod kilometrowej grubości warstwą nie przygotowanych”. Mogłem się na to tylko uśmiechnąć.

Wreszcie dotarliśmy do Białego Króla. Kiedy łódź przybiła do mola, pomogłem staruszkowi wyjść na brzeg. Oto, co chcieliśmy tu zobaczyć: ze wzburzonych wód rzeki wylaniały się rzędy białych głazów, wspinając się na jej strome brzegi; ostatnie z nich stały dumnie na skraju uprawnego pola.

Podziwiałem energię, z jaką poczynił sobie Tu Fu. Większość podróżnych skupiła się wokół sprzedawcy napojów, który rozłożył swój kramik na jednym z kamieni, inni wdrapywali się na wyniosłość, by stamtąd podziwiać piękny widok. Stary poeta koniecznie chciał przespacerować się między kamiennymi monolitami.

– Kiedy przed wielu, bardzo wielu laty odwiedziłem po raz pierwszy te okolice – powiedział Tu Fu, gdy przystanęliśmy koło górującego nad nami głazu – zainteresowała mnie naturalnie zagadka pochodzenia tych kamieni. Zapytałem o to miejscowego urzędnika. Powiedział mi: „Bóg zwany Wielkim Łucznikiem zrzucił je tutaj z nieba – to pierwsze wyjaśnienie. Zostały ustawione przez pewnego potężnego władcę dla uczczenia faktu, że Jangcy płynie w kierunku wschodnim – to drugie wyjaśnienie. Znalazły się tutaj zupełnie przypadkowo – to trzecie wyjaśnienie”. Zapytałem go więc, które z tych trzech wyjaśnień on sam uważa za prawdziwe i oto, jaką otrzymałem odpowiedź: „Cóż, młody kolego, przezorność nakazuje mi wierzyć we wszystkie trzy i będę wierzył w nie dopóty, dopóki nie usłyszę czwartego, bardziej niż one przekonującego. Czyż można wyobrazić sobie żeby łatwości, roztropność i skrajny sceptycyzm mogły być ze sobą zgrabnie połączone?”

Roześmieliśmy się obaj.

– Daleko musiał zająć ten urzędnik.

– Och, z pewnością. Do sąsiedniego pokoju na przykład przeniósł się jeszcze zanim zdążyłem opuścić jego biuro. Przez długi czas zastanawiałem się nad tym, co powiedział o królu, pragnącym upamiętnić naturalny przecież fakt, że Jangcy płynie w kierunku wschodnim. Przestać zaprzętać sobie umysł podobnie bzdurnymi pomysłami mogłem jedynie pisząc wiersz na ten temat.

Roześmiałem się, przypomniawszy sobie te strofę i wyrecytowałem mu ją:

I bez wiązania suplów na mej szacie

Pamiętam do dziś, jak Li mnie całowała;

Próżność małych królów rzekom pomniki stawiała

Lecz sami zginęli w niepamięci błocie.

– Poezja może sprawiać autentyczną przyjemność – rzekł Tu Fu – jeżeli jest tak dokładnie zapamiętana i deklamuje się ją tak pięknie, jak ty to uczyniłeś. Potrzebowałeś jednak impulsu, który sprawił, że przypomniałeś sobie i zacytowałeś te strofę.

– Możesz mi wierzyć, panie, że uczyniłem to bez ociągania. Spacerowaliśmy między monolitami obserwując, jak wściekle spienione, wzburzone wody Jangcy przeciskają się między potężnymi głazami, by po pokonaniu przelomu płynąć już spokojnie w stronę oceanu. Tu Fu wyznał, że według

niego kamienie te mogą być pomnikiem ustawionym przez Chu-Ko-Lianga dla utrwalenia jego słynnego manewru taktycznego, który zapewnił mu zwycięstwo w wielu bitwach toczonych podczas Wojny Trzech Królestw.

– Czy w chwilach takich jak ta nachodzą cię może jakieś głębsze refleksje? – zapytał po pewnym czasie Tu Fu. Uderzyło mnie wtedy, jak trudno jest spotkać kogoś, obojętnie – starszego czy młodszego wiekiem, kto byłby rzeczywiście zainteresowany naszymi myślami.

– Jeżeli miałyby one dotyczyć niewzruszonej twardości kamienia i ciągłości, niepodzielności wody, to z pewnością powinny być głębokie. Ja jednak nie mam żadnych.

– No, no – powiedział z naganą w głosie – rzeka płynie dla ciebie za szybko, żeby wywołać jakieś refleksje. Gdyby to jednak była woda stojąca...

– Chociaż woda w rzece płynie szybko, to rzeka stoi, rzec by można, w miejscu, panie.

– Wypadaloby mi teraz albo pogratulować ci konceptu, albo załamać nad tobą ręce. Spójrz jednak, proszę, na te oto kamienie i powiedz mi, co widzisz. Ciekaw jestem, czy dostrzeżesz to samo, co ja.

Coś w tonie jego głosu zasygnalizowało mi, że oczekuje ode mnie czegoś więcej niż tylko żartów. Przebiegłem wzrokiem wzdłuż brzegu, usianego materiałem skalnym najróżniejszych rozmiarów – od ziarenek piasku po kamienie wielkości ludzkiej głowy: Leżały tam, dokąd z racji ich ciężaru zdołał je donieść prąd wody.

– Przyznam, że nie widzę niczego niezwykłego. Widok wydaje mi się znajomy, chociaż jestem tutaj po raz pierwszy w życiu. Podobny obraz można ujrzeć na brzegu każdej wzbierającej okresowo rzeki albo na plażach nad Morzem Żółtym.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że Tu Fu patrzy gdzieś daleko przed siebie, chociaż przyznał mi się kiedyś, że wzrok bardzo mu się ostatnio pogorszył. Czułem, że myśli nad czymś intensywnie i przygotowałem się do jeszcze bardziej niż dotąd przekonywającego odgrywania roli nieświadomionego, o niczym nie wiedzącego słuchacza.

– Tysiące ludzi przybywają co roku do tego miejsca – powiedział. – Podziwiają olbrzymie kamienie Chu-KO-Lianga, znane powszechnie jako „Osiem Zgrupowań”. Z całą pewnością to, co wielkie godne jest podziwu, a sam akt podziwiania jest bardzo korzystny dla naszego życia emocjonalnego, pod warunkiem oczywiście, że nie musimy zachwycać się czymś przez cały rok na okrągło. Podobnie jak za pierwszym razem, kiedy się tutaj znalazłem, podziwiałam co innego niż wszyscy, a mianowicie te oto kamienie, które widzisz na brzegu.

Powiał lekki wietrzyk i przez moment poczułem zapach czegoś smakowitego, być może przyprawionej imbirem zupy z krabów, którą w pobliżu miejsca, gdzie przycumowano naszą łódź, podgrzewał nad ogniskiem sprzedawca smakołyków. Rozdrażniony nieco wywołanym przez ten zapach uczuciem głodu pomyślałem, że człowiek, nim jeszcze nieodwracalnie zawładnie nim starość, powinien dać trochę poużywać swemu biednemu, drogocennemu ciału, bo przecież materia zużywa się znacznie szybciej od ducha; irytacja moja nasiliła się jeszcze, bo zdawało mi się, że wiem, co za chwilę powie Tu Fu. Przykro mi było pomyśleć, że poddał się działaniu magii liczb. Jednak jego uwaga zaskoczyła mnie.

– Zachwycają się tymi olbrzymimi głazami, ponieważ ich pochodzenie nie da się niczym wytłumaczyć. Powinniśmy raczej zachwycać się tymi oto zwyczajnymi kamieniami, właśnie z racji całkowitej jasności co do ich pochodzenia. Przejdźmy się trochę po nich.

Razem więc rozpoczęliśmy wędrowkę, najpierw po bardzo niewygodnym gruboziarnistym żwirku, bliżej wody. Potem był pas czystego piasku, po nim, nagle, masa kamyków, coraz większych, wreszcie stopy sporych kamieni, z którymi Tu Fu wołał się już nie mierzyć. Obeszliśmy je, by znaleźć się na kolejnym pasie piasku, sąsiadującym z niemal dokładnie okrągłymi kamieniami wielkości pięści. Te na powrót ustąpiły miejsca zwirowi. Nasza wędrowka była w dwójnasób niewygodna, jako że linie podziału między różnymi typami podłoża biegły nie tylko równoległe do linii brzegowej, ale i w poprzek plaży, łatwe do zauważenia dzięki pozostawionym przez wodę wodorostom i maciupeńkim, białym pancerzykom martwych skorupiaków. Tu Fu radził sobie jak mógł, wsparłszy się na moim ramieniu. – No, będzie dosyć, albo nawet trochę więcej – wysapał wreszcie. – Czy teraz widzisz już, na czym polega niezwykłość tej plaży?

Muszę przyznać, że Wydaje mi się jak najbardziej zwyczajna – odparłem, nie dając po sobie poznać moich myśli.

– Zwróć uwagę, że kamienie są poukładane na niej jakby według rozmiarów.

– Nic w tym nadzwyczajnego, panie. Równie dobrze mógłbyś kazać mi zachwycać się faktem, że uczniowie w klasie posadzeni są według wzrostu.

– Aha! – Zatrzymał się i gładząc swą długą, siwą brodę spojrział na mnie z uśmiechem. – Zgodzimy się chyba, że uczniowie siedzą w taki właśnie sposób zgodnie z wolą nauczyciela. A teraz – zgodnie z czym? – Zgodnie z czym? – Zgodnie z wolą poukładane są te miliony kamyczków?

– Nie trzeba do tego niczyjej woli. Wystarczy samo nieustanne, bezrozumne działanie wody. Gra, rzec by można, nieorganicznych organów.

Tu Fu zakaszłał i otarł ślinę ze swych wąskich ust.

– Chociaż twierdzisz, że pochodzisz z odległej przyszłości, co, muszę przyznać, brzmi dla mnie dosyć niezwykle, znane ci są prawa rządzące tym zwyczajnym przecież światem. Podobnie więc jak większość ludzi nie dostrzegasz niczego niezwykłego w otaczających nas tutaj kamieniach.

Przypuśćmy jednak, że urodziłeś się, powiedzmy... – przerwał i rozejrzał się dokoła i w górze, na tyle energicznie, na ile pozwalał mu wiek – powiedzmy na Księżycu, o którym niektórzy mędrcy twierdzą, że jest martwym światem, pozbawionym życia, kobiet i wina... Gdybyś wtedy przybył do naszego świata i podróżując po nim napotykał wszędzie tak właśnie jak tu poukładane kamienie, wszędzie, gdzie byś się znalazł, do brzegów jakiegokolwiek morza byś dotarł, wszędzie widziałbyś kamienie poukładane według wielkości, co byś wtedy pomyślał?

Zawahałem się. Tu Fu był niebezpiecznie blisko prawdy. – Że warto by zjeść trochę zupy z krabów, panie.

– Na pewno nie, jeśli byś pochodził z Księżyca, na którym z niewiadomych przyczyn, o ile to, co się nam mówi jest prawdą, nie można dostać przyprawionej imbirem zupy z – krabów. Doszedłbyś raczej do absolutnie nieuchronnego wniosku, że kamienie na tej planecie poukładane zostały celowo w taki właśnie, a nie inny sposób przez jakąś nadrzędną Inteligencję, podobnie jak w przytoczonym przez ciebie przykładzie klasy z usadzonymi według wzrostu uczniami.

Powiał chłodniejszy wiatr i Tu Fu podniósł kołnierz swego watowanego płaszcza.

– Uznałbyś, że Inteligencja ta opętana jest jakąś obsesją, że jej straszliwy umysł nie myśli w kategoriach języka, co by było jak najbardziej ludzkie, lecz w kategoriach liczb, co już ludzkie absolutnie nie jest. Doszedłbyś do przekonania, że działa ona pod wpływem kategoriycznego imperatywu, nakazującego jej przemierzać wzdłuż i wszerz całą planetę, ważąc i mierząc każdy z miliardów kamieni i układając je w sterty, zależnie od wyników tych pomiarów. Sterty nie mające służyć żadnemu, choćby dekoracyjnemu celowi. Im więcej byś podróżował i im więcej takich właśnie stosów byś napotykał, dziesiątki, setki tysięcy może, każdy składający się z nieprzeliczonego mnóstwa kamieni, tym większy by cię ogarniał niepokój. I do jakiego wreszcie wniosku byś doszedł?

– Że lepiej było nie ruszać się z domu – roześmiałem się, nieco już zirytowany.

– Może. Ale nic by ci to nie dało. Zauważyłbyś bowiem, iż owa Inteligencja zainteresowana była tylko i wyłącznie kamieniami można by więc śmiało uznać, że do wszystkiego innego odnosi się z wrogością, a szczególnie do tego, co zakłóciłoby jej działanie w tym jednym, wybranym celu.

– Takim czymś może być na przykład ludzkość?

– Otóż to. – Wskazał na plażę, gdzie nasi współpodróżni albo siedzieli na kamieniach, albo zabawiali się kopaniem ich, podczas gdy dzieci usypywały je w stopy lub wrzucały do rzeki.

– Nasza opanowana obsesją, pracowita, metodyczna Inteligencja bardzo szybko musiałaby stracić cierpliwość dla ludzi, zajętych głównie przywracaniem bezładu tam, gdzie z trudem udało się wprowadzić porządek.

Odniosłem wrażenie, że przestraszył się swojej własnej wizji, toteż powiedziałem:

– To może dobry pomysł na jakiś wiersz, ale nic ponadto. Wracajmy lepiej do łodzi, załoga jest już na pokładzie.

Staraliśmy się w miarę możliwości nie zakłócić spokoju zalegających plażę kamieni. Tu Fu kaszłał przez dłuższy czas.

– Tak więc sądzisz, że to, co powiedziałem o żyjącej gdzieś na Ziemi Inteligencji, może co najwyżej stanowić pretekst do napisania wiersza? – zapytał. Schylił się ostrożnie po jeden z kamieni, drugą ręką podpierałszy się w okolicach krzyża, by nie zginać kręgosłupa. Zatrzymaliśmy się obaj, przyglądając się spoczywającemu na pomarszczonej dłoni poety kamykowi. Nie istniały żadne słowa mogące dokładnie oddać jego kształt, czy choćby specyficzny układ kremowych, białych i czarnych plamek, który wyróżniał go spośród jego sąsiadów. Patrząc na niego Tu Fu zaimprovizował epigram:

Kamyk w mojej dłoni
kryje tajemną historię;
wiatry i czasy nieznane,
rzeki nie oglądane.

– Nie wiedząc o tym, panie, wyzwoliłeś właśnie ten kamyk z więzów czasu i przestrzeni. Czy mogę go zatrzymać?

Kiedy mi go dał i kiedy byliśmy już blisko sprzedawcy smakołyków, powiedział nieco weselszym tonem:

– Lekarstwa, jakie bierzemy dla podreperowania naszego zdrowia, budzą w nas często odrazę. Czy więc wywołujące podobne reakcje myśli nie mogą przyczynić się do wzmocnienia naszych umysłów? Czy ty, który twierdzisz, że urodziłeś się gdzieś w odległej przyszłości, naprawdę nie możesz uwierzyć w kochającą kamienie, lecz nienawidzącą ludzi Inteligencję? Czyżbym żądał za wiele oczekując, iż choć przez moment uznasz, że w moich przypuszczeniach może tkwić ziarno prawdy?

Musiał jednocześnie wędrować gdzieś myślami, bo po chwili rzekł:

– Czy jest w mocy jednego człowieka odsłonić, wydobyć na światło dzienne tajemną naturę świata, czy też może nawet cień takiej myśli jest już aktem nadzwyczajnego egotyzmu, za który karany jest się odwiedzinami Białego Rycerza?

– Pozwól mi poczęstować cię miską zupy, panie.

Sprzedawca zaostrzył nas także w dwie maty. Rozłożyliśmy je na jednym z głazów i zajęliśmy się zupą z krabów. Kiedy Tu Fu siorbał ją w charakterystyczny dla starszych ludzi sposób, jego wzrok powędrował gdzieś daleko wzdłuż niespokojnej rzeki, gdzie kwadratowe, żółte na tle żółtego horyzontu żagle dążyły uparcie w stronę morza. Pogodny, beztrudny nawet przez chwilę nastrój mędrca gdzieś się ulotnił. Mogłem się domyśleć, że z racji podeszłego wieku ta żółta dal mogła mu przypominać – w sposób o tyleż kojący, co bolesny – o czekającej go już niedługo bardzo, bardzo dalekiej podróży. Przypomniałem sobie jego epigram: „Wiatry i czasy nieznane, rzeki nie oglądane...”

Dokoła nas bawiły się dzieci. Rodzice wchodzili już z wolna na pokład i wołali je do siebie.

– Czy podobały ci się te wielkie kamienie, czcigodny mistrzu? Zapytał śmiało jeden z chłopców.

– Znacznie bardziej niż bitwy, które mają upamiętniać – odparł Tu Fu i wyciągnąwszy swoją pergaminową rękę poklepał chłopca po ramieniu. Ten uśmiechnął się, zawstydzony i pobiegł do swojego ojca. Już nieraz zdarzyło mi się zaobserwować, jak bardzo starym ludziom potrzebny jest kontakt z młodością.

My także weszliśmy po trapie na pokład. Dla Tu Fu był to poważny wysiłek.

Znad łądu nadciągały ciemne chmury, znacząc krajobraz plamami przesuwających się cieni. Zaprowadziłem Tu Fu na dół, do małej kajuty, którą wynajęliśmy na czas podróży. Usiadł w medytacyjnej pozie na gołej ławce i łapał ciężko powietrze, podczas gdy ja myślałem o bitwie, do której nawiązał odpowiadając chłopcu na jego pytanie, a którą oglądałem w tym miejscu kilkaset lat wcześniej. Nie było to nic wielkiego.

Bose stopy załogi klaskały po pokładzie tuż nad naszymi głowami. Zaskrzypiał przeciągle wciągany trap, zaraz po tym załopotał rozwijany żagiel. Łódź złapała wiatr, od tego pierwszego podmuchu drżenie przeszło każdą, najmniejszą nawet belkę i po chwili sunęliśmy już między kamienistymi brzegami Jangcy w kierunku morza. Ruch pobudził statek do życia, każda jego część współdziałała z sąsiadującymi, podobnie jak czynią to mięśnie i kości biegnącego człowieka.

Spojrzałem na Tu Fu. Jego oczy wypełniły się pustką, szczęka opadła, ręka, którą chciał pogłodzić swą brodę, osunęła się bezwładnie. Runął twarzą naprzód – zdołałem jakoś chwycić go zanim upadł na podłogę. Nie czułem go niemal w moich rękach. Wyrwało mu się jakieś zduszone słowo, potem ciężkie, przepelniające zgrozą westchnienie.

To przybył Biały Rycerz. Tu Fu rozstał się już ze swoją duszą. Położyłem go na ławce, z bólem patrząc na jego czcigodną postać, po czym wspiąłem się na pokład.

Podróźni tłoczyli się przy prawej burcie, obserwując pociemniałe nagle brzegi i wydając od czasu do czasu podniecone okrzyki. Zamilkli jednak, kiedy się do nich zwróciłem i słuchali mnie z uwagą.

– Przyjaciele! – zawołałem. – Wspaniały, wielki poeta Tu Fu nie żyje!

Słońce skryło się za chmurami i spadły pierwsze krople nadciągającego z zachodu deszczu.

Kiedy przedzierałem się z powrotem do czasów nazwanych przez mędrca „odległą przyszłością”, moja postać traciła swą materialną cielesność, zmieniając się w zależności od ciśnienia czasu. Przez chwilę przypominała parę, by już za chwilę przeistoczyć się w skalistą górę. Cały czas ścisiałem kamyk, który trzymał w dłoni Tu Fu.

Z powrotem. Wreszcie dotarłem z powrotem. Była to niezmierna przestrzeń i tak jednak stanowiąca zaledwie mały kącik u zbiegu wymiarów. Ludzkość dawno już odeszła, wszelkie życie zniknęło. Wciąż jeszcze grały tylko wielkie, nieorganiczne organy. Siedzę tam na obejmującej cały świat plaży, bez końca wybierając i sortując kamyk po kamyku. Od małych okruszków po wielkie głazy – wszystkie muszą się poddać mojej wartościującej je woli. W działaniu tym odkrywam rozkosze wieczności, bowiem doprawdy nie ma ono kresu.

Ale kamyk poety Tu Fu trzymam z dala od innych. Ze wszystkich istot, które tak tłumnie kształtowały oblicze tego świata, Tu Fu był najbliższy memu sercu. Powiedziałem „był”, ale on j e s t. Jest już na zawsze – odwiedzam go, kiedy tylko tego pragnę. On to bowiem, dzięki sile swego rozumu, najbliższy był odkrycia i pojęcia mego istnienia.

Ale nawet on nie zrozumiał do końca wszystkiego. Powinien posunąć się jeszcze o krok do przodu, by ujrzeć, jak te same naturalne procesy, za których przyczyną rodzą się kamienie, oddziałują także na ludzkie istnienia. Inteligencja, o której mówił, nie jest wroga ludziom, wręcz przeciwnie; darzę ludzi takim samym uczuciem jak najmniejszy nawet kamyk.

Popatrzcie choćby na ten kamyk! Nigdy takiego nie widziałem. Ta plamka na jego powierzchni – niezwykła, prawda?

Istnieje taki specjalny brzeg, na którym go położę, daleko; po drugiej stronie świata. Tylko kamyk poety Tu Fu nie będzie nigdzie odłożony; mali królowie wznosili pomniki rzekom, a ten kamyk będzie

pomnikiem nieśmiertelnej rzeki myśli mędrca Tu Fu.

Przełożył: Arkadiusz Nakonieczni

Kiedy ranne wstają zorze

Droga do kurzu schodziła w dół między drzewami symetrycznymi jak parasolki. Jej linię przerywała w jednym punkcie muzykolumna wznosząca się na piaszczystym poboczu. Z daleka kolumna ledwo rysowała się nikłą smugą w powietrzu. Kiedy zbliżały się do niej istoty obdarzone zmysłami, ich psyche ożywiały ją, czerpała z ich sił witalnych, i wtedy można ją było nie tylko zobaczyć, ale także usłyszeć. Ich obecność dobywała z niej przyjemne tony, muzykę lub śpiew.

Całą tę okolicę zwano Ge-hinnom, ponieważ już od dawna nikt jej nie zamieszkiwał, nawet żaden z osobliwych pustelników Nieczystych. Oddana została na pastwę traw i czasu... Dziś co najwyżej parę zdziuczonych kóz ożywiało muzykolumnę, albo zbłąkana mysz przebiegając opodal wydzierała z niej krótki akord.

Gdy poczciwa Dandi Lashadusa nadjechała wierzchem na baluchiterium tym zakurzonym gościńcem, kolumna zaintonowała swój hymn. Była ledwo widoczną smugą indygo w powietrzu, gdyż ucieleśniała jedynie muzyczną ligaturę uwięzioną w materii tego akurat kawałka przestrzeni. Była również transprzestrzeniomaterialnym sanktuarium, nieśmiertelną cząstką istoty, która zdematerializowała się w muzykę.

Baluchiterium zarzało, spuściło łeb i kichnęło od pyłu na drodze.

– Nie tak ostro, Mała – przemówiła Dandi do swej klaczy, delektując się narastaniem akordów, które rozbrzmiewały coraz głośniejsze, kiedy się zbliżała. Jej długi nos marszczył się z rozkoszy, jak gdyby odbierała melodię nerwami węchowymi.

Baluchiterium posłusznie zwolniło zbaczając w paprocie, jednak skubiąc je nie spuszczało oka z indygowej plamy. Lubiło, aby rzeczy istniały albo nie istniały, takie połowiczne obiekty działały mu na nerwy, choć nie były w stanie podkopać jego bezmiernego apetytu.

Dandi zeszła po drabince na ziemię z radością nurzając stopy w pyle stuleci. Przyglądała włosy i przeciągnęła się, zasłuchana w muzykę. Odezwała się na głos do swego Mentora po drugiej stronie planety, ale on nie słuchał. Umysł miał zamknięty dla jej myśli, a sam mamrotał mętne uwagi, które zaciemniały to, co miały wyjaśniać.

– ...nie da się zaprzeczyć, że doskonalenie czegokolwiek jest więcej niż prawie niemożliwe, chociaż ma za sobą bardzo starą tradycję. A korzenie twojego metrum sięgają doprawdy tak strasznie odległych czasów, że nie mamy innego wyjścia, jak tylko...

– Tere fere, Mentorze, wyleż ze swojej czarnej dziury i na chwilę zapomnij o nienawiści do mojego „metrum” – powiedziała Dandi Lashadusa myślą wpadając w jego myśli. – Posłuchaj „metrum”, jakim tutaj znalazła, zobacz, gdzie zajechałam, daj spokój dyskusjom.

Powiodła oczami wokoło zatrzymując spojrzenie na brązowej skale tuż koło siebie, brązowej wstędze gościńca, przepychu bieli i czerni starożytnego miasta Oldorado w oddali, czyniąc wszystko to dla niego starego zrzędy. Jej mentor był ślepy i nigdy nie wyszedł ze swej celi w Peterburgu dalej niż na piaszczysty dziedziniec, od stulecia nie wysunął nosa z owego zielonego, monumentalnego gmazyska. Pomyślała po kobiecemu, że przyda mu się odmiana. O rany, ależ plółł trzy po trzy! Nawet w tej chwili udało mu się zign6rować ją i odprowadzić.

– ...bo zauważ, babo Lashadusa, nie można znaleźć nikogo, kto to spłodził. Nikt nie opracował tego ani nie wymyślił, te frazy po prostu jakoś się z e s z ł y. Nawet dawne narody człowieka nie mogą się do tego przyznać. Żaden z nich nie wiedział, kto to skomponował. Tu coś z hiszpańskiej pawany, tam element francuskiego psalmu, ówdzie brzmienie wczesnoangielskiej kolędy, gdzie indziej jeszcze domieszka późniejszego chorału niemieckiego. Wady twojego ułamka metrum nie ograniczają się też wyłącznie do pochodzenia z nieprawego łoża...

– No to siedź sobie w swojej czarnej celi, skoro nie chcesz ani patrzeć, ani słuchać – powiedziała Dandi.

Nie mogła wdrzeć się w jego myśli, bo tylko Mentor miał przywilej przebywania w jej umyśle i w umysłach tych niewielu pozostałych mu podopiecznych rozproszonych po całej Ziemi. Tylko Mentorzy posiadali moc przebywania w umyśle kogoś innego, która czyniła ich dosyć uciążliwymi w takich jak ta sytuacjach, gdy się z niego nie chcieli wynieść. Od ponad siedemdziesięciu lat Mentor Dandi namawiał ją, by umarła w pieśni pogrzebowej jego wyboru (i kompozycji). Przeszkadzał jej umrzeć, tak, przeszkadzał jej transprzestrzeniomaterializować się po tysiąc razy! Czepiał się nie jej decyzji, ale gustu, który uważał za szmatławy.

Pozwalając paść się baluchiterium Dandi odeszła od muzykolumny w stronę pagórka. Kolumna nie

przerywała grania, nadal karmiona duszą jej wierzchowca. Muzyka to była prościutka, z basową dominantą toniczną powracającej frazy, która nadawała jej pesymistyczne zabarwienie. Biegła w muzykologię Dandi wyczytała z niej dodatkowe informacje. Potrafiła określić z dokładnością do paru lat, kiedy umarł twórca tej kolumny, jak też, ogólnie biorąc, jakiego rodzaju było to stworzenie.

Wdrapawszy się na pagórek Dandi popatrzyła wokoło. Na południu, dokąd prowadziła droga, ciągnęły się niskie wzgórza, fioletowe w wąłym świetle. Tam był jej dom. Nareszcie wracała, przewędrowawszy pół wieku i prawie całą kulę ziemską. Poza oślepiającym pięknem miasta Oldorado na zachodzie dostrzegła tylko jeden znajomy obrazek. To była Ewolwenta. Wyglądała jak opalizacja wisząca nad ziemią, o parę mil stąd, i sam jej widok wystarczył, by Dandi poczuła natychmiastową i nieprzepatą chęć zbliżenia się do niej. Zanim przywołała baluchterium, raz jeszcze wysłuchiwała tonów muzykologów, by mieć pewność, że utrwaliły się w jej pamięci. Szkoda, że jej stary dumny mądrała nie brał w tym udziału. Ciagle wyczuwała dąsy pływające jak zawiesina w jego umyśle. – Teraz mnie słuchasz, Mentorze

– He? Ciekawe, że cofając się do roku 1556 według starej rachuby sprzed Ewolwenty, tę samą twoją melodyjkę znajdziemy ukrytą w Psalterzu Anglo-Genewskim Knoxa, przypisaną do trzeciego psalmu...

– Ty okropna stara rybo! Obudź się! Jak możesz krytykować zamierzony przeze mnie rodzaj śmierci, prowadząc tak bzdurny tryb życia? Tym razem dosłyszał jej słowa. Zdawał się być tak blisko, że kiedy poirytowany skubnął mostek obrzękłego starczego nosa, Dandi poczuła laskotanie w swoim nosie.

– Co teraz robisz, Dandi? – zapytał.

– Wiedziałbyś, gdybyś słuchał. Oto gdzie jestem, na ostatniej przed Kroterią i domem równinie Gehinnom.

Ponownie omiotła spojrzeniem krajobraz, który on wchłonął niemal łąpczywie. Wielu Mentorów ślepo w młodym wieku w wyniku zamknięcia się w podwodnych grotach swych klasztorów, zaś najsukuteczniej widzieli oczami podopiecznych.

Swoim spojrzeniem na to, co oglądał, wzbogacił jej obraz. On znał historię, mit związany z tą zapomnianą krainą. Potrafił zaludnić ten jałowy odwieczny pejzaż kalejdoskopem obrazów, zachwycając i zadziwiając Dandi. Tam i z powrotem przesuwiał jej ten film: Trybuni, Lombardowie. Eks-Europejski Emisariat, Liberałowie, Risorgimento, Ewolwenci, a także komunały, kodeksy, kostiumy i kurtyzany przemknęły przez głowę Dandi Lashadusy. Ach, myślała z uwielbieniem, któż mógłby doprawdy żyć bez tych księży, węży, erudyty, ekscentryków, mentorów?

– Ekscentryków? – zapytał wyrывая jej migawkową myśl. – Tysiąc lat żyję i przez cały ten czas jakbym nie żył dla świata, jem papkę rybną tu z moimi braćmi, uczę się historii, studiuję kontaktowanie się, sypiam na gołych kamieniach – ja, marna istota, istota jedna na milion, Mentor jeden na miriady – a twoje kryteria oceny są tak świeckie, że nie znajdujesz dla mnie dobitniejszego określenia od ekscentryka? A fe, Lashadusa, nie zwracaj mi sobą głowy przez pięćdziesiąt lat!

Słowa gderaty i zrzedziły w jej głowie, jakby gadała sama do siebie. Czowała, że jego wiekowa morda porusza się na kształt widma w jej wargach i na poły zagniewana, a na poły ze śmiechem zawołała na głos:

– Umrę do tej pory!

Włączył się z powrotem, w zbyt gorącej i zbyt święconej wodzie kąpany, by nie mieć ostatniego słowa:

– I jeszcze jedno w sprawie tego twojego rozmądanego śpiewu łabędziego – w Psalterzu Genewskim Marota i Bezy z 1551 roku Starego Czasu był on muzyczką podłożoną pod psalm sto trzydziesty czwarty. Wygląda na to, że nigdzie nie zagrał miejsca, tak jak i ty!

I już go nie było.

– Phi! – powiedziała Dandi. Gwizdnęła na Małą.

Ogromny niby – nosorożec, wysoki na pięć i pół metra w kłębie, potulnie przyklusował do niej. Muzykolumna zamarła po odejściu klaczy, zanikła, ścichła do szmeru, zamilkła – i została tylko plama purpury bezgłośna w bezpiecznym powietrzu. Mała zbliżyła się do Dandi. Chyląc swój wielki oligoceński łeb przylgnęła nozdrzami do ręki swojej pani. Dandi wspięła się po drabince na pomost jej grzbietu. Ruszyły w błogim zadowoleniu ku Ewolwencie, ukołysane prostym i zawiłym poczuciem własnego istnienia.

Noc już zapadała jednostajnie jak płatki śniegu. Słońce ukryte za szaniami mgły sposobilo się do zachodu. Za to Wenus stała wysoko na niebie, wspaniały półksiężyc cztery razy większy niż Księżyc był kiedyś, zanim kołując coraz dalej i dalej od Ziemi nie otrząsnął się z rodzicielskich objęć, by pójść w taniec wokół Słońca jako drugi Merkury. Akurat w tamtym czasie siła grawitacyjna wciągnęła Wenus w orbitę Ziemi, tak że dwie siostrzane planety okrążyły się wzajemnie obiegając Słońce. Nadal na wszystko kładł się cień tego wielkiego wydarzenia, którego śladami był nie tylko ów sierp na niebie. Albowiem Wenus wywołała osobliwe zaburzenie w duszy człowieka i jeszcze głębsze w jego genach. Nawet wtedy, gdy jej atmosfera stała się zdatną do oddychania duchotą, pozostała Wenus

obcym światem i wbrew logice jej szanse i możliwości pozostały obce. Kształtowała ludzi dokładnie tak, jak ongiś kształtowała ich Ziemia. Na Wenus ludzie poczęli się na nowo.

I poczęli tak zwanych Nieczystych. Poczęli nowe rośliny, nowe owoce, nowe zwierzęta – zupełnie nowe, jak również repliki stworzeń nie widzianych na Ziemi od zamierzchłych tysiącleci. Z jednej takiej rasy owych znajomych nieznajomych pochodziło baluchiterium Dandi. Także, jeśli o to chodzi, Dandi.

Ogromne stworzenie podeszło już pod Ewolwentę, a raczej zbliżyło do niej na tyle, na ile się odważyło. Ponownie zabrało się za szczypanie ostów, zanurzając nos w pełne rosy pajęczyny i przygruntowe opary.

– Też jestem wegetarianką – rzekła Dandi złącząc na ziemię.

W pobliżu rósł zagajnik niskich drzew owocowych, więc sięgnąwszy pomiędzy gałęzie zebrała i zjadła owoce, nim obróciła spojrzenie na Ewolwentę. Czują już mrówki biegające po krzyżu z powodu jej bliskości, a gdzieś w okolicy serca przyjemne poniekąd doznania wywołane przez nabożny lęk, nienawiść i miłość. Ewolwenta nie była piękna, co prawda jej barwy zmieniały się w zależności od oświetlenia, jednakże same kolory były rybio zimne, gdyż należały do innego wszechświata. Jakkolwiek reagowały na zmierzch i brzask, Ziemia nie miała nad nimi silnej władzy. Kłudy w oczy. Sprawiały ból może i dlatego, że były ostatnimi śladami po materialnym człowieku. Nawet Mała wierciła się niespokojnie przy tym niewyraźnym witrażu konturów, którego górne granice znikwały w gęstniejącym mroku.

– Nie bój się – powiedziała Dandi. – To ma swoje wytłumaczenie, moja miła. Wszystko ma swoje wytłumaczenie, jeśli potrafimy je znaleźć dodała ze smutkiem.

Wyczuwała wszystkie osobowości w Ewolwencie. To był ekran zastygłych osobowości. Na całej starej planecie wznosiły się owe struktury przepelniając nabożną trwogą tych, którzy pozostali. Stanowiły esencję człowieka. Były człowiekiem – wszystkim, co z niego zostało.

Gdy pierwszy krzemień, pierwsza muszla została uformowana w broń, owa czynność uformowała człowieka. W miarę jak on kształtował i komplikował swoje narzędzia, one kształtowały i komplikowały jego samego. Stał się pierwszym zwierzęciem inteligentnym. I w końcu przez teorię informacji i wielkie komputery zdobył wiedzę o wszystkich elementach siebie samego. Sformułował Zasady Integracji, które objawiły, że wszystkie żywe istoty są elementami porządku i wskazały im ich miejsce w tym porządku. Jedyne porządek istnieje, porządek jest całym wszechświatem, stworzycielem i stworzeniem. Po raz pierwszy stało się możliwe sztuczne skopiowanie tego porządku: skonstruowano transprzestrzeniomaterializatory.

Cały rodzaj ludzki porzucił swoje dziwaczne pasje na Ziemi i Wenus i przetransponował się w ów porządek. Jego wszystkie jednostki złąły się z materią samego kosmosu. Przez naukę doszli do nieśmiertelności.

To była podróż w jedną stronę.

Nie powrócili. Każda Ewolwenta mieściła tysiące, a nawet miliony ludzi. Oni istnieli – ani umarli, ani żywi. Jak się radowali, czy jak łkali w swą transmaterialności, tego nikt z pozostawionych nie umiał powiedzieć. Jedyne, co dało się stwierdzić, to że człowiek odszedł i bezmierna pustka ogarnęła Ziemię.

– Masz ponure myśli, Dandi Lashadusa. Zabieraj się do domu. Mentor powrócił do jej umysłu. Czują w sobie, jak pływa dokoła i dokoła ukształtowanej z koralu celi.

– Muszę pomyśleć o człowieku – powiedziała.

– Twoje myślenie nic nie znaczy, do niczego nie prowadzi. – Człowiek stworzył nas i chcę pomyśleć o nim w spokoju.

– On tylko uformował strumień życia, które zawsze znajdowało się całkowicie poza jego kontrolą. Zapomnij o nim. Wskakuj na swoją klacz i galopuj do domu.

– Mentorze...

– Do domu, babo. Chandra nie pasuje do ciebie. Nie chcę słyszeć więcej o twoim łabędzim śpiewie, gdyż wypowiedziałem się na ten temat dostatecznie. Wykorzystaj własny, nie człowieczy motyw. Mówiłem to chyba miliony razy i powtarzam raz jeszcze.

– Nie miałam zamiaru wspominać o mojej muzyce. Miałam zamiar powiedzieć ci tylko, że...

– No co? – Swarliwa była jego myśl. Dandi czuła, jak dygoce mu potężny ogon, burząc spokojne wody celi.

– Nie wiem...

– No to wracaj do domu.

– Jestem samotna.

Nim ją porzucił, wyświetlił jej widok otrzymany od innego ze swoich podopiecznych. Dandi widziała tego podopiecznego poprzednio w podobnych sennym majakom obrazach. Wielkie, kretowate stworzenie nadal ryło pod ziemią, jak czyniło to przez ostatnie dwadzieścia lat. Czasami przepelniało przez rozległe jaskinie, raz przepłynęło podziemne jezioro, większość czasu spędzało jednak na

drażeniu skały. Jego motywacje były dla Dandi niejasne, jakkolwiek jej Mentor mówił o nim jako o geologerze. Dla kreta, jeśli bywał on od czasu do czasu zaszczycony migawkami o niej, Dandi ze swoją muzykolumnologią niewątpliwie stanowiła tyką samą zagadkę. Mentor przynajmniej ten pogląd wyłożył jasno: samotność to nie sprawa statystyki, lecz psychologii.

Toż przecież z milion osobników mieniło się nieomal pod jej nosem!

Dosiadła ogromnej klaczy baluchiterium i skierowała się ku domowi. Czas oraz stare pomniki były ponurym towarzystwem.

Oto i zmierzch już, z jedną tylko smugą antycznego złota, które przetrwało na niebie, z Wenus słodko rozjarzoną i gwiazdami rozsianymi na purpurze. Piękna noc, by jeszcze pożyć, szczególnie gdy po raz ostatni ma się w perspektywie bliski nocleg.

O tak, pomimo tego wszystkiego, co nagadał jej Mentor, zamierzała przeistoczyć się w ów stary, króciutki utwór, wywodzący się z pewnej melodii w „Souter Liedekens”, tego wspaniałego źródła niderlandzkiej muzyki ludowej. Przez chwilę Dandi chichotała prawie tak uczenie, jak jej Mentor. Szesnasty wiek Starego Czasu, z faktyczną śmiercią chorału gregoriańskiego i faktycznymi narodzinami skrzypiec, interesowała ją najbardziej. Ach, to bogactwo faktów, ten punkt zwrotny w krótkiej historii człowieka! Sama radość! Nagle pomyślała o samej sobie.

Ostatecznie była zaledwie megaterium, wielkim jak słoń leniwcem, którego gatunek wyginął i nie istniał przez miliony lat, aż człowiek odtworzył kilka z nich w ramach eksperymentów wenusjańskich. Modyfikacje w postaci palców i powiększonego mózgu nie dawały jej rzeczywistych podstaw do myślenia na poziomie człowieka.

Nazajutrz wczesnym rankiem dotarły do murów miasta Kroterii, gdzie mieszkała Dandi. Wszędobylskie kozy, niektóre nie większe od jeża, inne prawie wielkości hipopotama – jakież to szaleństwo skłoniło człowieka za jego ostatnich dni do tak wielu wariacji na jeden nieszczególny kozi temat? – cisnęły się wokół nich, gdy Mała i jej pani pokonywały ostatnie wzniesienie i przechodziły pod łukiem bramy.

Miło było powrócić, przeciskać się duktami obrzeżonymi orlicą, wśród palm, dębów i paproci drzewiastych. Prawie całe miasto tonęło w zieleni i kryło się przed słońcem w zawojach oplątwy. Tu i ówdzie widniały domostwa – jaskinie, lochy, toporne piramidy głazów, a nawet oryginalne budowle architektury człowieka, wspaniałe w swej ruinie. Dandi zeszała na ziemię i maszerowała przed swym wierzchowcem, a jej długie włosy jeżyły się z zadowolenia. W powietrzu był chłód, gruchały gołębie, czasami zabeczał merynos.

W trakcie deptania po znajomych ścieżkach ogarnęło ją jednakże rozczarowanie. Nie zastała nikogo ze swoich przyjaciół, nawet bizona marzyciela, którego kąpielisko znajdowało się na rogu ulicy, przy której mieszkała Dandi. Były tu wyłącznie zwierzęta czyste, żerujące beztrósko i bezmyślnie w alejach – nędzarze posiadający Ziemię na własność. Nieczyści potomkowie eksperymentalnej rasy wenusjańskiej – wszyscy co do jednego przebywali poza Kroterią.

To było zrozumiałe. Z oczywistych powodów człowiek wolał rozwinąć zdolności roślinożerców niż drapieźników. Po Inwolucji, po odejściu człowieka, ci Nieczyści przejęli jego miasta, podobnie jak przejęli jego zwyczaje w takim stopniu, jaki odpowiadał ich naturze. Zarówno Dandi, jak i Mała, i wielu innych, spożywali ogromne ilości zieleniny dziennie. Stopniowo krąg pustkowiec wokół każdego miasta poszerzał się coraz bardziej, zmuszając jego wegetariańskich mieszkańców do półwędrownego trybu życia, gdyż zieleń w mieście była dla nich święta.

To rozproszenie doprowadziło z kolei do spadku wskaźnika urodzin. Liczba wędrowców stawała się coraz mniejsza, miasta coraz zieleńsze i coraz bardziej opustoszałe, aż z czasem zmieniły się w maleńkie enklawy lasu rozsiane po beztrawistych równinach.

– Odpocznij tu, Mała – powiedziała wreszcie Dandi przystanąwszy obok kępy jaskrawo kwitnących sagowców. – Wejść do domu. Olbrzymi buk rósł tak blisko kamiennej fasady jej domu, że trudno było ustalić, czy nie pomaga utrzymać się starożytnemu budynkowi. Z pierwszego piętra sterczał rozsypujący się balkon. Dosięgnąwszy balustrady Dandi uchwyciła ją mocno i wciągnęła się na balkon. Była to normalna droga do jej własnego domu, gdyż parter zajmowały kozy i jagnięta, a gołębie i papugi zawłaszczyły sobie drugie piętro. Tratując samosiejki na balkonie wkroczyła do frontowego pokoju. Uśmiechnęła się. Tutaj znajdowały się jej ukochane przedmioty, połamane meble, na których lubiła sypiać, teleekrany, na których nic nie było widać, grube księgi manuskryptów, zapełnionych przez nią pod kierunkiem wszechwiedzącego Mentora morzem słów o muzykolumnach, które odwiedziła w różnych miejscach świata.

Poczłapała do następnego pokoju.

Zastygła, nagle prysnął jej spokój ducha pod wpływem zagrożenia. W pokoju stał niedźwiedź brunatny. Jedną z grubych łap zaciskał na rękojeści noża.

– Nie jestem pospolitym złodziejem – powiedział wywijając grube czarne wargi przy każdej zgłosce. – Jestem archeologerem. Jeśli to twój dom, musisz udzielić mi zgody na zabranie rzeczy człowieka. Nie masz najwyraźniej pojęcia o wartości niektórych sprzętów. My, niedźwiedzie, potrzebujemy ich.

Musimy je mieć.

Zbliżył się do niej sapiąc na psi sposób, z otwartym pyskiem. Spod szczeciniastych brwi błysnęła żądza mordy.

Dandi wystraszyła się. Łagodna z natury, niedźwiedzi bała się najbardziej ze wszystkich stworzeń z powodu ich okrucieństwa i ich zdolności do organizowania się. Niedźwiedzi było niewiele – jedyne stworzenia, które przejawiały aspiracje do gorliwego naśladownictwa dawnej agresywności człowieka. Wiedziała, co niedźwiedzie robią. One rzucały się przez Ewolwenty, by zwiększyć własną siłę, by przechodząc przez owe struktury zasilić swą energię psychiczną, jak powiedział Mentor. Było to zakazane. One były grzesznikami... były mordercami.

– Mentor! – krzyknęła.

Niedźwiedź zawałał się. W jego odczuciu owo niezdarne stworzenie stojące przed nim stanowiło jedyne zawadę na drodze postępu, coś, co należało odrzucić bez nienawiści na bok. Zabicie go nie miało znaczenia, choć sprawiłoby przyjemność, ważniejsze sprawy czekały na załatwienie. Wiele ze zgromadzonych tutaj sprzętów można było użyć do odbudowy świata, świata, w którym niedźwiedzie roily mętne tak bardzo marzenia. Grożąc nożem niedźwiedź posunął się naprzód.

Mentor był w głowie Dandi, odpowiadając na jej krzyk, patrzył jej oczami; chociaż sam nie posiadał wzroku. Zmierzył spojrzeniem niedźwiedzia i natychmiast przejął wolę Dandi wcinając się na miejsce jej umysłu i jak gilotyna. Już nie był ślepym, starym delfinem, kryjącym się w jakiejś celi koralowej katedry pod powierzchnią tropikalnych mórz, teologiem, krzewicielem mądrości w umysłowo mniej rozwiniętych istotach. i Był mordercą okrutniejszym od niedźwiedzia, gotowym zabić każdego, kto mógłby pożądać miejsca na opuszczonym tronie, ongiś zajmowanym przez człowieka. Czasami sama myśl o ludziach potrafiła wprawić tego Mentora w rekini amok.

Opanowana jego szaleństwem Dandi stwierdziła, że postępuje do przodu. Mimo całej siły niedźwiedzia była w stanie go pokonać. Na otwartej przestrzeni, gdzie wprowadziłaby do akcji swój potężny ogon, nie miałaby z tym problemu. Tutaj do akcji wejść musiały jej potężne przednie kończyny. Poczula, jak unoszą się na rozkaz Mentora, który zamierzał zatłuc niedźwiedzia na śmierć.

Niedźwiedź cofnął się zdjęty trwogą przed dwa razy większym od siebie przeciwnikiem, nagle zбитy z tropu.

Posunęła się dalej.

– Nie! Stój! – krzyknęła.

Zamiast podjąć walkę z niedźwiedziem, toczyła bój ze swoim Mentorem, nienawidząc jego nienawiści. W głowie jej zawirowało, w tym jej zamglonym, wypełnionym stalową wolą umyśle, który stanął na drodze tej woli. – Jestem za pokojem! – krzyknęła.

– Więc zabij niedźwiedzia!

– Jestem za pokojem, nie za mordem!

Kołysała się w przód i w tył. Zatoczyła się na ścianę, którą aż zatrzęsła, kurz rozszedł się po wiekowym pokoju. Straszne było doznanie wściekłości Mentora.

– Wynoś się szybko! – krzyknęła Dandi do niedźwiedzia.

Spojrzał na nią z wahaniem. Nagle odwrócił się i skoczył do najbliższego okna. Jego kosmate, wyliniałe zadnie łapy zwiślały przez chwilę z parapetu. Na krótko ujrzała go takim, jakim był, starym zwierakiem zagubionym w starym świecie. Skoczył. Zniknął. Beczenie przerażonych kóz obwieściło jego ucieczkę.

– Suka! – zawył Mentor.

Z wściekłości za pokrzyżowanie mu planów cisnął Dandi na drzwi całą siłą swego umysłu. Drewno poszło w drzazgi. Z trzaskiem runęło nadproże. Brudny kurz zakotłował się pod sufit. Wśród ogłuszającego huku zawałała się jedna ściana. Dandi usiłowała wyswobodzić się. Jej dom rozpadał się wokół niej. Nie był przeznaczony do dźwigania tak wielkiego ciężaru przez tak wiele stuleci.

Wydostała się na balkon i niezgrabnie skoczyła w bezpieczne miejsce dokładnie w chwili, gdy budynek zapadł się, wzbijając olbrzymią chmurę pyłu gipsowego i rozdrobnionej zaprawy między zwieszane nad nim drzewa.

Na straszliwie długą chwilę świat wypełnił się kurzem, beczaniem kóz i ogarniętymi paniką papugami.

Ocięta dosiadłszy baluchiterium Dandi Lashadusa skierowała się z powrotem ku pustkowiu zwanemu Ge-hinnom. Przewyciężyła swe rozgoryczenie, poddając się nastrojowi rezygnacji. Wszystko co posiadała uległo zniszczeniu – nie, żeby przywiązywała wagę do własnego dobytku, to była cecha człowieka. O wiele straszniejszą była świadomość, że jej Mentor porzucił ją na zawsze, że zgrzeszyła tym razem zbyt ciężko, by jej przebaczył. Nagle została odcięta od jego grymasnego głosu w swej głowie, od mądrości, którą ją karmił, od okrucichów zapomnianej wiedzy, które jej rzucał – tak, nawet od miłości, którą jej dawał. Nigdy się z nim nie spotkała, nigdy by się nie spotkała, jednak żadna para istot nie mogła być sobie bliższa.

Zatęskniła także za resztą jego podopiecznych, którzy już nigdy więcej nie nawiedzą jej przelotnie:

za krecią istotą drążącą trzewia Ziemi, za rodziną fok poszczekujących radośnie na osamotnionej plaży, za sędziwym gorylem, który bez końca kolekcjonował i klasyfikował pająki, za żubrem – raz go tylko widziała, lecz nigdy nie zapomni – żyjącym wraz z mniejszymi zwierzętami w arktycznym mieście, które pomógł wybudować w lodzie.

Była wyklęta.

Cóż, nadszedł dla niej czas przemiany, dezintegracji, przetransmaterializowania się w formułę nie ciała, lecz muzyki. Tej dyscypliny przynajmniej Mentor wyuczył ją i tego nie mógł odebrać.

– Tutaj, Mała – rzekła.

Jej gigantyczny wierzchowiec zatrzymał się posłusznie. Poglaskała czule jego szyję. Był młody: będzie wolny.

Samotnie powędrowała prosto przed siebie zakurzonym gościńcem. Gdzieś w oddali zawołał jakiś ptak. Dandi dotarła do kopca kamieni i przycupnęła w jałowcach, których ciernie nie były w stanie przebić się przez jej gęste, wysłużone futro. Wybrana przez nią muzyka płynęła już w jej myślach, już jakby rozluźniała chemiczne wiązania jej istoty. Dlaczegoż to nie miałyby wybrać melodii starego hymnu Jest antykwariuszem. Rzeczy minione niosły jej pociechę za rzeczy mające nadejść.

Na swój przyciszony sposób zawsze występowała przeciwko bezgranicznej nienawiści swego Mentora do ludzi. Nienawiść była tym, co należało nienawidzić. W swych lepszych momentach ludzie wzniesli się ponad nienawiść. Jej śmiertelny psalm był tego przykładem – zwielokrotnionym przykładem – bo przerabiali go i wygrywali w ciągu stuleci – jak to sam Mentor podkreślał – ludzie różnych ras, wszyscy z myślą zwróconą raczej ku uwielbieniu niż nienawiści.

Narzuciwszy sobie dyscyplinę myślową Dandi zaczęła się rozpadać. Człowiek musiał skorzystać z pomocy machin, aby tego dokonać, by dopasować się do Ewolwenty. Ona była niższym zwierzęciem: potrafiła rozwiązać się w pośledniejszy kształt muzykolumny. Cała rzecz sprowadzała się do zwykłego p r z e m o d e l o w a n i a... i Dandi bezboleśnie uformowała się w porządek, który nie był kudłatym ciałem megaterium... lecz indygową kolumną... ledwie dostrzegalną...

Dłuższy czas Mała zajęta była skubaniem ostów i kaktusów. Niebawem pokłusowała przed siebie, aby odszukać to kudłate stworzenie, które w dobroci swego serca – i odrobinę protekcyjnie – uważała za równe sobie. Ale po leniwcu nie było ani śladu.

Jedyny prawie element krajobrazu stanowiło nikle, fioletowo – błękitne zabarwienie powietrza. W miarę zbliżania się klaczy baluchiterium z owej barwy coraz głośniejsz rozbrzmiewała słodka, zapomniana muzyka. Muzyka prawie tak stara jak ten pejzaż i która na pewno tyleż przeszła, melodia znana ongiś człowiekowi jako psalm poranny. I słycać było głosy śpiewające:

Tobie śpiewa żywioł wszelki...

Przełożył Marek Marszał

Brian W. Aldiss

Krążenie krwi ...

[Opowiadania zostały zaczerpnięte z tomu - „The Moment of Eclipse”]

[Przełożył Robert M. Sadowski]

[Scan by DiEm]

Spis treści

- ... Krążenie krwi ...
- ... I zamieranie serca ...
- ... Robak, który fruwa
- ... Dzień wyjazdu na Cytherę ...

Krążenie krwi...

I

Pod ciosami promieni słonecznych ocean wydawał się płonąć. Z chaosu płomieni i długich grzywaczy wynurzyła się stara łódź motorowa, z łoskotem silnika podążająca ku ciasnemu przesmykowi pomiędzy koralowymi rafami. Z brzegu śledziło ją kilka par oczu; z których jedną przed oślepiającą luną chroniły okulary słoneczne. Silnik "Krakena" zamilkł. Gdy łódź przeslizgiwała się pomiędzy koralowymi kleszczami, jej syrena odezwała się dwukrotnie. W chwilę później statek wytracił cały pęd i rzucił kotwicę na zatopionej rafie, wyraźnie widocznej pod powierzchnią wody; jego nagi, odarty z farb kadłub ocierał się o pomost.

Biegący od brzegu ponad płycizną pomost chwiał się i skrzypiał. Gdy wreszcie złączył się ze statkiem w jedną całość, a z pokładu zeskoczył Murzyn w brudnej marynarskiej czapce, aby umocować cumy, od cienia wieńczących pierwsze wzniesienie plaży kokosowych palm oderwała się kobieca postać. Szła przed siebie powoli, niemal ostrożnie, kołysząc trzyroanymi na wysokości ramienia okularami słonecznymi. Jej sandały poskrzy-
pywały i stukały o deski, gdy szła pomostem.

Dziobową część statku okrywał dach ze spłowiałego zielonego brezentu, chroniąc ją przed morderczym słońcem. Brodaty mężczyzna, który wyrzwał poza burtę, wynurzył się naraz spod tej osłony. Nie miał na sobie nic poza parą starych, wysoko podwiniętych dżinsów oraz okul-rów w stalowej oprawie; jego ciało było spalone na brąz. Ten mniej więcej czterdziesto-
pięcioletni mężczyzna o pociągłej twarzy nazywał się Clement Yale i właśnie wracał do domu.

Uśmiechnął się do kobiety i zeskoczył na pomost. Przez chwilę stali nieruchomo przyglądając się sobie. Patrzył na bruzdę, która połowiła teraz jej czoło, na małe zmarszczki w kącikach oczu, na fałdę, która stopniowo okrążyła jej pełne usta. Zauważył, że na ten wielki dzień jego powrotu użyła szminki i pudru. Ten widok wzruszył go; była wciąż jeszcze piękna, lecz w tym sformułowaniu "wciąż jeszcze" dźwięczało melancholijne echo innej myśli - jest już zmęczona, zmęczona, a przecież nie przebiegła nawet połowy swego dystansu.

- Caterina! - zawołał.

Gdy rzucili się sobie w ramiona, przemknęła mu myśl: a może, może da się zrobić, żeby żyła - no, bądźmy ostrożni - przynajmniej sześćset, siedemset lat...

*

Rozluźnili uścisk po dobrej minucie. Pot z jego piersi pozostawił ślady na jej sukni.

- Muszę pomóc im wyładować najważniejsze rzeczy, kochanie - powiedział , a potem wróć do ciebie. Gdzie jest Philip? Wciąż jeszcze tutaj, prawda.

- Jest gdzieś tam - odpowiedziała, robiąc, nicokreślony ruch ręką w stronę tła palm, ich domu i wznoszącej się za nim porośniętej krzakami skarpy jedyne wzniesienia na Kalpeni. Ponownie założyła okulary, a Yale zawrócił w stronę łodzi.

Obserwowała jego oszczędne ruchy; przypominały jej właściwą mu surową dyscyplinę, jaką narzucał zarówno swemu ciału, jak i mowie: I teraz spokojnie objął komendę nad ośmioma członkami załogi, wymieniając żarty z kucharzem Louisem, tłustym Kreolem z Mauritiusa, a zarazem doglądając wyładunku swego mikroskopu elektronowego. Stopniowo na pomoście wyrósł stos skrzynek i paczek. Raz tylko Yale rozejrzał się wokoło szukając Philipa, ale chłopca nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Caterina zawróciła do brzegu, gdy marynarze zarzucili na ramiona pierwsze ładunki. Weszła na biegnące ponad plażą molo i nie oglądając się więcej poszła prosto do domu.

Większość bagażu ze statku została złożona w sąsiadującym z domem laboratorium lub w przyległym magazynie. Yale zamykał pochód, niosąc klatkę zbitą ze skrzynek po pomarańczach. Spomiędzy deszczutek wyglądały dwa młode pingwiny Adeli pokrakując do siebie.

Wszedł do domu tylnym wejściem. Był to prosty, jednopiętrowy budynek, wzniesiony z bloków koralu, i pokryty strzechą typową dla tych wysp, a raczej taką, jaka była typowa, zanim Hindusi z kontynentu zaczęli importować blachę falistą.

- Napij się piwa, kochany - powiedziała, głaszcząc go po ramieniu.

- Czy mogłabyś wyczarować także coś dla chłopaków? Gdzie Philip?

- Mówiłam ci, że nie wiem.

- Powinien słyszeć syrenę ze statku.

- Pójdę po piwo.

Wyszła do kuchni, gdzie służący Joe wylegiwał się przy drzwiach. Yale rozejrzał się po chłodnym, dobrze sobie znanym pokoju - patrzył na książki podparte muszlami, na dywan, który kupili w Bombaju jadąc tutaj, na, wiszącą na ścianie mapę świata i olejny portret Cateriny. Wiele miesięcy upłynęło, od kiedy ostatni raz był w domu - tak, bo był to naprawdę dom, choć w rzeczywistości tylko stacja badawcza rybołówstwa, do której zostali przydzieleni. Był to na pewno dom, bo tu była Caterina, teraz jednak mogli już myśleć o powrocie do Anglii - ich zmiana dobiegała końca, kończył się również program badawczy. Byłoby lepiej dla Philipa, gdyby zagnieździli się w kraju, przynajmniej na czas jego studiów na uniwersytecie. Yale podszedł do drzwi wejściowych i zmierzył wzdłuż całą wyspę wzrokiem. Kalpeni przypominała kształtem staromodny otwieracz do piwa, którego poprzeczkę morze przerwało w jednym miejscu, umożli-

wiając małym łodziom dostęp do laguny. Trzonek porastały palmy, a u jego końca leżała mała tubylcza wioska - wszystkiego kilka brzydkich chałup - niewidoczna stąd, gdyż przesłaniała ją wzniesienie.

- Tak, jestem w domu - powiedział do siebie; w jego radości brzmiała jednak nuta niepokoju, gdy zastanawiał się, jak da sobie radę z ponurym północnoeuropejskim klimatem.

Przez okno widział żonę rozmawiającą z załogą trawlera. Obserwując twarze mężczyzn czerpał przyjemność z ich radości, że znów mogą patrzeć na piękną kobietę i rozmawiać z nią. Przydreptał Joe z tacą pełną piwa, Yale wyszedł więc na dwór i przysiadł się do nich na ławkę, sącząc trunek z upodobaniem.

Przy pierwszej okazji zagadnął Caterinę:

- Chodźmy poszukać Philipa.

- Idź sam, kochanie. Zostanę tu i porozmawiam z ludźmi.

- Chodź ze mną.

- Philip wróci. Nie ma pośpiechu.

- Mam wam coś strasznie ważnego do powiedzenia.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

- O co chodzi?

- Powiem ci wieczorem.

- Coś o Philipie?

- Oczywiście, że nie. Czyżby były z nim jakieś kłopoty?

- Chciałby zostać pisarzem.

Yale roześmiał się.

- Nie tak dawno chciał być pilotem księżycowym, prawda? Czy bardzo urósł?

- Właściwie jest już dorosły. On serio traktuje swoje zamiary.

- A jak ty się miewałaś, kochanie? Nie nudziłaś się zbytnio? A, właśnie, gdzie się podziewa Fraulein Reise?

Caterina wycofała się pod osłoną swoich okularów słonecznych i zapatrzyła się w niski horyzont:

- To ona poczuła się znudzona i wróciła do domu. Opowiem ci później. - Zaśmiała się niezręcznie. - Clem, oboje mamy sobie tyle do powiedzenia.

Jak było w Antarktyce?

- Och, cudownie. Szkoda, że nie było cię z nami, Cat. Świat tutaj składa się z morza i koralu, a tam z morza i lodu. Tego nie sposób sobie wyobrazić. To jest czysty świat. Przez cały czas żyłem tam w stanie uniesienia: Kraina taka jak Kalpeni - zawsze sama dla siebie, nigdy nie poddana człowiekowi.

Kiedy załoga ruszyła w drogę powrotną do statku, Yale założył tenisówki i pomaszerował w stronę zabudowań wioski w poszukiwaniu swego syna. Wśród chat panował kompletny bezruch. Rząd łodzi rybackich spoczywał na piasku, tuż poza zasięgiem przyboju. Wsparta o szary jak słoniowa skóra pień palmy staruszka, zbyt leniwa, aby spędzić muchy z powiek, pilnowała suszących się strzępieli. Poruszał się tylko nieskończony Ocean Indyjski, bo nawet chmura nad odległą Karavatti robiła wrażenie zakotwiczonej. Z największego baraku, który pełnił także funkcję sklepu, dobiegały słabe dźwięki muzyki. Na jej tle piosenkarka wyznawała, że szczęściem dla niej jest jej ukochany, a nie postępek. To samo, pomyślał sobie oschle, można by powiedzieć o lenistwie. Tutejsi ludzie wiedli wygodne życie, przynajmniej zgodnie ze swoimi wyobrażeniami. Nie chcieli robić praktycznie nic i ich życzenie spełniało się niemal całkowicie, Caterinie również podobał się ten styl życia. Dzień po dnie mogła wpatrywać się w pusty horyzont. On jednak zawsze musiał mieć jakieś zajęcie. Cóż, ludzie się różnią między sobą - nie budziło to nigdy w nim sprzeciwu, a nawet czerpał z tego przyjemność.

Schylił głowę i wszedł do wnętrza baraku. Za ladą siedział tamilski właściciel sklepu, młody pogodny grubas, którego czarna skóra połyskiwała tłustawo, i dłużył w zębach. Na widok Yale'a V.K. Vandranasis - jego nazwisko widniało na desce nad drzwiami, mozołnie wymalowane po angielsku i w sanskrycie - podniósł się i podał mu rękę.

- Jak przypuszczam, jest pan rad z powrotu z bieguna południowego?

- Bardzo rad, Vandranasis.
- Zapewne na biegunie południowym jest zimno nawet w tak ciepła pogodę?
- Tak, ale wie pan przecież, że byliśmy cały czas w ruchu - pchaliśmy się niemal dziesięć tysięcy mil morskich. Przecież nie siedzieliśmy sobie po prostu na biegunie, aby tam zamarznąć. A jak się panu powodziło 'i Zbija pan swoją fortunę'?
- Oj, oj, panie Yale, na Kalpeni nie sposób zrobić majątku, o tym pan wie doskonale. - Vandranasis rozpromienił się, zadowolony z dowcipu Yale'a - ale życie nie jest tu takie złe. Wie pan, niespodziewanie pojawiło się tu mnóstwo ryb; więcej niż ludzie są w stanie złowić. Na Kalpeni nigdy dotychczas nie było tyle ryb.
- Jakich ryb? Strzępieli'?
- Tak; tak, bardzo, bardzo dużo strzępieli. Innych ryb nie tak wiele, ale strzępieli są teraz miliony.
- A wieloryby wciąż przyplływają?
- Tak, wielkie wieloryby przybywają, kiedy jest pełnia.
- Zdaje się, że widziałem je koło starego fortu.
- Ma pan rację. Pięć sztuk. Ostatni w zeszłym miesiącu, a poprzedni miesiąc wcześniej w porze pełni. Ja myślę, że one przyplływają żywić się strzępielami.
- To niemożliwe. Wieloryby odwiedzały Lakkadiwy i wcześniej, zanim wystąpiła ta obfitość strzępieli. Poza tym wieloryby błękitne nie jedzą strzępieli.

V:K. Vandranasis chytrze przechylił głowę i powiedział:

- Zdarza się wiele dziwnych rzeczy, o których wy, urzędnicy nauki i uczeni mężowie, nie wiecie nic. Czyżby pan nie wiedział, że nasz stary świat ciągle się zmienia? Być może właśnie w tym roku przyszła kolej na wieloryby błękitne, aby się nauczyły jeść strzępiele. W każdym razie taka jest moja teoria.

Aby interes szedł, Yale kupił butelkę maliniady i popijał ciepły, purpurowy płyn w trakcie rozmowy. Właściciel sklepu był szczęśliwy, że miał komu przekazać lokalne plotki, w których tyleż było smaku, co w lepkawej cieczy w butelce. W końcu Yale zmuszony był mu przerwać, pytając wprost, czy widział Philipa. Jak się okazało, Philip już dzień czy dwa nie pojawiał się w tym zakątku wyspy, Yale podziękował więc sklepikarzowi i poszedł z powrotem plażą, mijając po drodze tę samą staruszkę, która ~ wciąż nieruchomo pilnowała suszących się ryb.

Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu, aby przemyśleć problem strzępieli. Jego właśnie zakończone wielomiesięczne badania prądów oceanicznych, finansowane przez brytyjskie Ministerstwo Rybołówstwa i Rolnictwa oraz przez Wydział Badań Oceanicznych Smithsonian Institution pod egidą World Waters Organization, były spowodowane właśnie obfitością ryb. W tym wypadku chodziło o niezwykle obfite rozmnożenie się śledzi w i tak zagęszczonych wodach Bałtyku, które dało znać o sobie dziesięć lat temu i trwało do dnia dzisiejszego. Ta klęska urodzaju rozprzestrzeniła się powoli na śledziowe łowiska Morza Północnego. W ciągu ostatnich dwu lat te niegdyś przebogate rezerwuary ryb osiągnęły, a nawet przewyższyły dawną wydajność. W czasie swojej ekspedycji antarktycznej przekonał się, że również wzrasta liczba pingwinów, a przecież wzrost liczebności wielu innych gatunków mógł wciąż jeszcze pozostawać nie -zauważony.

Wszystkie te na pozar przypadkowe zmiany wydawały się zachodzić bez żadnej szkody dla innych zwierząt, ale przecież było oczywiste, że taki stan rzeczy nie da się utrzymać, gdy mnożące się populacje osiągną nienormalną liczebność.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wzrost ten przypadł na okres wygasania ludzkiej eksplozji populacyjnej. W rzeczywistości zresztą owa eksplozja nigdy nie była niczym. Więcej jak straszakiem, teraz zaś odpływała w sferę cieni podobnie jak niebezpieczeństwo nie kontrolowanej wojny jądrowej, które również zniknęło w owej dekadzie dogorywającego dwudziestego wieku. Ludzie wprawdzie nie byli w stanie świadomie zmniejszyć wielkości przyrostu

naturalnego w statystycznie uchwytny sposób, samo jednak przeludnie, nie ze wszystkimi towarzyszącymi mu niewygodami fizycznymi, antyrodzinnymi warunkami i mnożącymi się przypadkami psychicznie uwarunkowanych nerwic, zboczeń seksualnych i bezpłodności, wysrepującymi w najbardziej płodnych krajach, okazało się wystarczająco skuteczne, aby powstrzymać spiralę wzrostu liczby ludności na najgęściej zaludnionych obszarach: Jednym ze skutków tego zjawiska stał się spokój w stosunkach międzynarodowych, jakiego świat jeszcze nie zaznał w ciągu tego wieku.

Dziwnie było myśleć o takich sprawach na Kalpeni. Lakkadiwy pływały się w morzu i słońcu, a ich leniwi mieszkańcy żywili się suszoną rybą i orzechami kokosowymi, nie eksportując niczego poza suszoną rybą i kopra. Wyspy były zawsze odległe od wielkich spraw tego wieku - jakiegokolwiek wieku - jednak, upominał sam siebie Yale błędnie cytując Donne'a, żadna wyspa nie jest naprawdę wyspą. I te brzegi też już omywały fale nowych, tajemniczych zdarzeń, nad którymi człowiek nie miał najmniejszej władzy, podobnie jak nad lotem samotnego albatrosa przez powietrzny przestwór ponad oceanami Południa.

II

Caterina wyszła na spotkanie mężowi z ich koralowego domu.

- Clem; Philip jest w domu - powiedziała ujmując go za rękę.

- To czym się niepokoisz? - zapytał.

Z cienia wyłonił się jego syn, chyląc głowę w progu, i szedł ku ojcu z wyciągniętą ręką. Przy powitaniu Yale zauważył, że uśmiechnięty i zamieniony Philip rzeczywiście wyrósł już na dojrzałego mężczyznę.

Ten syn z pierwszego małżeństwa - Yale i Caterina pobrali się zaledwie trzy i pół roku temu - wyglądał zupełnie jak sam Yale w wieku siedemnastu lat, z krótko podciętymi włosami i długą ruchliwą twarzą, nazbyt łatwo odzwierciedlającą stan umysłu właściciela.

- Jak się cieszę, że cię widzę. Chodźmy na piwo - powiedział Yale. -

Cieszę się, że "Kraken" zdążył powrócić, zanim odjechałeś do Anglii.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać, ojczu. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybym wrócił do domu na "Krakenie" - to znaczy popłynął z nimi do Adenu, a stamtąd poleciał samolotem.

- No nie, przecież oni odpływają jutro, Phil. Miałbym cię widzieć tak krótko" Chyba nie musisz wyjeżdżać tak nagle.

Philip odwrócił wzrok i odezwał się dopiero wtedy, gdy zasiadł przy stole naprzeciw ojca:

- Nikt cię nie prosił, żebyś opuszczał dom na prawie cały rok.

Taka odpowiedź zaskoczyła Yale'a.

- Nie myśl, że nie brakowało mi ciebie i Cat - odrzekł'.

- Czy to jest odpowiedź na pytanie?

- Phii, nie zadałeś mi żadnego, pytania. Owszem, przykro mi, że wyjechałem na tak długo; ale była robota do wykonania. Miałem nadzieję, że zostaniesz nieco dłużej, że ze sobą razem trochę pobędziemy. Czemu wyjeżdżasz tak niespodziewanie?

Chłopak wziął szklankę z rąk Cateriny, która przyniosła piwo i usiadła między nimi, uniósł szklankę w jej stronę i pociągnął długi łyk, po czym odpowiedział:

- Muszę wziąć się do pracy, ojczu. Za rok kwiczę szkołę.

- Będziesz mieszkał w Anglii z matką?

- Ona jest w Cannes czy gdzieś tam z którymś ze swoich bogatych kochasiów. Ja wolę zostać w Oxfordzie z przyjaciółmi i uczyć się.

- Czy raczej z przyjaciółką, Phil'?

Próba zaczepki spaliła na panewce. Philip powtórzył ponuro:

- Z przyjacielem.

Zaległa między nimi cisza. Caterina zauważyła, że obaj patrzą na jej gładkie, opalone ręce, leżące na stole. Zsunęła je na kolana i powie-

działa:

- Wiecie co, chodźmy jak dawniej popływać we trójkę w lagunie. Mężczyźni wstali bez enCuzjazmu, po prostu, żeby nie odmówić: Przebrali się w kostiumy kąpielowe. Radość i podniecenie wstąpiły w Yale'a, gdy znów ujrzał swoją żonę w bikini. Jej ciało, jeszcze bardziej opalone, było jak zawsze pociągające, na udach nie przybył ani gram tłuszczu, piersi wciąż były sprężyste. Jakby odgadując jego myśli uśmiechnęła się do niego frywolnie i wzięła jego rękę w dłonie. Gdy szli ku przystani, niosąc płetwy i maski, Yale odezwał się:

- Phil, gdzieś się ukrywał, kiedy przyplłynął "Kraken"?

- Byłem w forcie i wcale się nie ukrywałem.

- Tak tylko powiedziałem. Cat mówiła, że wzięłeś się' za pisanie.

- Czyżby?

- Ale co piszesz: powieść czy wiersze'?

- Myślę, że ty nazwałbyś to powieścią.

- A jak ty byś to nazwał?

- Boże święty, czy mógłbyś przestać mnie egzaminować? Wiesz przecież, że nie jestem już główniarzem.

- Wygląda na to, że wróciłem w zły dzień.

- A żebyś wiedział. Rozwiodłeś się z matką, a potem uganiałeś się za Cateriną. Skoro się z nią ożeniłeś, to czemu o nią nie dbasz, jeśli tak jej pragniesz?

Rzucił swój ekwipunek na ziemię, wziął rozbieg wzdłuż drewnianego pomostu i pisał płytko w błękitną wodę. Yale spojrzął na Caterinę, ale ona unikała jego wzroku.

- Mówi, jakby był zazdrosny. Mocno ci się to dawało we znaki?

- On jest teraz w trudnym wieku. Powinieneś dać mu spokój i nie drażnić go.

- Przecież prawie nic do niego nie mówiłem.

- Nie sprzeciwiaj się jego wyjazdowi, jeśli się przy nim upiera.

- Wyście się o coś pokłócili, prawda?

Patrzył na nią, jak zakłada płetwy siedząc na pomoście. Widok wglębenia między piersiami sprawił, że znowu ogarnęła go fala miłości. Muszą wrócić do Lorydynu i Cat musi mieć dziecko, po prostu dla jej dobra. Zbyt dużo poświęcają na rzecz słońca; stópień ucywilizowania można by zdefiniować jako gotowość poddania się zwiększonym dawkom sztucznego światła i ciepła, być może istnieje nawet bezpośredni związek pomiędzy wciąż rosnącym zapotrzebowaniem świata na energię a umacnianiem więzi społecznych. Jego chwilowe rozmyślenia przerwała odpowiedź Cateriny:

- Wręcz przeciwnie, byliśmy w doskonałych stosunkach, kiedy cię tu nie było.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że został na miejscu; patrzył, jak płynęła w stronę swego pasierba, baraskującego pośrodku laguny przy kadłubie "Krakena": Dopiero po chwili nałożył maskę i ruszył jej śladem.

Kąpiel wszystki.m zrobiła dobrze. Po tym, co opowiadał Vandranasis, Yale nie był zdziwiony obecnością strzępieli w lagunie, chociaż zazwyczaj wolały one pozostawać po zewnętrznej stronie atolu. Szczególnie wyróżniał się wśród nich jeden prawie dwumetrowy tłuscioch, którego chytrawo-pogardliwe próby nawiązania pozorów przyjaźni kazały Yale'owi żałować, że nie wziął ze sobą kuszy.

Kiedy miał już dość, popłynął do północno-zachodniego brzegu w sąsiedztwo starego portugalskiego foćtu i ułożył się na kojącym koralowym piasku.

Wkrótce dołączyła do niego reszta.

- To jest dopiero życie - powiedział, obejmując ramieniem Caterinę. -

Niektórzy z naszych tak zwanych ekspertów tłumaczą całe życie siłą naszych popędów, dla innych wszystko wydaje się wytłumaczalne poprzez zamiary boskie, jeszcze inni uważają, że to sprawa gruczołów, a są tacy, dla których sprowadza się to do wysublimowanego kompleksu Edypa. Jeżeli chodzi o mnie, życie widzę jako pogoń za słońcem. .O co chodzi? -

Dojrzał napięcie na twarzy żony. - Nie zgadzasz się ze mną?

- Ja, nie, Clem, ja, ja mam chyba inne cele.

- Jakie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zwrócił się do Philipa:

- A ty jakie masz cele w życiu, młody człowieku?

- Dlaczego zawsze zadajesz takie idiatyczne pytania? Po prostu żyję i nie filozofuję przez cały czas.

- Czemu Fraulein Reise wyjechała? Czy nie dlatego, że byłeś dla niej tak nieuprzejmy, jak dla mnie?'

- Och, idź do...

Philip zerwał się, byle jak naciągnął maskę i rzucił się z powrotem do wody, gwałtownymi ruchami ramion kierując się ku przeciwnemu brzegowi. Yale wstał, strząsnął płetwy i pomaszerował plażą, nie zwracając uwagi na boleśnie klujące ziarna koralowego piasku. W najwyższym punkcie wybrzeża rosła wątła trawa, a za nią zбочze znowu skłaniało się w dół ku rafom bariery oceanicznej. Leżały tam rozkładające się wieloryby, w pół zanurzone w wodzie cielska, które stały się już czymś zbyt strasznym, by zasługiwać na miano ciała. Na szczęście południowo-zachodni pasat chronił pozostałą część wyspy przed smrodem. Yale przypomniał sobie, że ów odór rozkładu dotarł do „Krakena” jeszcze daleko od brzegu, jak gdyby Kalpeni była miejscem popełnienia jakiejś straszliwej, niepomiernej zbrodni. Myślał o tym starając się opanować gniew na syna.

*

Wieczorem podejmowali kolację załogę trawlera. Była to wspaniała pożegnalna uczta, skończyła się jednak wcześniej, później więc Yale, Philip i Caterina wyszli ze szklankami na werandę i zasiedli razem, patrząc na światła "Krakena", migoczące w głębi laguny. Philipowi najwidoczniej minął poprzedni zły nastrój, kipiał bowiem radością, papląc bez przerwy o życiu na uniwersytecie, aż wreszcie Caterina mu przerwała.

- Nasłuchałam się dość o Oxfordzie przez ostatnie tygodnie. Może by tak Clem opowiedział nam coś o Antarktyce?

- Dla mnie ta ponure zesłanie.

- Ma swoje złe i dobre strony - rzekł Clem - co można powiedzieć, jak sądzę, również i o Oxfordzie. Weźmy na przykład te pingwiny, które przywiozłem - warunki, jakie tam panują podczas ich okresu godowego, są nie do zniesienia dla człowieka. Około minus trzydziestu stopni Fahrenheita przy hulającej śnieżycy o prędkości jakichś osiemdziesięciu mil na godzinę. Przy takiej pogodzie człowiek dosłownie zamraża na kość, ale pingwiny uważają, że to najlepszy czas na zaloty.

- Głupole.

- Mają swoje powody. W pewnych porach roku Antarktyda wręcz opływa w żywność, jest najbogatszym miejscem na świecie. Och. Philip, pwwinieneś kiedyś tam pojechać. Te potoki światła słonecznego w lecie - to, to doprawdy inna planeta i do tego znacznie mniej znana od Księżyca. Czy zdajecie sobie sprawę, że więcej ludzi wylądowało na Księżycu, niż odważyło się zmierzyć z Antarktydą?

Przyczyny wyprawy "Krakena" na owe odległe południowe morza były czysto naukowe. Niedawno powstała Światowa Organizacja Zasobów Wodnych, której centrala mieściła się w lśniącym nowiułkim wieżowcu nad Zatoką Neapolitańską, zainaugurowała pięcioletni program badania oceanów. a porzdewiały "Kraken" stanowił nikczemną cząstkę anglo-amerykańskiego wkładu w ten program. Statek, wyposażony w czujniki Davisa i inną nowoczesną aparaturę oceanograficzną, wiele miesięcy ciężkiej pracy poświęcił badaniom prądów oceanicznych w Atlantyku, a w tymże czasie Clement Yale dokonał detektywistycznego odkrycia.

- Mówiłem ci dzisiaj rano, że mam coś ważnego do powiedzenia. Chciałbym już teraz zrzucić ten kamień z serca. Czy wiesz. Cat, co to są oczliki?

- Mówiłeś mi kiedyś. To jakieś ryby, prawda.

- To są skorupiaki żyjące w planktonie, które stanowią niezwykle ważne

ogniwo w łańcuchu pokarmowym w oceanie. Jak wyliczono, tych osobników żyje prawdopodobnie więcej niż jakichkolwiek innych wielokomórkawych organizmów - ludzi, ryb, mięczaków, małp, psów i tak dalej - razem wziętych. Pojedynczy oczlik ma rozmiary ziarnka ryżu, a niektóre z jego odmian zjadają dziennie połowę tego, co ważą, głównie w postaci otwornic. Najlepsza na świecie swinia nie dokonałaby takiej sztuki. Tempo, w jakim ta kruszyna życia wchłania i przerabia pożywienie, można śmiało uznać za symbol żyzności naszej starej Ziemi. Jest to również doskonały przykład powiązań, jakie istnieją pomiędzy wszystkimi żywymi istotami. Oczliki żywią się najmniejszymi żyjątkami oceanicznymi, natomiast same są pożywieniem dla stworzeń największych, jak rekin wielorybi i olbrzymi oraz rozmaite wieloryby. Również ptaki morskie lubią urozmaicać sobie tymi raczkami jadłospis.

Różne gatunki oczlików zamieszkują odrębne poziomy i korytarze w tym wielowymiarowym podmorskim świecie. Jeden z nich śledziliśmy przez wietę tysięcy mil, kiedy podążaliśmy śladem pewnego prądu oceanicznego.

- Czułem, że dosiada swojego ulubionego konika - zawoiał Philip.

- Dolej ojcu i nie bądź taki bezczelny. System prądów morskich jest równie ważny dla ludzkiego życia jak układ krążenia krwi. Zarówno jeden, jak i drugi to strumień życia, który unosi nas ze sobą, czy tego chcemy, czy nie. My na "Krakenie" badaliśmy tylko jedną cząstkę tego strumienia, a mianowicie prąd, o którego istnieniu oceanografowie wiedzieli teoretycznie już od pewnego czasu, my zaś wykreśliliśmy dokładnie jego przebieg i nadałiśmy mu nazwę. Jaka to nazwa, powiem wam nieco później - powinno cię to rozbawić, Cat.

Nasz prąd formuje się powoli w Morzu Tyrreńskim; jak nazywa się część Morza Śródziemnego pomiędzy Sycylią i Włochami. Pływaliśmy w nim nieraz, Cat, kiedy byliśmy w Sorrento, ale wtedy dla nas było to po prostu Morze Śródziemne. W każdym razie parowanie jest tam bardzo silne, dzięki czemu na powierzchni zbiera się bardzo słona woda, która opada w głąb i stopniowo wylewa się do Atlantyku, bo przecież Morze Śródziemne jest tylko jego odgałęzieniem.

Prąd następnie zagłębia się jeszcze bardziej i odgina ku południowi. Mogliśmy śledzić jego trasę bardzo łatwo, dokonując pomiarów zasolenia wody, prędkości przepływu i tak dalej. Jak stwierdziliśmy, rozgałęzia się on, ale ta odnoga, która nas szczególnie interesowała, zachowuje niezwykłą jednorodność, tworząc wąską wstęgę wody poruszającej się z prędkością około trzech mil na dobę. Na Atlantyku jest on wciśnięty pomiędzy dwa inne prądy płynące w przeciwnym kierunku, znane od dość dawna jako Antarktyczny Prąd Denny i Pośredni. Oba te płynące ku północy prądy niosą wielkie ilści wody - można by je nazwać głównymi arteriami. Wody Prądu Dennego są bardzo słone i lodowato zimne.

Płynęliśmy w ślad za naszym prądem przez równik i dalej na południe, na zimne wody Oceanu Południowego. Tam wreszcie prąd wznosi się ku powierzchni i zarazem rozplywa wachlarzowato wzdłuż wybrzeża antarktycznego, od Morza Weddella do Morza Mackenzie. W jego cieplejszych wodach w czasie krótkiego polarnego lata wręcz roi się od oczlików i wszelkiego innego drobiazgu. Inny rodzaj skorupiaków, zwany krylem, występuje tak licznie, że morze przybiera cynamonowe zabarwienie; "Kraken" często płynął po różowej fali. Raczkę pożerają otwornice, a one same pożerane, są przez wieloryby.

- Przyroda jest taka potworna - powiedziała Caterina.

- Być może - Yale uśmiechnął się do niej - ale przecież poza przyrodą nie ma nic. W każdym razie byliśmy dumni z naszego prądu, że zawędrował tak daleko. Wiesz, jak go nazwaliśmy? Uczciliśmy w ten sposób dyrektora Światowej Organizacji Zasobów Wodnych, gdyż ten prąd będzie od teraz nosił nazwę Prądu Devlina od nazwiska Theodora Devlina, wielkiego ekologu morskiego i twojego pierwszego męża.

Caterinie złość dodawała jeszcze urody. Siegając po papierosa do stojącego na stole pudełka z drzewa sandałowego powiedziała:

- Przypuszczam, że według ciebie miał to być dowcip.

- To chyba raczej ironia. Ale przecież bardzo stosowna, doskonale sama wiesz. Diabłu też się należy jego ogarek. Zresztą Devlin jest wielkim zło-wiekiem, o wiele większym, niż ja kiedykolwiek będę.

- Clem, przecież wiesz, jak on mnie traktował.

- Oczywiście, właśnie dlatego miałem szczęście cię zdobyć. Nie chow~m do niego urazy choćby dlatego, że kiedyś był moim przyjacielem.

- Nie, nie był. Theo nie ma przyjaciół, ceni sobie tylko własne korzyści, Po pięciu latach z nim przeżytych znam go chyba lepiej niż ty.

- Możesz być uprzedzona.

Uśmiechną się, ubawiony jej rozdrażnieniem. Rzuciła w niego papierosem i zerwała się na równe nogi.

- Zwariowałeś, Clem. Doprowadzasz mnie do szału. Dlaczego nigdy nie masz potrzeby odegrania się na kimś? Zawsze jesteś tak cholernie zrównoważony. Czemu nigdy nikogo nie znienawidzisz? A szczególnie Theę. Czemu nie znienawidzisz Thea dla mnie?

Yale wstał również.

- Uwielbiam cię, kiedy usiłujesz być dziwką.

Strzeliła go w twarz, aż okulary pofrunęły w powietrze, i wypadła z pokoju. Philip nie poruszył się: Yale podszedł do najbliższego trzcinowego fotela i podniósł swoje okulary z siedzenia; były nie uszkodzone. Kiedy je ponownie zakładał, odezwał się:

- Mam nadzieję, Phil, że takie sceny nie wprawiają cię w zbytne zakłopotanie. Wszystkim nam potrzebne są zawory bezpieczeństwa dla naszych emocji, a kobietom w szczególności. Caterina jest wspaniała, prawda? Co o tym myślisz? Czy naprawdę byliście w dobrych stosunkach?

Powoli Philipa oblał rumieniec.

- Łam sobie głowę sam. Pójdę się spakować.

Gdy się odwracał, Yale chwycił go za ramię.

- Nie musisz odchodzić. Jesteś prawie dorosły i powinieneś umieć stawić czoło gwałtownym wybuchom emocji. Nie potrafiłeś tego jako dziecko; ale to są zwykłe sprawy, jak burza na morzu.

- Dziecko! Sam jesteś dzieckiem, ojcze! Myślisz, że jesteś taki spokojny i wyrozumiały, co? Ale ty przecież nigdy nie rozumiałeś, co ludzie kojni czują.

Wyszedł i Yale pozostał sam w pokoju.

- Wytłumacz mi, a postaram się zrozumieć - powiedział na głos.

III

Kiedy wszedł do sypialni, Caterina siedziała zgnębiona na łóżku, z bosymi stopami na kamiennej posadzce. Patrzyła na niego uważnie tajemniczym wzrokiem kota.

- La dużo wypiałam, kochany. Wiesz, że mi piwo nie służy. Przepraszam. Podszedł i podciągnął jej pod nogi dywan, po czym ukląkł obok.

- Ty ohydna alkoholiczko, chodź zę mną nakarmić pingwiny, zanim się położymy. Philip chyba już poszedł do łóżka.

- Powiedz, że mi przebaczasz.

- O, Chryste, nie zaczynajmy tego od nowa, moja najśłodsza Cat. Wiesz przecież, że ci przebaczyłem.

- No to powiedz to, powiedz.

Philip ma całkowitą rację - pomyślał. - Nie rozumiem nikogo, nie rozumiem nawet samego siebie. To prawda, że przebaczyłem Cat, dlatego więc upieram się, żeby jej tego nie powiedzieć, skoro ona tak się tego domaga? Może dlatego, że uważam to za zbyt błahy powód do wybaczenia. No cóż, czym jest męska duma wobec kobiecych pragnień? - i powiedział to. Na zewnątrz fale płuksały sennie o rafę na znak niezmiennego zaddwoleńa. Wyspa wydawała się w nocy tak niska, że tylko cudem ocean nie przelewał się przez nią. Nigdzie nie było widać żadnego światła, z wyjątkiem lampy

na maszcie "Krakena".

Pingwiny znajdowały się w jednej ze stałych klatek w głębi laboratorium. Stały tam z dziobami wetkniętymi pod swe skrzydło-płetwy i nie zmieniły pozycji nawet po zapaleniu światła.

Caterina objęła go w pasie.

- Przykro mi, że się zapomniałam. Chyba powinniśmy ci pogratulować?

To znaczy, ten prąd to duże odkrycie, prawda?

- W każdym razie długie -jakieś dziewięć i pół tysiąca mil.

- Och, nie żartuj, kochanie. Pewnie jak zwykle bagatelizujesz to, czego dokonałeś.

- O tak, okropnie. Być może kiedyś, otrzymam szlachectwo. W każdym razie za tydzień polecimy do Londynu po jakieś tam wyrazy uznania, a ja będę musiał złożyć bardziej szczegółowe sprawozdanie. Naprawdę jednak zrobiłem jeszcze jedno odkrycie, o którym wie dotychczas oprócz mnie tylko jedna osoba. Odkrycie Prądu Devlina jest przy tym niczym, a skutki tego odkrycia mogą dotyczyć każdego z nas.

- O czym ty mówisz?

- Jest już późno i oboje jesteście zmęczeni. Powiem ci rano.

- A nie mógłbyś teraz, kiedy będziesz karmił ptaki?

- Nie będę. Chciałem tylko do nich zajrzeć, a nakarmić je będzie lepiej z rana. - Popatrzył na nią z zastanowieniem.

- Jestem zachłannym człowiekiem, Cat, chociaż staram się to ukrywać. Pragnę życia, chcę dzielić to życie z tobą przez tysiąc lat, przez tysiąc lat chcę istnieć na Ziemi ze szlachectwem czy bez niego - i to jest możliwe.

Stali patrząc na siebie i wyczuwając przepływające pomiędzy nimi prądy neuronowe. Napięcie opadło już dostatecznie, aby mogli odczuć, że nie są już dłuższą całkowicie odrębnymi istotami.

- W ziemskim krwiobiegu pojawiła się nowa infekcja - powiedział. -

Niesie ona ze sobą pewną chorobę, którą można by nazwać długowiecznością. Jej nośnik wyizolowano po raz pierwszy około dziesięciu lat temu w ławicach śledzi bałtyckich. Rozumiesz teraz, Cat, w jaki sposób śledziliśmy Prąd Devlina? Mieliśmy głębinowe trały, sonary oraz specjalne pływaki, które unosiły się swobodnie tylko w wodzie o określonej gęstości, dzięki czemu przez cały czas mogliśmy wyznaczać stopień zasolenia, temperaturę i prędkość wód naszego prądu. Mogliśmy również badać skład planktonu, dzięki czemu stwierdziliśmy, że oczliki są nosicielami szczególnego wirusa, który zidentyfikowałem jako odmianę owego wirusa z Bałtyku. Nie wiemy dotychczas, skąd on pochodzi. Rosjanie sądzą, że mógł on być zawarty w tektycie albo w pyłe meteorytowym, tak więc byłby on pochodzenia pozaziemskiego...

- Błagam cię, Clem, nic z tego nie rozumiem. Co właściwie ten wirus robi? Mówisz, że przedłuża życie, tak?

- W niektórych wypadkach, niektórym gatunkom.

- Kobietom i mężczyznom również?

- Nie, jeszcze nie. W każdym razie nic o tym nie wiem - wskazał ręką aparaturę rozłożoną na stołach pracowni. - Pokażę Ci, jak on wygląda, jak tylko zmontuję mikroskop elektronowy. Ten wirus jest bardzo mały, ma zaledwie dwadzieścia milimikronów długości. Gdy tylko znajdzie odpowiedniego gospodarza, przenika szybko w głąb jego komórek, gdzie jego działanie objawia się niszczeniem wszystkiego, co zagraża życiu komórki.

W gruncie rzeczy jest to konserwator komórek, i do tego bardzo wydajny.

Chyba sama rozumiesz, co to znaczy. Każda istota nim zakazona może żyć praktycznie wiecznie, albowiem w wyjątkowo sprzyjających warunkach bałtycki wirus jest w stanie nawet całkowicie odbudować zniszczoną komórkę. O ile wiemy, dotychczas znalazł on sobie tylko dwóch takich gospodarzy, w obu przypadkach mieszkańców morza - rybę i ssaka, czyli śledzia i wieloryba błękitnego. W oczlikach występuje on w formie latentnej.

Zauważył, że Cateriną wstrząsnął dreszcz.

- Chcesz powiedzieć, że te śledzie i wieloryby są... nieśmiertelne? - zapytała.

- Potencjalnie, jeśli zostały zarażone. Oczywiście śledzie dalej są zjadane, ale te, które unikną tego losu, rozmnażają się rok po roku zachowując te

właściwości. Żadne ze zwierząt, które zjadają śledzie, dotąd się nie zakażyło, innymi słowy wirus nie był w stanie w nich przetrwać. Zakrawa na ironię, że ten mały zarazek, który kryje w sobie tajemnicę wiecznego życia, sam wciąż jest zagrożony wymarciem.

- Ale ludzie....

- Ludzie jeszcze nic do tego nie mają. Oczliki, które wysłedziliśmy w naszym prądzie, były zakażone bałtyckim wirusem. Wypląnęły na powierzchnię dopiero u brzegów Antarktydy i tam dokonałem nowego odkrycia: otóż jeszcze jeden gatunek podlega zakażeniu, a tym gatunkiem są pingwiny Adeli. Nie umierają już one więcej z przyczyn naturalnych. Ta para tutaj jest w istocie nieśmiertelna.

Caterina wpatrywała się w pingwiny poprzez oka siatki. Ptaki przycupnęły na skraju swej wanienki, komicznymi łapami obejmując jej kamionkowy brzeg. Nie wyjęły dziobów spod skrzydeł, lecz przebudziły się i obserwowały kobietę bystrymi, nie mrugającymi oczami.

- To śmieszne, Clem, całe pokolenia ludzi marzyły o nieśmiertelności, ale nikt nie przypuszczał, że to przytrafi się pingwinom... Chyba to właśnie nazywasz ironią. Czy jest jakiś sposób, abyśmy się zarazili od tych ptaków?

Roześmiał się.

- To nie takie łatwe, jak zarazić się psitacjozą od papugi, być może jednak znajdziemy doświadczalnie metodę zakażenia ludzi tą chorobą. Zanim to jednak nastąpi; powinniśmy sobie zadać inne pytanie.

- To znaczy jakie?

- Czy nie jest to przede wszystkim kwestia moralna? Czy jesteśmy w stanie, zarówno jako gatunek; jak i jednostki, żyć owocnie przez tysiąc lat? Czy zashagujemy na to?

- A czy sądzisz, że śledzie zasłużyły sobie na to bardziej od nas?

- Sprawiają mniej szkód niż ludzie.

- Powiedz to swoim oczlikom.

Zaśmiał się serdecznie, jak zawsze szczęśliwy w tych rzadkich momentach, gdy jej kaśliwa odpowiedź przypadła mu do gustu.

- Interesujące, w jaki sposób oczliki przenoszą w sobie latentną postać wirusa z Morza Śródziemnego aż do Antarktyki nie zakażając się same.

Oczywiście musi być jeszcze jakieś ogniwo pośrednie pomiędzy Bałtykiem a Morzem Śródziemnym, ale dotychczas go nie wykryliśmy.

- Może jakiś inny prąd?

- Nie sądzę. Po prostu nie wiemy, tymczasem zaś ekologia na Ziemi może wyrzucić się do góry nogami. Dotychczasowe skutki to raczej przyjemny nadmiar pożywienia i szansa przetrwania dla wielorybów, które były już na progu wyginięcia, ale z czasem może to doprowadzić do głodu i innych nieprzyjemnych zakłóceń w przyrodzie. '

Ten aspekt sprawy mniej interesował Caterinę.

- Tymczasem ty będziesz badał możliwość zaszczepienia wirusa ludziom?

- To może być niebezpieczne, a poza tym to nie moja specjalność.

- Ale przecież nie wypuścisz tej sprawy z rąk?

- Nie. Dotychczas trzymałem wszystko w tajemnicy, nawet przed załogą "Krakena", z wyjątkiem jednej osoby. Znienawidzisz mnie za to, Cat, ale to sprawa zbyt poważna, aby mieszać w nią życie osobiste. Otóż przesłałem zakodowany raport do Thea Devlina, do WWO w Neapolu. Wpadnę do niego po drodze, gdy będziemy jechać do Londynu.,

Jej twarz wydała się naraz zmęczona, postarzała.

- Jesteś albo świętym, albo kompletnym wariatem - powiedziała:

Pingwiny bez ruchu obserwowały dwoje ludzi wychodzących z laboratorium. Dużo czasu upłynęło po zgaszeniu światła, zanim zamknęły oczy i ponownie zapadły w sen.

Świt następnego dnia rozpałił niebo z isicie wagnerowskim przepycbem, ujawniając pierwszy ospały ruch na pokładzie "Krakena" i mieszając się z dolatującym z kambuza zapachem smażonych wapniaków. Już za cztery, pięć dni załoga miała wrócić do swej bazy w Adenie i rozkoszować się

rozmaitością świeżego jedzenia.

Philip również zerwał się wcześniej. Spał nago pod prześcieradłem, ale nie trudził się ubieraniem w nic więcej poza kąpielówkami. Obszedł dom od tyłu i zajrzał przez okno do ojcowskiej sypialni. Yale i, Cat spali spokojnie razem w jej łóżku. Odwrócił się z wykrzywioną twarzą i pobiegł chwiejnie w stronę laguny, do pożegnalnej kąpieli. W chwilę później Joe, ich negrycki służący, zaczął krzątać się po domu, szykując śniadanie i podśpiewując piosenkę o chłodzie poranka. W miarę narastania dziennego upału przygotowania do ójjazdu przybierały na sile. Yale z żoną przyjęli zaproszenie na pożegnalny lunch, który odbył się na pokładzie trawlera pod brezentowym dachem. Choć Yale starał się zagadnąć Philipa, to chłopak zasłaniał się swym ponurym nastrojem i nie dawał się wciągnąć; Yale'owi pozostało pocieszać się myślą, że przecież i tak wkrótce spotkają się w Anglii. Gdy minęło południe, statek odpłynął, a jego syrena odezwała się w chwili, kiedy przepływał wąskim przesmykiem między rafami, jak w pierwszą stronę. Yale i Cak przez chwilę machali mu na pożegnanie z cienia palm, a potem wrócili do domu.

- Biedny Philip. Mam nadzieję, że wakacje zrobiły mu dobrze. Trudno dać sobie radę z okresem dojrzewania. Pamiętam, że sam też miałem takie kłopoty.

- Czyżby, Clem? Chyba nie.

Rózejrzała się dookoła z rozpaczą, patrząc na łagodną twarz męża, na zmarszczone morze, na którym wciąż jeszcze widoczna była sylwetka trawlera, na zwieszające się nad nimi ciężkie liście palm, lecz w niczym nie zdołała dostrzec pomocy.

- Clem - wybuchnęła wreszcie. - Nie mogę już dłużej trzymać tego w tajemnicy, muszę ci powiedzieć teraz. Nie wiem, jak na to zareagujesz, ale od kilku tygodni Philip i ja jesteśmy kochankami.

Patrzył na nią ze zdumieniem, mrużąc oczy, jak gdyby nie rozumiał tego, co powiedziała.

- To właśnie dlatego odjechał w taki sposób. Nie mógłby wytrzymać tu razem z tobą. Błagał, żebym nigdy ci o tym nie powiedziała... On...

Clem, to wszystko moja wina, to ja powinnam być mądrzejsza. - Przerwała na chwilę i dorzuciła: - Mogłabym być jego matką.

Yale stał zupełnie bez ruchu, a potem odetchnął głośno i głęboko.

- Jak, jak mogłaś, Caterino. Przecież to jeszcze chłopiec.

- Jest równie dorosły jak ty.

- Jest chłopcem. Uwiodłaś go.

- Clem, postaraj się zrozumieć. Na początku była Fraulein. Ona to z nim zrobiła - a może on zaczął, sama nie wiem, jak to było. To mała wyspa, natknęłam się więc na nich pewnego dnia, nagich, w starym forcie. Odesłałam ją, ale zaraza pozostała. Ja... Po tym, jak go zobaczyłam...

- Boże, to kazirodztwo.

- Przestań używać tych głupich staroświeckich określeń.

- Ty świni! Jak mogłaś to z nim robić?

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Nie zatrzymywała go, bo i sama nie mogła ustać na miejscu. Miotana rozpaczą, pobiegła ze szlochom do domu i padła na rozrzuconą pościel.

Przez trzy godziny Yale stał na północno-zachodnim krańcu wyspy i jak sparaliżowany wpatrywał się w morze. Poruszył się tylko raz, aby zdjąć okulary i wytrzeć oczy. Serce waliło mu mocno, kiedy spoglądał na rozciągający się przed nim bezkres jakby rzucając mu wyzwanie.

Caterina cicho podeszła do niego, podając mu szklanę wody z kryształkami soku cytrynowego. Wziął szklanę, podziękował i wypił, cały czas nie patrząc na nią.

- Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, Clement, to wiedz, że bardzo cię kocham i podziwiam. Wiem, że nie nadaję się na żonę dla ciebie, uważam, że jesteś święty. Chociaż żadałam ci tyle bólu, ty się przejąłeś najbardziej tym, jak skrzywdziłam Philipa, prawda?

- Nie bądź głupia. To ja nie powinienem pozostawiać ciebie samej na

tak długo. Wystawiłem cię na pokuszenie. - Spojrzał na nią surowo. - Przepraszam za to, co powiedziałem... o kazirodztwie. Nie jesteś przecież spokrewniona z Philipem, a tylko spowinowacana przez małżeństwo. A poza tym człowiek to jedyne stworzenie, które uważa kazirodztwo za coś wbrew naturze. Większość zwierząt, łącznie nawet z małpami człekokształtnymi, nie widzi w tym „nic złego. Można zdefiniować człowieka jako gatunek, który obawia się kazirodztwa. Jak wiesz, niektórzy psychoanalitycy uważają, że wszystkie choroby psychiczne to obsesje wywołane tym strachem, toteż ja...

- Przestań~

To był niemal krzyk. Przez chwilę waleczyła ze sobą, a potem powiedziała:

- Słuchaj, Clem, mów o nas, na miłość boską, nie o tym, co mówią psychoanalitycy czy robią małpy człekokształtne: Mów o nas, myśl o nas.

- Przepraszam, wiesz, że jestem pedantem, ale chciałem...

- I przestań, przestań mnie przepraszać. To ja powinnam przepraszać ciebie, na klęczkach błagać o wybaczenie. Och, czuję się taka straszna, beznadziejna, taka winna. Nawet sobie nie wyobrażasz, co przesłama. Chwyił ją i ścisnął boleśnie, przez chwilę bardzo podobny do swego syna.

- Dostajesz hysterii. Wcale nie chcę, żebyś klęczała przede mną, Cat, choć dzięki Bogu to jedna z twoich cudowniejszych cech, że potrafisz tak wyznać swoje błędy, jak mnie się nigdy nie udało. Sama widzisz, że postąpiłaś źle. Przemyslałem to wszystko i widzę, że błąd był głównie po mojej stronie. Nie powinienem był zostawiać cię samej tu na Kalpeni na tak długo. Teraz, kiedy szok mi już minął, wszystko będzie między nami jak dawniej. Pomyślałem również, że będę musiał napisać do Philipa, powiem mu, że wyznałaś mi wszystko i że nie musi się czuć winnym.

- Clem, jak ty możesz - nie masz żadnych uczuć? Jak mogłeś mi tak łatwo wybaczyć?

- Nie powiedziałem, że ci wybaczyłem.

- Właśnie to powiedziałeś.

- Nie, powiedziałem... zresztą nie czepiajmy się słów. Muszę ci wybaczyć. Wybaczyłem ci.

Przyłgnęła do niego.

- To powiedz, że mi wybaczasz.

- Przecież powiedziałem.

- Powiedz, proszę, powiedz mi.

W nagłym ataku wściekłości odepchnął ją od siebie, wrzeszcząc:

- Niech cię cholera, powiedziałem, że ci przebaczyłem, stuknięta dziwko.

Czego jeszcze chcesz?

Upadła jak długa na piasek. Natychmiast poczuł skruchę i schylił się, by ją podnieść, przepraszając za swą brutalność i powtarzając w kółko, że przecież jej przebaczył. Gdy wstała, zawrócili razem do koralowego domu, pozostawiając pustą szklankę na piasku. Po drodze Caterina powiedziała:

- Czy możesz sobie wyobrazić mękę życia przez tysiąc lat?

Następnego dnia po tym pytaniu na wyspę przybył Theodore Devlin.

IV

Niemal cała ludność Kalpeni wyległa, aby obejrzyć lądowanie helikoptera na okrągłym lotnisku pośrodku wyspy. Nawet Vandranasis zamknął swój sklepik i dołączył do cienkiej strugi gapiów, podążających ku północy. Maszyna schodziła w dół przy akompaniamencie klaskania wielkich palmowych liści; na jej czarnym kadłubie połyskiwały insygnia WWO. Gdy tylko wirnik zatrzymał się, Devlin zeskoczył na ziemię, a za nim jego pilot.

Starszy o dwa, trzy lata od Yale'a, Devlin był krępy, dobrze zakonserwowany mężczyzną o elegancji stopniem dorównującej zaniedbaniu Yale'a. Ten człowiek o rysach ostrych jak jego umysł był powszechnie szanowany, lecz w niewielu potrafił wzbudzić sympatię. Yale, ubrany tylko w dzinsy i tenisówki, wyszedł mu naprzeciw i uściśnął rękę:

- Kto by się ciebie tu spodziewał, Theo. Kalpeni jest zaszezycona.
- Kalpeni jest piekielnie gorąca. Na litość boską, Clernent, zaprowadź mnie w cień, zanim się usmażę. Nie pojmuję, jak ty to wytrzymujesz.
- Chyba stałem się krajowcem, zadomowiłem się tutaj. Widziałeś moją parę pingwinów pływającą w lagunie?

- Mhm.

Devlin nie był w nastroju na pogawędkę. Maszerował zwawo w swym nieskazitelnie jasnym garniturze. Niższy o głowę od Yale'a, w każdym sprężystym ruchu wykazywał siłę i opanowanie nawet na zdradliwym piasku. Yale stanął u wejścia do domu, zapraszając gościa i chudego hinduskiego pilota do wnętrza. W pokoju oczekiwała ich Ceterina bez śladu uśmiechu na twarzy. Jeśli nawet Devlin był zakłopotany tym spotkaniem z byłą żoną, nie dał tego poznać po sobie.

- Myślałem, że w Neapolu jest dostatecznie gorąco, ale wy tutaj życie w diabelskim piecu. Jak się masz, Caterino? Dobrze wyglądasz: Nie widziałem cię od czasu, kiedyś płakała na ławie świadków. Jak Clement cię traktuje? Mam nadzieję, że nie w ten sposób, do jakiego przywykłaś wcześniej?

- Z pewnością nie przyjechałeś, tu, aby prawić nam uprzejmości, Theo. Może ty i twój pilot napilibyście się czegoś? Zdaje się, że miałeś ochotę nam go przedstawić?

Osadzony na miejscu Devlin zasznurował usta i zaczął zachowywać się mniej wojowniczo. Jego następną wypowiedź można było nawet uznać za swego rodzaju usprawiedliwienie.

- Rozzłościł mnie ci krajowcy obmacywaniem paluchami tego helikoptera. Niedaleko jeszcze odbiegli od małpy. Toż to pasożyty w każdym sensie tego słowa. Cały swój nędzny dobytek zawdzięczają rybom i tym wspaniałym kokosom, a jedno i drugie dostają do ręki dzięki łasce oceanu - nawet tę parszywą wyspę zbudowały im koralowce.

- Nasza cywilizacja zawdzięcza mniej więcej to samo innym roślinom i zwierzętom, nie mówiąc już o robakach.

- My przynajmniej spłacamy nasze długi. Zresztą nie o to mi chodzi.

Po prostu nie podzielam twego sentymentu do pustynnych wysepek.

- Toteż nie zapraszaliśmy cię tutaj, Theo - powiedziała Caterina. Wciąż jeszcze starała się opanować zdumienie i gniew wywołane jego widokiem. Pojawił się wreszcie Joe z piwem dla wszystkich. Pilot stanął ze szklanką przy otwartych drzwiach, nerwowo spoglądając na swego szefa. Devlin, Yale i Caterina usiedli, zwróceniem twarzami do siebie.

- Otrzymałeś mój raport - powiedział Yale - i dlatego przyjechałeś, prawda?

- Szantażujesz mnie, Clement, i to jest powód przyjazdu. Czego chcesz?

- Co?

- Szantażujesz mnie. Thomas!

Devlin strzelił palcami i na ten znak pilot wyciągnął pistolet z ezymś, co Yale rozpoznał jako tłumik; po raz pierwszy w życiu zobaczył coś takiego nie na filmie. Pilot w dalszym ciągu trzymał szklankę w lewej ręce i pociągał z niej piwo od niechcenia, ale wzrok miał ezujny. Yale wstał.

- Siadaj! - powiedział Devlin, wymierzając w niego palec. - Siadaj i słuchaj mnie albo okaże się później, że miałeś nieporozumienie z rekinem podczas kąpieli. Zadarłeś z potężną organizacją, Clement, ale masz szansę wyjść z tego cało, jeśli tylko będziesz posłuszny. Co kombinujesz?

Yale pokręcił głową.

- To ty jesteś w tarapatkach, Theo, nie ja. Lepiej byś wytłumaczył, o co ci chodzi.

- Z ciebie zawsze takie niewiniątko, co? Przecież dobrze wiem, że raport, który mi przysłałeś z zapewnieniem, że tylko mnie ujawniasz fakty, to szantaż szyty grubymi nićmi. Mów, jak mogę kupić twoje milczenie. Yale spojrzął na żonę; w jej twarzy wyczytał zaskoczenie, które sam odczuwał. Narastała w nim złość na samego siebie, że nie był w stanie pojąć

Devlina. O co chodzi temu typowi? Jego raport był przecież tylko naukowym opracowaniem drogi, jaką bałtycki wirus przedostawał się z Morza Tyrreńskiego aż do Antarktyki. Potrząsnął głową z oszołomieniem i spuścił oczy na swoje zaciśnięte dłonie.

- Bardzo mi przykro, Theo, ale wiesz przecież, jaki jestem strasznie naiwny. Nie rozumiem zupełnie, o czym mówisz ani dlaczego uważasz za konieczne mierzyć do nas z pistoletu.

To jeszcze jeden przykład twojej paranoi, Theo - odezwała się Caterina. Wstała i podeszła do Thomasa z wyciągniętą ręką. Pilot pospiesznie odstawił piwo i wycelował ~w nią broń. - Oddaj mi to - powiedziała. Zawahał się, unikając jej wzroku, a wtedy chwyciła pistolet za lufę, wyrwała mu go i odrzuciła w kąt pokoju.

- A teraz wynoś się. Idź i ezekaj w helikopterze. I zabieraj swoje piwo. Devlin zrobił ruch w stronę broni, ale zawahał się i usiadł z powrotem, najwyraźniej zażenowany. Starając się ignorować Caterinę, by w ten przynajmniej sposób ratować swą godność, odezwał się do Yale'a:

- Mówisz poważnie, Clement? Naprawdę jesteś takim głupcem, że nie rozumiesz, o co mi chodzi?

Caterina poklepała go po ramieniu.

Wracaj lepiej do domu. Na tej wyspie nie lubimy, jak ktoś nam grozi.

- Zostaw go, Cat, dowiedzmy się lepiej wreszcie; cóż takiego sobie uroił. Przelecieć przez pół świata z Neapolu, ryzykując swoją reputację tylko po to, żeby nam grozić jak zwykły bandyta... - zabrakło mu słów.

- Co chcesz wiedzieć, Theo? Coś paskudnego o mnie, tak?

Ostatnie zdanie przywróciło Devlinowi humor, a nawet nieco pewności siebie.

- Nie, Caterino, to nie to. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z tobą. Tobą przestałem się interesować już bardzo dawno, o wiele wcześniej, niż uciekłaś z tym rybakiem.

Wstał i podszedł do wiszącej na ścianie popękanej i popstrzonej przez muchy mapy świata.

- Chodź tu i popatrz, Clement. Tu jest Bałtyk, a tu Morze Śródziemne. Śledziłeś całą drogę wirusa nieśmiertelności od Bałtyku aż do Antarktyki, sądziłem więc, że miałeś dość rozumu, aby rozwiązać zagadkę brakującego ogniwa pomiędzy Bałtykiem a Morzem Śródziemnym. Przypuszczałem, że chcesz sprzedać swoją dyskrecję na ten temat, teraz jednak widzę, że cię przeceniłem. Wciąż jeszcze nie wiesz, o co chodzi, prawda?

Yale zmarszczył brwi i potarł twarz.

- Nie nadymaj się tak, Theo. Ten obszar był już poza moją jurysdykcją, badania zaczynałem dopiero od Morza Tyrreńskiego. Oczywiście, jeśli ty znasz rozwiązanie, byłbym niezmiernie zainteresowany... Przypuszczalnie wirus był przeniesiony z jednego morza do drugiego przez jakiś gatunek pelagiczny. Najbardziej prawdopodobne wydają się ptaki, ale o ile wiem, nikt dotychczas nie stwierdził, aby bałtycki wirus - wirus nieśmiertelności, jak ty go nazywasz - mógł przeżyć w ciele ptaka... oczywiście z wyjątkiem pingwinów Adeli, ale one nie występują na północnej półkuli.

Caterina potrząsnęła go za ramię.

- Kochanie, on się śmieje z ciebie.

- Ha, ha, Clement, jesteś prawdziwym uczonym - z takich, co to nie widzą, co mają tuż pod nosem, bo po uszy toną w swoich ukochanych teoriach. Ty tępa, chuda tyko! To brakujące ogniwo to przecież ja. To ja badałem tego wirusa na statku na Bałtyku, ja go przewiozłem do Neapolu do Centrali WWO, ja pracowałem dalej nad nim w moim prywatnym laboratorium, to ja...

- Nie rozumiem, w jaki sposób mógłbym się tego domyślić... ach, Theo, to ty odkryłeś... odkryłeś metodę zaszczepiania wirusa ludziom!

Wyraz twarzy Devlina wystarczał za potwierdzenie słuszności jego domysłu.

- Kochanie - Yale zwrócił się do Cateriny - miałaś rację, i on też, rzeczywiście jestem krótkowzrocznym idiotą. Powiniennem to być odgadnąć,

choćby dlatego, że Neapol leży nad Morzem Tyrreńskim. Po prostu zwykle o tym zapominamy i mówimy o Morzu Śródziemnym:

- Nareszcie zrozumiałeś - powiedział Devlin. - Tak właśnie wirus dostał się do twojego Prądu Devlina. W Neapolu jest już mała kolonia ludzi z wirusem we krwi. Jest on wydalany w postaci obojętnej, której nie szkodzi proces uzdatniania ścieków, tak więc trafia on do morza wciąż żywy, a tam . połykają go oczliki, jak to zdołałeś stwierdzić.

- Krążenie krwi!

- Co?

- Nieważne, po prostu przenośnia.

- Theo... Theo, to teraz jesteś, teraz... masz to, prawda?

- Nie lękaj się tego powiedzieć, kobieto. Tak, w moich żyłach płynie nieśmiertelność.

Skubiąc brodę Yale wrócił na swoje krzesło i pociągnął długi łyk piwa. Przez chwilę spoglądał to na jedno z nich, to na drugie, aż wreszcie powiedział:

- Jest w tobie, Theo, przynajmniej tyle z prawdziwego naukowca, co z karierowicza. Dlatego nie mogłeś wytrzymać, aby nam nie opowiedzieć o swoich odkryciach. Ale nie o to chodzi. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że zaszezepienie człowiekowi wirusa jest teoretycznie możliwe. Dyskutowaliśmy o tym z Cat wczoraj do późnej nocy i wiesz, do czego doszliśmy? Otóż zdecydowaliśmy, że gdyby nawet można było uzyskać nieśmiertelność, powiedzmy ostrożniej, długowieczność, nie przyjęlibyśmy jej. Powinniśmy ją odrzucić, ponieważ żadne z nas nie ezuje się dostatecznie dojrzałe, aby wziąć na siebie odpowiedzialność za nasze życie uczuciowe i seksualne przez wieleset lat.

- A więc odmawiacie, tak?

Devlin przeszedł w ką pokoju i podniósł pistolet, zanim jednak zdążył wsunąć go do kieszeni, Yale wyciągnął do niego rękę.

- Przechowam go do twego odjazdu. A właściwie co zamierzałeś z nim zrobić?

- Powinienem cię zastrzelić, Yale.

- Daj mi go. W ten sposób nie będzie pokus. Chciałbyś dochować swego sekretu, prawda? A jak myślisz, czy dużo czasu upłynie, zanim stanie się on tajemnicą poliszynela? Takich spraw nie daje się ukrywać w nieskończoność.

Devlin nie okazywał chęci oddania pistoletu.

Utrzymywaliśmy tę tajemnicę przez pięć lat - powiedział.

- Jest nas teraz około pięćdziesięciu, dokładniej pięćdziesięciu trzech mężczyzn i kilka kobiet. Zanim sekret wyjdzie na jaw, będziemy już znacznie silniejsi, staniemy się i n s t y t u c j ą - potrzeba nam tylko paru lat; na razie zaś robimy inwestycje i zawiązujemy porozumienia. Zauważyłeś chyba, jak wielu wybitnych ludzi pojawiło się w Neapolu w ostatnich latach. Przyciąga ich tam nie tylko WWO czy Zjednoczone Europejskie Centrum Rządowe, przyjeżdżają głównie do mojej kliniki. W ciągu pięciu lat będziemy w stanie wystąpić na arenę publiczną i zawładnąć Europą - a stąd już tylko mały krok do Ameryki i Afryki.

- A widzisz, Clem - odezwała się Caterina - to wariat, to ta choroba, o której ci mówiłam - ale on nie śmie strzelić. Nie odważy się, bo się boi, że go skazą na dożywocie, a dla niego to długi wyrok.

W jej głosie zadźwięczała nuta hysterii, Yale kazał jej więc usiąść i wypić jeszcze jedno piwo.

- Zabiorę Thea, żeby pokazać mu wieloryby. Chodź, Theo, chcę ci pokazać, do czego cię pcha twoja bezpłodna ambicja.

Theo zmierzył go baczny spojrzeniem, jak gdyby zastanawiając się, czy w tym nastroju Yale będzie mógł mu dostarczyć użytecznych informacji, najwidoczniej jednak zdscydownał, że tak, gdyż wstał i ruszył za nim. Wychodząc obejrzał się na Caterinę, ona jednak unikała jego wzroku.

Na zewnątrz oślepiło ich słońce. Tłum gapiów wciąż kręcił się wokół helikoptera, zagadując od czasu do czasu do czasu pilota Thomasa. Nie zwracając na nich uwagi, Yale poprowadził Devlina obok wehikułu wzdłuż laguny,

która Isniła oślepiając w blasku południa. Devlin zgrzytał zębami, ale nie mówił. Wydawał się jakby mniejszy, gdy tak szli przez krajobraz nagi niemal jak stara kość, wąskim pasmem pomiędzy błękitnym nieskończonym oceanem i zielonym okiem laguny.

Idąc bez przestanku Yale kierował się ku północno-zachodniemu pasmu plaży. Brzeg był tu stromy, nie mogli więc widzieć stąd reszty wyspy poza starym portugalskim fortem, który ograniczał widok przed nimi. Ponura, czarna ruina mogłaby być równie dobrze jakąś wyniosłością bez znaczenia, wydzwigniętą siłami żywiołu morskiego. Gdy mężczyźni podeszli bliżej, ich oczom ukazały się kadłuby wielorybów, przy których zmałał nawet fort. Skonało tu pięć wielorybów, z czego dwa całkiem niedawno. Ogromne cielska tych ostatnich wciąż jeszcze okryte były gnijącymi mięśniami, choć czaszki prześwitywały bielą w miejscach, gdzie wyspiarze oskrobali je z mięsa i wycięli ozory. Pozostałe trzy najwidoczniej trafiły tu znacznie wcześniej, gdyż nie pozostało z nich nic poza arkadami szkieletów z płatami zeschniętej skóry, łopoczącej tu i tam pomiędzy żebrami jak zasłona na wietrze.

- Po coś mnie tu przyprowadził?

Theo dyszał; jego muskularna klatka piersiowa pracowała z wysiłkiem:

- Aby dać ci lekcję pokory i wstrząsnąć tobą do głębi. Spójrz na to dzieło, o potężny, i rozpaczaj. To były płetwale błękitne, Theo, największe ssaki, jakie kiedykolwiek żyły na tej planecie. Popatrz na ten szkielet. Ten gość ważył z pewnością ponad sto ton. Ma około osiemdziesięciu stóp długości.. Mówiąc cały czas, wszedł do wnętrza wielkiej klatki piersiowej, która poskrzypywała jak stare drzewo, gdy chwilami wspierał się o żebra.

- Theo, w tym właśnie miejscu biło serce, które ważyło około ośmiu cetnarów.

- Mógłbyś ten wykład o Pięćdziesięciu Cudach Natury, czy jak go tam zwiesz, zrobić w cieniu.

- Ależ to wcale...nie chodzi o naturę, Theo, to bardzo nienaturalne. Te pięć zwierząt, które teraz tu gniją, poknęło kiedyś krylą daleko stąd, w wodach Antarktyki. Wraz z tym kryłem trafiła im się zapewne porcja oczlików - oczlików zakażonych bałtyckim wirusem. Wirus zaraził wieloryby. Zgódnie z twymi własnymi słowami mogło to się zdarzyć najwyżej pięć lat temu, he? To akurat wysiarczająco długi czas; aby większa niż zwykle liczba wielorybów błękitnych - jak wiesz, były prawie na wymarciu na skutek nadmiernych połowów - przetrwała niebezpieczeństwa okresu niedojrzałości i doczekała rozrodu. Może to również znaczyć, że okres płodności starszych osobników przedłużył się, ale pięć lat to jednak za mało, aby wieloryby rozmnożyły się tak licznie jak śledzia.

- Ale co u licha wieloryby błękitne robią tu, w pobliżu Lakkadiwów'?

- Nie miałem okazji ich o to zapytać. Wiem tylko, że te stworzenia pojawiły się przy brzegu w czasie pełni, każdy w innym miesiącu. Caterina może ci o tym opowiedzieć, bo sama je widziała i opisała mi wszystko w listach. Mój syn Philip był z nią tutaj, kiedy przybył ostatni z nich. Jakaś siła prowadzi wieloryby poprzez równik na te wody, jakaś siła każe im rzucać się na tę plażę, przy czym rozdzierają sobie brzuchy o rafy, jakaś siła każe im umierać tu, gdzie je teraz widzisz. Zostań jeszcze dziesięć dni, Theo, do następnej pełni. Będziesz mógł obejrzeć samobójstwo kolejnego walenia.

W piasku, pośród pasiastych cieni padających od żeber, mrowiły się kraby, ryjąc i dając sobie znaki. Gdy Devlin odezwał się, w jego głosie znowu było słychać ton gniewu.

- No dobra, sprytny rybaku, powiedz mi, jaka jest odpowiedź na tę zagadkę. Przypuszczam, że tobie jednemu zostało objawione, dlaczego one się zabijają.

- Przyczyną są skutki uboczne, Theo, uboczne skutki choroby nieśmiertelności. Wiesz, że bałtycki wirus zapewnia długie życie, ale nie miałeś czasu stwierdzić, jaki jest jego wpływ na organizm poza tym. Działaleś w takim pośpiechu, że odrzuciłeś naukowe metody postępowania. Bałeś się zestarzeć, zanim się zakazisz, a więc pominąłeś okres próbny. Być może będziesz żył tysiąc lat, ale w jakich warunkach? Co stało się tym biednym stwo-

rzeniom tak straszego, że nie chcą dalej żyć? Cokolwiek to jest, musi być okropne; przekonasz się o tym; bo wkrótce odezwie się to i w tobie, i będziesz skręcał się w męczarniach razem ze swoimi konspiratorami z Neapolu.

Thumik okazał się niezwykle skuteczny. Pistolet wydał tylko cichy syk, jak gdyby ktoś wypluł ogonek truskawki spomiędzy zębów. Więcej hałasu narobiła kula, która zrykoszetowała o zbiele łeb i pomknęła gdzieś w morze. Yale z miejsca sprężył się w sobie i rzucił naprzód z prędkością, jakiej nie rozwijał od lat. Dopadł Devlina, zanim ten zdążył strzelić ponownie. Obaj upadli na piasek, lecz Yale był na wierzchu, przygniótł stopą rękę Devlina, obiema dłońmi chwycił go za gardło i raz za razem tłukł jego głową o piasek. Zaprzestał tego dopiero wtedy, gdy pistolet wysunął się z omdlałej ręki; chwycił broń i sianął na nogi. Posapując nieco, zaczął otrzępywać piasek ze starych dzinsów.

- Nie było to zbyt eleganckie - powiedział, przygważdżając wzrokiem osobnika o purpurowej twarzy, który zwijał się u jego stóp. - Jesteś durniem.

Ostatnim pełnym oburzenia ruchem klepnął się po udach, obrócił się i ruszył w stronę koralowego domu.

Caterina wybiegła mu naprzeciw, przerażona jego widokiem. Krajowcy również ruszyli w jego kierunku, ale zret7ektowali ,się zaraz i cofnęli, robiąc mu przejście.

- Clem, Clem, coś ty zrobił? Chyba go nie zabiłeś?

- Napiłbym się lemoniady. Wszystkó w porządku, Cat, kochana moja...

Nie jest nawet ranny.

Dopiero kiedy zasiadł w chłodzie za stołem i napił się lemoniady, którą mu przygotowała, zaczął się trząść. Rozsądek nakazywał jej nie odzywać się ani słowem, dopóki nie odzyskał mowy; stała tylko obok, głaszcząc go po karku. Po chwili ujrzeli przez okno Devlina, który chwiejnym krokiem brnął przez wydmy. Nie patrząc w ich stronę zmierzał wprost do helikoptera. Wdrapał się do wnętrza przy pomocy Thomasa i zaraz potem wirnik zaczął się obracać. Maszyna uniosła się w powietrze, a oni patrzyli w milczeniu, jak odfruwiała nad morzem na wschód, w stronę indyjskiego subkontynentu. Jej dźwięk zamarł, a wkrótce potem zniknęła i ona sama, połknięta przez ogromne niebo.

- Jest jak te wieloryby. Przyleciał tu, aby zginąć.

Będziesz chyba musiał dać znać do Londynu i powiedzieć im wszystko, prawda?

- Masz rację, a jutro powinienem złapać parę strzępieli. Przypuszczam, że one również są już zakażone.

Spojrzał z ukosa na żonę. Pod jego nieobecność założyła swoje ciemne okulary, ale teraz znowu je zdjęła i usiadła obok, patrząc na niego z troską.

- Nie jestem świętym, Cat, i nigdy więcej tak mnie nie nazywaj - jestem parszywym łgarzem. Musiałem okropnie nakłamać Theowi, dlaczego wieloryby rzucają się na naszą plażę.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Wieloryby od lat rzucają się na brzeg i nikt nie wie, dlaczego.

Theo przypomniałby sobie o tym, gdyby się tak bardzo nie wystraszył.

- Ja pytałam, dlaczego skłamałeś jemu. Powinieneś kłamać tylko ludziom, których szanujesz, jak mawiała moja matka.

Roześmiał się.

- Punkt dla niej. Kłamałem, aby go przestraszyć. W ciągu paru tygodni wszyscy będą wiedzieli o wirusie nieśmiertelności i, jak podejrzewam, będą chcieli -podać się infekcji. Chciałbym, żeby się bali. Być może wtedy powstrzymają się i zastanowią, o co proszą - o wiele żyć ze wszystkimi błędami tego pierwszego życia.

- Theo zabrał twoje kłamstwo ze sobą. Chciałbyś, aby krążyło ono razem z wirusem?

Zaczął wycierać okulary chusteczką.

- Właśnie tak. Światem wkrótce wstrząsną drastyczne i radykalne zmiany.

Im wolniej będą one zachodzić, tym większe my - wszystkie żywe stworzenia,

w tym również ty i ja - będziemy mieli szanse na życie zarówno długie, jak spokojne i szczęśliwe. Moje kłamstwo może stać się czymś w rodzaju hdmulca dla tych zmian. Trzeba, aby ludzie dostrzegli, jak przerażającą rzeczą jest nieśmiertelność, że wym'aga ona poświęcenia tajemnicy śmierci. No, a może byśmy się wykąpali, jak gdyby nie stało się nic ważnego"?

Poszli się przebrać i Caterina, już wyzwolona z ubrania, powiedziała:

- Miałam niespodziewaną wizję, Clem, posłuchaj - zmieniłam zdanie.

Teraz chcę, pragnę, abyśmy oboje żyli tak długo, jak to tylko możliwe.

Poświęcę śmierć dla życia. Wiesz, co zrobiłam z Philipem. To stało się tylko dlatego, że poczułam, jak młodość wymyka mi się z rąk. Działalam w rozpacz, bo czas był przeciwko mnie. Gdybyśmy mieli więcej czasu...

Cóż, myślę, że wtedy zmieniliby się cały nasz system wartości, prawda?

Kiwnął głową i powiedział z prostotą:

- Oczywiście, masz rację.

Oboje zaczęli się śmiać z radości i podniecenia. Wciąż śmiejąc się pobiegli ku pluszczącemu oceanowi i przez chwilę było tak, jak gdyby Yale wszystkie swe wytoplivości zrzucił razem z ubraniami.

Gdy przysiedli nad wodą, aby założyć płetwy, Yale powiedział:

- Czasami jednak udaje mi się zrozumieć ludzi. Theo przyjechał ~tu, aby zamknąć mi usta, ale ten tak zazwyczaj sprawny człowiek dzisiaj działał wyjątkowo nieporadnie. To chyba dlatego, że w gruncie rzeczy chciał zobaczyć ciebie, jak sama odgadłaś w pewnej chwili. Sądzę, że pragnął towarzyski. na tę nieskończoną przyszłość, jaka się przed nim otwarła.

Gdy ramię przy ramieniu wślizgnęli się w ciepłą wodę, Caterina powiedziała bez zdziwienia:

- Potrzebujemy wiele czasu razem, Clem, abyśmy się mogli nawzajem zrozumieć.

Zanurkowali razem pod roziskrzoną powierzchnię wody, ciągnąc za sobą smugi bąbelków powietrza i płosząc ryby. Yale zrobił zwrot i skierował się w stronę kanału, który prowadził ku otwartemu morzu. Caterina podążyła za nim z sercem przepełnionym radością, tak jak to było jej sądzone na następne trzydzieści stuleci.

...I zamieranie serca

Pod ciężarem promieni słonecznych niskie wzgórza zapadały się w ziemię. Trójce ludzi siedzących za kierownicą poduszki zdawało się, że na wyboistej drodze przed nimi tworzą się bez przerwy kałuże jakiegoś płynu; ni to nafty, ni to wody, które w cudowny sposób znikwały, gdy tylko się do nich zbliżyli. To złudzenie optyczne było jedynym świadectwem istnienia wilgoci w tej okolicy.

Pasażerowie trwali w milczeniu już od dłuższego czasu, gdy przedstawiciel pakistańskiego ministerstwa zdrowia, Firoz Ayub Khan, zwrócił się do swych gości i powiedział:

- W ciągu godziny będziemy w Kalkucie, módlmy się zatem i ufajmy, że klimatyzacja tej nędznej maszyny wytrzyma tak długo:

Siedząca przy nim kobieta nie dała poznać po sobie, że go słyszała, i dalej patrzyła wprost przed siebie przez słoneczne okulary; zadanie udzielenia stosownej odpowiedzi pozostawiła mężowi. Była to szczupła kobieta o ciemnej cerze, a w jej wąskiej twarzy uwagę zwracały wydatne usta. Jej czarne włosy, zebrane nad jednym ramieniem, były w nieładzie po czterogodzinnej podróży ze stacji wśród wzgórz.

Jej mąż, wysoki i szczupły mężczyzna, na oko tuż po czterdziestce, nosił staromodne okulary w stalowej oprawie. Jego spokojna twarz przybrała wyraz znużenia, jak gdyby wiele lat spędził na oglądaniu takich krajobrazów, jaki rozciągał się za oknem.

- To ładnie z pańskiej strony, doktorze Khan - powiedział - że zgodził się pan na tak powolny środek lokomocji. Rozumiem, że pan się niecierpliwi,

aby powrócić do pracy.

- Tak; tak, niecierpliwie się, to szczerą prawdą. Kalkuta mnic potrzebuje, i pana także, teraz gdy już powrócił pan do zdrowia. I pani Yale też, naturalnie.

Trudno było powiedzieć, czy w głosie Khana kryła się nuta sarkazmu:

- Warto jednak było zobaczyć kraj na własne oczy, ażeby się przekonać o rozmiarach problemów, z jakimi walczą Indie i Pakistan.

Clement Yale przekonał się już wcześniej, że jego wypowiedzi, w zamię-
rzeniu mające ułagodzić przedstawiciela ministerstwa, przynosiły wręcz prze-
ciwny rezultat.

- Panie Yale, o jakich problemach pan mówi? - odpowiedział Khan. -

Nie ma nigdzie żadnych problemów poza tym starym' szatańskim problemem
kondycji ludzkiej, i to wszystko.

- Miałem na myśli ewakuację Kalkuty i związane z tym trudności. Z pew-
nością zgodzi się pan ze mną, że stanowią one problem, „czyż nie?

Takie przepychanki słowne zdarzały się co chwila podczas ostatniej pół
godziny jazdy.

- No, tak, jeśli się ma do czynienia z miastem zamieszkanym przez jakieś
dwadzieścia pięć milionów ludzi, należy spodziewać się paru problemów,
nieprawdaż, panie Yale? Być może nawet szatańskich problemów, ale zawsze
wynikających z ludzkiej kondycji i z nią związanych. Dlatego właśnie orga-
nizatorzy, ludzie tacy jak my, są zawsze potrzebni.

Yale wskazał ręką za okno, gdzie połamane wozy walały się na poboczach.

- To pierwszy wypadek w czasach nowożytnych, aby miasto po prostu
tonęło w bagnie i musiało być opuszczone. Uważałbym to za problem
wyjątkowy.

Prawie nie słuchał długiej i skomplikowanej odpowiedzi Khana; mini-
sterialny urzędnik zawsze wplątywał się w sprzeczności, z których nie mogło
go wyratować nawet jego gadulstwo. Yale wolał wyglądać przez okno, za
którym przesuwały się obrazy świata zniszczeń i upału. Od pewnego czasu
droga obstawiona była porzuconymi samochodami i wozami. Właściwie spo-
tykali je przez całą drogę od szpitala wśród wciąż jeszcze zielonych wzgórz
wschodniego Madrasu, lecz tu, bliżej Kalkuty, ich szczątki leżały coraz
gęściej. Wśród resztek wielu wozów widniały kości, niemal nierozpoznawalne
pozostałości wołów pociągowych; pomniejsze szkielety zalegały pustkowie
po obu stronach drogi.

Kierowca poduszkowca bez przerwy coś mrucał do siebie. Martwi nie
stanowili dla nich przeszkody, ale trzeba było zważać na żywych i pół-
żywych. Z wielkiego mrowiska przed nimi sączyły się grupki istot ludzkich
i samotni wędrowcy, szły całe rodziny, mężczyźni, kobiety i dzieci, szczęśliwsi
z nich prowadząc zwierzęta juczne, ręczne wózki lub rowery, które dźwigały
ich samych lub ich mizerny dobytek. Parli przed siebie jak ślepcy, nie
wiedząc, dokąd idą, deptając tych, którzy upadli, nie unosząc nawet głów,
by usunąć się przed nadjeżdżającym poduszkowcem.

Od stuleci tacy sami ludzie ciągnęli do Kalkuty z zamierającego wnętrza
kraju. Dziewięć miesięcy temu, gdy zarząd miasta upadł, a indyjski Kongres
ogłosił, że miasto ma być opuszczone; strumień ten odwrócił bieg i ucieki-
nierzy raz jeszcze stali się uciekinierami. Przez ciemne szkła docierały do
Cateriny strzępy obrazów. Ludzkość gnana zawsze ten pęd bose stopy na
drodze odwieczna gliniana droga i brak prawdziwego celu tylko droga do
wody i lepszych pastwisk. Czy dostaniemy tam coś do picia zawsze kamień
pod stopą przechodnia.

- Przypuszczam - powiedziała - że nie możemy mieć nadziei na prysznic,
kiedy przyjedziemy na miejsce.

- Klimatyzacja nie działa tak, jak powinna, szanowna pani - odezwał
się Ayub Khan - i stąd wrażenie gorąca. Brak było właściwej obsługi
pojazdu. Bez wątplenia złożę odpowiednie zażalenie, gdy tylko przybędziemy.
Szarpnąwszy gwałtownie przy wymijaniu grupy uciekinierów poduszkowiec
okrążył wzgórze. Przed nimi otwarła się, błędna w oddali, nieskończona
równina delty Gangesu, spalająca się w swym własnym wyobrażeniu słońca.
Na uboczu od ształu wznosiły się milczące, posępne mury jakiegoś bu-

dynku koloru błota. Nie była to forteca ani świątynia - funkcjonalizm bez znaczenia, a teraz i bez funkcji, wskazywał na jakąś fabrykę. Za jej węglem znikło parę kóz. Ayub Khan rzucił komendę kierowcy i pojazd przechylił się na bok. Droga była chwilowo opustoszała. Maszyna skoczyła przez rów i podryfowała w stronę fabryki, wznosząc kłęby kurzu. Gdy silnik ucichł i pOduzkwiec osiadł na ziemi, Ayub Khari sięgnął za siebie po strzelbę, która leżała w pokrowcu na półce nad ich głowami.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Yale, unosząc się z siedzenia.

- Chwila rozrywki, panie Yale, która nie zajmie nam więcej niż parę minut. A może pan i pańska małżonka zechcieliby wsiąść wraz ze mną i trochę rozprostować kości? Proszę iść powoli, bo przecież by pan chory.

- Nie mam ochoty wysiadać, doktorze Khan. Jesteśmy pilnie potrzebni w Kalkucie. Po co się zatrzymujemy? Co to za miejsce?'

Pakistański lekarz uśmiechnął się, wziął pudełko nabojów i Odpowiedział, ładując jednocześnie strzelbę:

- Zapomniałem, że nie tylko był pan dopiero co chory, ale że jest pan również nieśmiertelny i dlatego winien pan szczególnie dbać o siebie. Zapewniam pana jednak, że rozpaczliwe kłopoty Kalkuty poczekają na nas przez te dziesięć minut. Proszę nie zapominać, że kondycja ludzka nie zna przerw.

Kondycja ludzka nie zna przerw, kije kamienne łuki i strzały, karabiny, broń jądrowa pociski kierowarie a stopa i twarz idzde w piach doskonałe miejsce dla śmierci. Poruszyła się i powiedziała:

- Kondycja ludzka nie zna przerw, doktorze Khan, niemniej jednak jesteśmy dzisiaj oczekiwani na Dalhousi Square.

Khan roześmiał się i otworzył drzwi.

- Oczekiwanie jest przyjemną częścią naszego życia, pani Yale.

Małżonkowie spojrzeli po sobie. Gestykułując z ożywieniem kierowca poszedł w ślady Ayuba Khana.

Najwyraźniej upaja się swoją władzą - powiedział Yale

To myśmy wyblągali podwiezienie.

Podwiezienie tak, ale nie moralizowanie. Cóż, to jeszcze jeden czynnik

- Czujesz się dobrze, Clem?

- Doskonale.

Aby tego dowieść, wyskoczył z pojazdu demonstrując energię. Wciąż jeszcze był zły na siebie, że złapał cholere w samym środku pracy, gdy trzeba było wyteżać wszystkie siły; umierająca metropolia dosłownie kipiała chorobami.

Gdy podał rękę Caterinie, oboje poczuli tchnienie upału równin. Żar jak w rozpalonym pudle nie pozwalał skoncentrować uwagi na niczym innym, a wilgotne powietrze dusiło. Przy każdym oddechu czuli, jak kłuje ich w ramionach, a ciała oblewają się potem.

Ayub Khan maszerował dziarsko z bronią gotową -do strzału; u jego boku papłał z podnieceniem kierowca, niosący zapasową amunicję. Słabo nakręcona sprężyna czasu obróciła dzień zaledwie nieco poza południe, wrak fabryki stał więc odarty z cienia. Mimo to oboje Anglicy instynktownie ruszyli w jego stronę śladem Pakistańczyków, czując w miarę zbliżania się, jak zastarzałe gorąco odbija się od ścian wielkiej skamieliny.

- Stara cementownia.

- Cmentarz.

- Z gruzuś powstał...

- Tak, to zaiste pole nagrobne...

Strzelba wypaliła z hukiem.

- Pudło! - zawołał Ayub Khan beztrasko. Podrapał się w czubek głowy wolną ręką, po czym ruszył bicgiem, a kierowca tuż za nim. Przecwałowali obok rozklekotanych szczątków metalowej przybudówki, która wspierała się o skrzydło fasady fabryki, echem kroków strącając jakąś zetlałą belkę, i znikli.

I termity też mają swoje mocarstwa i sposobności a jednak nie przekroczyły swoich możliwości i wroczą i niszczą w wielkiej skali czasowej a mimo to nie mają aspiracji. Człowiek nie zaznał spokoju od kiedy odkrył że żyje na planecie jego świat stał się skończony ale aspiracje urosły nimkończenie i cóż u diabła mogą robić ci idioci?

Yale włączył swój kieszonkowy wentylator i wstąpił na zapiaszczone schody, wiodące ku wejściu. Dwuskrzydłowa drewniana brama, niegdyś zaryglowana, od dawna stała już otworem. Zatrzymał się na progu i obejrzał na żonę, która stanęła niezdecydowanie w pełnym słońcu.

- Wchodzisz?

Machnęła niecierpliwie ręką i ruszyła za nim. Yale patrzył na nią - obserwował ten krok już niemal od czterech stuleci i wciąż nie był nim znużony. To był jej krok: niezależny, ale nie całkiem; samoświadomy, a zarazem dosłownie pełen samozapomnienia; niespieszny krok, ani młody, ani stary; krok kobiecy krok Cat; koci krok. Określał ją równie jednoznacznie, jak jej głos. Uświadomił sobie, że w zamęcie ostatnich dwóch miesięcy, w skazanej na śmierć Kalkucie i w szpitalu, często zapominał o niej, o niej żyjącej

Gdy zrównała się z nim, ujął ją za ramię.

- Odczucia?

- Szczegółne - przede wszystkim irytacja z powodu Khana. Wtórne - świadomość, że potrzebujemy naszych Khanów...

~ Tak, ale jak się teraz czujesz?

- Jak zawsze, nasze stulecia. Poważne ograniczenie obszaru nieprzewidywalności w stosunkach międzyludzkich wśród kaukasko-chrześcijańskiej społeczności. W konsekwencji nagromadzenie odpadów, spowodowane nieznanymi czynnikami zużycia.

- Takimi jak Khan?

- Oczywiście. Czujesz się podobnie zużyty, Clem?

- On ma własności ściernie, ditto cały subkontynent:

Jego palce rozluźniły chwyt. Na wiecznie młodym, brunatnym aiele nie pozostał nawet ślad przelotnego dotknięcia; zresztą bałtycki wirus szybko uzdrowiłby skutki najmoćniejszego uścisku, do jakiego byłby zdolny.

Weszli do zrujnowanego wnętrza fabryki, krocząc po stertach gruzu. W bocznym kantorku leżał trup z otwartymi ustami, wyschnięty i - bez zapachu. Coś wyslizgnęło się spod niego w panicznym strachu przed własną śmiercią.

Z przejścia w głębi dobiegały jakieś hałasy, pomieszane i zwięzłokrotnione przez echo.

- Z powrotem na naszą tratwę?

- Ta stara świątynia indyjskiej nieudolności - urwał, gdyż z głębi ciemności przed nimi wypadły dwie małe kozy, czarnopyskie i bezbrode, 0 oczach, zgodnie z ukochanym określeniem Ayuba Khana "szatańskich", i rzuciły się naprzód, klucząc i becząc.

Gdzieś daleko; pośród płataniny cieni, Ayub Khan stanął i uniósł strzelbę.

Yale nie zdążył poruszyć ręką, gdy padł strzał.

Świątynie i sprzeczne pragnienia budowania i niszczenia ascetyczni i tłusci kapłani mój kochający mąż jego delikatne wnętrze wciąż nietknięte przez tyle lat.

Wszystko naraz - koziołkujące kozy, Yale osuwający się na ziemię, huk wystrzału z niezwykłą siłą wybiegający daleko w przyszłość, Cat sparaliżowana i skądś nowy promień światła penetrujący wnętrze, jak gdyby zapadła się część dachu.

Ruszając do biegu Ayub Khan przywrócił Caterinie zdolność ruchu; obróciła się do Yale'a, który już stawał na nogi. Pakistańczyk biegł w ich kierunku, krzycząc, z nieodstępnym kierowcą za plecami.

- Drogi, szalony panie Yale! Mam szczerą nadzieję, że pana nie zastrześliem. Cóż by to było za straszne nieszczęście, gdyby pan zginął. Skąd miałem wiedzieć, że pan zakradał się potajemnie w to miejsce? Na moich przodków! Jakżeż mnie pan wystraszył. Szofer! Pani lao, jhaldi!

Miał się zaferowany wokół Yale'a, dopóki kierowca nie przyniósł

z ambulansu kubka wody. Yale napił się i powiedział:

- Dziękuję, czuję się doskanale, doktorze Khan, ponieważ na szczęście pan mnie nie trafił.

- Co pan wyrabia? - wykrzyknęła Cat.

Trzymaj ręce razem aby się nie trzęsły i uda gdyby go zabito morderstwo najstraszliwsze przestępstwo nawet dla krótko żyjących a ten idiota...

- Szanowna pani, z pewnością musiała pani widzieć, że strzelałem do tych dwóch kóz. Choć, jak święcie wierzę, jestem dobrym muzułmaninem, to jednak strzelałem do tych dwóch przeklętych szatańskich kóz. Taki postępek chyba nie wymaga żadnego usprawiedliwienia?

Wciaż jeszcze się trzęsła, choć starała się odzyskać równowagę. Rzeczywiście wysoki współczynnik zużycia.

- Kozy? Tutaj?'

- Pani Yale, kierowca i ja spostrześliśmy te kozy z drogi i pogoniliśmy za nimi. Ponieważ od tyłu fabryka leży w gruzach, uciekły przed nami do środka, a my za nimi. Nic nie wiedzieliśmy, żeście wśliznęli się tutaj po cichu od frontu. Tyle strachu! Na moich przodków!

Przerwał, aby zapalić meskaletkę, i wtedy zauważyła drzenie jego ręki; to sprawiło, że odzyskała nieco sympatii dla tego człowieka. Jej puls uspokoił się jeszcze bardziej, gdy zerknęła na Yale'a, ponieważ obecnie ich spojrzenia, równie tajemnicze jak ich rozmowy, stały się też równie dobrym środkiem porozumienia. Strzał z pewnością padł przez pomyłkę i Yale'a bardziej interesowała teraz komedia, odgrywana przez Khana, niż własne reakcje.

Tak wielu mogłoby uważać go za człowieka małej wartości nie dostrzegając że prawda polega na tym iż ma on zdolność dodawania do własnej głębi innych ludzi. Słucha skromnie gdy inni mówią do woli a potem celnie trafia w sedno sprawy. Ta moja wiara której on by nie pochwalał rzeczywiście mam obowiązek nie wierzyć bezgranicznie ja też muszę mieć udział w jego życiu.

- Wiecie państwo, ja doprawdy nienawidzę tych szatańskich kózek. To one są główną przyczyną zniszczeń w Indiach i Pakistanie. i ziemia nigdy nie odżyje, dopóki stąpają po niej kozy. W mojej rodzinnej prowincji widziałem, jak wdrapują się one na drzewa, by zjadać młode, delikatne pędy. Dlatego też te najnowsze prawa dotyczące eksterminacji kóz, wsparte premią dwóch noworupii za kopyto, są tak bardzo po mojej myśli, bardziej niż wy Europejczycy możecie pojąć...

- To oczywiście prawda, doktorze Khan - odpowiedział Yale. - W pełni podzielam pańską niechęć do destrukcyjnych możliwości kóz. Na nieszczęście zwierzęta są nieodłączną częścią naszej dość urozmaiconej historii. Świnie, dzięki którym pierwotne lasy, powalone kamiennymi toporami, już nie odrosły, oraz owce i kozy, stanowiące tradycyjne rezerwy ludzkiego pożywienia, pozostawiły równie niezatarte ślady w Europie, jak w Azji czy gdzie indziej. Ich dziełem, na równi z człowiekiem, są zerodowane wybrzeża i spustoszona ziemia wokół Morza Śródziemnego.

Czy to nacisk mych myśli sprawił że mówi teraz o dziejach ludzkości? Po tyluset latach dobrych i złych rozwój człowieka jawi mi się jako szukanie po omacku drogi wyzwolenia z sytuacji naiwnych błaznów tak zależnych od przypadku a mimo to przypadek niszczy jak pogoda czymkolwiek sobie okryć grzbiet my którzy żyjemy długo wiemy że serce zamiera bez zużycia a najsilniejszym czynnikiem zużycia jest przypadek.

Ayub Khan zdążył się już ożywić, uśmiechał się poprzez dym swej meskaletki, gestykulując jedną ręką.

- No, no, panie Yale, po co tyle gorczy - nikt nie przeczy, że Europejczycy też mieli pewne kłopoty. Przyznajmy jednak, jeżeli mamy być zupełnie szczerzy, że im również przypadło całe szczęście, nieprawda? Rozumiem przez to, aby poprzestać na jednym przykładzie, że bałtycki wirus trafił się właśnie w ich części świata; prawda, zupełnie tak samo, jak rewolucja przemysłowa wiele setek lat temu.

- Pańska część świata, doktorze, ma wystarczająco wiele problemów do pokonania i bez długowieczności.

- Otóż to właśnie! Co jest korzystne dla was Europejczyków, a i dla

Amerykanów, kryjących się od dawna w swym haniebnym izolacjonizmie, to okazuje się całkowicie niedobre dla nieszczęsnych narodów Azji - to właśnie chciałem powiedzieć. Dlatego też nasze rządy prawnie zakazały długowieczności. Jak dobrze wiecie, Pakistańczyk, który okaże się długo żyjącym, podlega karze głównej, tylko dlatego, że nie potrafimy rozwiązać naszych szatańskich problemów populacyjnych tak łatwo, jak w Europie. Tak więc skazani jesteśmy na średni~ życia równą czterdziestu siedmiu latom - wobec waszych tysiącleci. Czy jest to uczciwe, panie Yale? Przecież wszyscy jesteśmy ludźmi, gdziekolwiek żyjemy na tej planecie Ziemi, na równiku czy na biegunie. na moich przodków.

Yale wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam nazywać tego uczciwym, nikt by tak nie mógł powiedzieć. Po prostu tak już jest, że "uczciwość" nie jest obiektywnym prawem przyrody. Człowiek wynalazł pojęcie sprawiedliwości - przyznając, że to jeden z jego lepszych pomysłów - reszty świata jednak; niestety, to nic nie obchodzi.

- Panu łatwo być zadowolonym z siebie.

Wydaje się taki rozgniewany i urażony skórę ma niemal purpurową oczy żółte zupełnie jak u kozy niezbyt dobry przedstawiciel swojej r~sy. Antypatii nigdy nie można przewyciężyć ci co mają i co nie mają neandertalczyki i kromanińczycy bogaci i biedni nigdy nie możemy oddać tego co mamy. Powinniśmy wrócić i jęchać dalej. Chciałabym umyć głowę. Kozy przemierzały bez końca równinę z każdym ich krokiem wielkie zaczarowane ruiny za nimi rozpadały się na coś podobnego do słomy a gdy tak szły i mnożyły się długie żdźbła trawy wystrzelały z ciał ludzkich zalegających równinę a kozy koziołkowały i jadły.

- Samozadowolenie nie ma tu nic do rzeczy. To są fakty i...

- fakty! Fakty! Ach, to wasze szatańskie hrytyjskie przywiązanie do faktów. Przypuszczam, że nadmiar kóz też pan nazywa faktem? Ale jak to możliwe, niech pan się zastanowi, jak to może być, aby te kozy mogły żyć wiecznie, a ja nie, pomimo mojego znacznie wyżej rozwiniętego umysłu?'

- Obawiam się - powiedział Yale - że mogę panu odpowiedzieć tylko dalszymi faktami. Wiemy już teraz, czego nie wiedzieliśmy przez wiele lat, otóż wiemy, że bałtycki wirus jest pochodzenia pozaziemskiego i przybył na Ziemię prawdopodobnie w tektynie. Wirus ten, aby egzystować w żywym organizmie, wymaga pewnych rzadko spotykanych własności dynamicznych mitochondriów komórkowych, zwanych rubmisją - prasa popularna nazwała je Czerwonymi Drganiami - a warunki takie napotyka zaledwie w paru ziemskich gatunkach, wśród których są tak obce sobie stworzenia, jak ocetki, pingwiny Adeli, śledzie, ludzie oraz kozy i owce.

- Mamy dość kłopotów z tą szatańską suszą bez nieśmiertelnych kóz.

- Nieśmiertelność, jak pan nazywa długowieczność, nie stanowi zabezpieczenia przed głodem. Chociaż okres płodności kóz teoretycznie rozciągał się w nieskończoność, przecież wciąż zdychają one z braku żywności:

- Nie tak szybko jak ludzie.

- Oczywiście trzeba będzie zwiększyć czujność, gdy nadejdą deszcze.

- To tylko was, nieśmiertelnych, stać na takie długie czekanie:

- Jesteśmy długo żyjący, doktorze Khan.

- Na moich przodków, niech mi pan objaśni różnicę pomiędzy długo wiecznością a nieśmiertelnością w sposób zrozumiały dla krótko żyjącego Pakistańczyka.

- Nieśmiertelność może doprowadzić do zapomnienia o śmierci i w rezultacie o obowiązkach wobec życia; długowieczność nie.

- Jedźmy już do Kalkuty - powiedziała Cat. Poczuli, że nie może znieść obecności sępów, które rzędem obsiadły szczyt poplamionej ściany frontowej, i skierowała się ku wyjściu. Kierowca już wcześniej wymknął się z fabryki przez zaplecze.

Na długiej drodze pokorne postaci. Kiedy ta kobieta ostatnio się kąpała pomyśleć rodzić dzieci w takich warunkach. Takie jest życie tu wszędzie dlatego opuściliśmy nasze niepokalane wieże w chłodniejszych krajach ich wygody i ugody tu w zniszczonej części świata nikt nie ukrywa czym

życie jest naprawdę Clem ja i inni długo żyjący jesteście niczym więcej jak przemysłowymi zachodnimi urządzeniami do powstrzymywania rozkładu ciągle wierzy że pewnego dnia każdy z nas będzie musiał rozpaść się w proch nasza własna Kalkuta och na litość Boga szatańsko pewna.

Mężczyźni szli za nią. Zauważyła, że Ayub Khan położył rękę na ramieniu Yale'a i mówił do niego w bardziej przyjazny sposób.

Drzwi do kabiny poduszki pozostały otwarte, we wnętrzu musiało więc być już obrzydliwie gorąco.

Przez drogę przebiegły dwie zwisłouchy, wychudłe jak szkielety kozy, paradując tuż przed nosami dwóch uchodźców. Dla tych bosych mężczyzn z kijami, dźwigających swój dobytek-w workach przytroczonych do pleców, kozy przedstawiały nie tylko pożywienie, ale i nagrodę, jaką władze obiecywały za kopyta. Ocknąwszy się z transu zaczęli wymachiwać rękami i natarli na zwierzęta z kijami. Jedna z kóz otrzymała cios w kanciasty grzbiet i poderwała się do klusa. Ayub Khan uniósł strzelbę i wypalił do drugiej z niemal bezpośredniego dystansu, trafiając ją w żołądek.

Tylne nogi zwierzęcia załamały się. Brocząc krwią, koza starała się zwlec z drogi, aby dalej od Ayub Khana. Uchodźcy rzucili się na nią, przepychając się nawzajem jak dwa strachy na wróble. Ayub Khan podbiegł z gniewnym okrzykiem, odtrącił ich na bok kolbą, po czym wezwał kierowcę, który nadbiegł truchtem, wyciągając po drodze nóż. Przykućnawszy, dźgał raz za razem kozie nogi, dopóki nie oddzielił kopyt; zwierzę wydawało się już wtedy martwe.

Rząd zapłaci. Jak wszystkie indyjskie ustawy i ta premia faworyzowała bogatych i silnych kosztem biednych i słabych. Jak wszystko inne, chłodna sprawiedliwość stolicy topniała w upale.

Sępy ponad wejściem do fabryki przestępowały z nogi na nogę i kiwały głowami ze zrozumieniem.

Ayub Khan wyprostował się i skinieniem ręki zachęcił uchodźców, aby zabrali ścierwó kozy, oni jednak stali tępo i nie ruszali się z miejsca, prawdopodobnie obawiając się ataku. Klasnąwszy w dłonie, Ayub Khan pozbył się tego problemu i zawrócił, obchodząc dookoła kozie zwłoki.

- Zechce mi pani jeszcze darować trochę czasu - zwrócił się do Cateriny - żebym ustrzelił tę drugą kozę. To mój społeczny obowiązek. Siedzieć w cieniu ambulansu albo pójść patrzeć jak wypełnia swój społeczny obowiązek. Właściwie nie mamy wyboru nie myśli chyba że jesteście tacy wrażliwi nie trzeba nam jego grubiańskich demonstracji żei-y uświadomić sobie że nawet i nas obejmuje powszechne porozumienie ze śmiercią. Pamiętam jak razem z Clemem wróciliśmy z walki byków w Sewilli Philip który miał wtedy chyba nie więcej niż siedem lat zapytał Kto wygrał? i płakał gdy się z niego śmieliśmy. Powinniśmy być dzielnymi bykami toros bravos które żyją czymś bardziej godnym zaufania niż nadzieja.

- Chodźmy z nim - powiedział Yale - żeby ci tutaj mogli wziąć wreszcie swoje resztki.

- Słusznie, a my pouczestniczymy w koziej zertwie.

- Krwawy żart.

- Koza kaputt.

- Przegrzanie?

- Tylko opóźnienie. Dzięki. - Uśmiechy w ogólnym zaślepieniu.

- Opóźnienie skutkiem braku celu z możliwością spełnienia.

- Vice versa też, tak sędzę.

- Tak sędzę. Typowo wschodnie. Dlatego nigdy tu nie było rewolucji przemysłowej.

- Fabryka przykładem, Clem.

- Tak, właśnie. Źle zlokalizowana względem zaopatrzenia, zasilania, odbiorców i dystrybucji.

Sama Kalkuta jest podobnym przykładem na niezwykłą szatańską skalę. Położona nad Hooghli rzeką teraz niemal całkowicie zamuloną pomimo rozpaczliwych wysiłków. I te odwieczne podziały między Indiami i Pakistanem jak odcięte kończyny uchodźcy unicestwiający wszelkie próby zaprowadzenia porządku w końcu beznadziejne zanieczyszczenie wód podziemnych pod

miastem przez kanalizację ciągle wybuchy epidemii szerzących się wśród mezolitycznych ludzi kryjących się w swych jaskiniach przekazujących sobie choroby wirusy wykorzystują ludzi jako chodzące miasta.

- Ditto Kalkuta, mniej więcej.

- Pst, założona przez wschodnioindyjskiego kupca, rozdrażnisz Khana.

Idąc na tyły fabryki spoglądali na siebie z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Ocalała koza miała biały tułów, poznaczony brunatnymi plamkami; łeb i pysk ciemnobrązowe, niemal czarne, oczy żółte. Wałęsała się wśród niskich basha, które obecnie opuszczone, niegdyś zapewne służyły właścicielom fabryki jako baraki. Ich rozsypujące się, plecione ściany przydawały im pozoru przezroczystości - promienie słońca przesywały je na wylot. Za barakami, w mgławicowych rejonach, gdzie ziemia spotkała się z niebem, widniał jakiś nierozpoznawalny odprysk Kalkuty.

Koza wspierała się na tylne nogi i żarłocznie pociągnęła palmowe liście, pokrywające dach basha. Część dachu runęła, wznosząc obłoki kurzu, i w tym momencie Ayub, Khan strzelił. Wierzgając swymi cennymi kopytkami koza zniknęła pośród baraków.

Ayub Khan przeładował strzelbę.

- Zasadniczo jestem szatańsko dobrym strzelcem. Winę składam głównie na ten przeklęty upał, który zbija mnie z tropu. A czemu by pan, panie Yale, nie miał spróbować sam i przekonać się, czy uzyska pan dużo lepsze wyniki? - podał mu broń.

- Nie, dziękuję, doktorze. Wolałbym raczej, abyśmy już ruszali do Kalkuty.

- Kalkuta to po prostu tragedia - niech czeka, niech czeka. We mnie gra myśliwska krew. Najpierw muszę mieć trochę zabawy z tą straszną szatańską kozą.

- Zabawy? Chwilę temu był to społeczny obowiązek:

Ayub Khan spojrzał na niego.

- A właściwie co pan z pańską piękną żoną tu robicie? Czy to wszystko dla was nie jest zabawą równie dobrze jak społecznym obowiązkiem? Proszę siebie zapytać, czy naprawdę musieliście przyjeżdżać do naszej szatańskiej Azji?

Chyba ma rację czyż nie musimy wciąż okupywać się za przywilej życia i oglądania innych żywotów przez poświęcenie śmierci Clement musiał często sam sobie to powtarzać przez poświęcenie śmierci czyż nie wyrzekliśmy się również norm zwyczajnego życia w tym długo rozciągniętym życiu czy nie jest naszą pokutą zabawa w pomoc przy nadzorze ewakuacji Kalkuty naszym polowaniem na kozę. W jego oczach nigdy nie dostąpimy odkupienia tylko wobec samych siebie.

- Zamiast zajmować się drobnostkami u siebie, doktorze, woleliśmy zmierzyć się z waszymi otchłannymi problemami. Powinien pan nam wybaczyć. Niech pan idzie zabić tę swoją kozę, a potem pojedziemy do Kalkuty.

-To bardzo ciekawe, że kiedy zaczyna pan mówić do rzeczy, nie jestem w stanie pana zrozumieć.

Szofer idhar ao.

Machnąwszy ręką na kierocę przedstawiciel ministrestwa zdrowia zniknął za rozsypującymi się barakami.

Drogą wciąż szli uchodźcy gubiąc się w oparach czasu i przestrzeni. Indywidualność poszła w zapomnienie - pozostały tylko organizmy, poruszające się zgodnie z pewnymi prawami, wykonujące prastare ruchy. W Hooghli płynęła woda, znosząc osady od źródła do delty, drągi rdzewiały, kanały zatykały się na szarych ławicach piaskowych małe cętkowane kraby wymachiwały szczypcami.

Robak, który fruwa

Wędrowiec był zbyt pogrążony w rozmyślaniach, aby zauważyć, że zaczął padać śnieg. Szedł powoli, a jego sztywny i kunsztowny strój w licznych fałdach i ozdobach rozpinał się na jego ciele jak namiot czarnoksiężnika.

Droga, którą wędrował, schodziła w wielką dolinę, stopniowo wciskając się coraz głębiej między górskie ściany. Niejednokrotnie wydawało się, że z tych ogromnych zwalisk ziemskiej materii nie będzie można znaleźć wyjścia, że geologiczna zagadka jest nierozwiązywalna, chtoniczna aranżacja nieładu nie do przeniknięcia; lecz wtedy właśnie dolina i drumlin tworzyły między sobą nowy kierunek, zaskoczenie, ocalenie, a droga na nowo odzyskiwała zapal i nierozważnie zagłębiała się coraz bardziej w otaczające wzniesienia. Wędrowiec, którego imię dla żony brzmiało Tapmar, a dla reszty świata Argustal, ehłonał tę naturalną harmonię w całkowitej parestezji, duchem bowiem był bliski panującemu tu nastrojowi. Tak silna była to więź, że niespodziewany opad śniegu zwiększył jedynie siłę jego odezwać.

Choć godzina była południowa, niebo przybrało intensywnie szarobłękitną barwę zmierzchu. Siły sadowiły się ponownie na słońcu, przesłaniając jego światło. Na skutek tego Argustal nie był w stanie spostrzec, kiedy na powarstwionym i popękany bastionie skalnym po lewej stronie, którego niewidzialny szczyt wznosił się o dobrą milę ponad jego głowę, pojawiły się ślady sztucznego pochodzenia, co oznaczało, że wkroczył w dziedziny ludzkiego plemienia Or.

Za kolejnym zakrętem drogi ujrzał przed sobą podróżniczkę, zmierzającą w jego kierunku. Była to wielka sosna, zamarła w bezruchu do czasu, gdy ciepło ponownie wróci na świat i pobudzi do krążenia soki w jej drewnianych mięśniach na tyle, aby raz jeszcze umożliwić jej powolny ruch naprzód. Przechodząc mimo musnął ;przepraszająco, lecz bez słowa, skraj jej zielonej szaty.

Dość było tego spotkania, by jego świadomość wzniosła się ponad poziom transu. Jego umysł, który bujał daleko, starając się ogarnąć wspaniałości roztaczającego się wokół ziemskiego chaosu, cofnął się teraz, by znów skoncentrować się na szczegółach najbliższego otoczenia, i Argustal poznał, że dotarł do Or.

Tam, gdzie droga rozdzielała się, niezdolna dokonać wyboru pomiędzy dwoma równie nie zachęcającymi wąwozami, Argustal zobaczył grupę istot ludzkich, stojących posągowo w lewym odgałęzieniu. Podeszedł ku nim i stanął w milczeniu czekając, aż zauważą jego obecność. Za jego plecami mokry śnieg zasypywał ślady stóp.

Ludzie owi byli daleko zaawansowani w kierunku Nowej Formy, znacznie bardziej niż Argustal mógł oczekiwać na podstawie zebranych informacji. Stało ich tu pięćoro: ich wielkie ramieniste wyrostki tu i tam puszczały delikatne, brązowe listowie, a jeden z nich sięgał wysokości niemal sześciu metrów. Śnieg osiadał na ich konarach i włosach.

Argustal czekał długo, lecz gdy stwierdził, że ma się już dobrze pod wieczór, cierpliwość go opuściła. Przyłożył dłonie do ust i zakrzyknął gromko ku nim:

- Hejże tam, Drzewoludzie z Or, zbudźcie się z waszego drzewnego snu i pomówcie ze mną. Imię moje brzmi Argustal dla świata, a podążam do mego domu w dalekim Talembilu, gdzie morze róiowieje od wiosennego planktonu. Potrzebuję od was składnika do mojej niby-układanki, ożywcie się więc, błagam, i przemówcie.

Śnieg ustał już wtedy, a siekący deszcz usunął jego wszelki ślad. Znowu zaświeciło słońce, lecz jego zniekształcone oko nigdy nie zagłębiało na dno tego wąwozu. Jeden z ludzi wstrząsnął gałęzią, rozsiewając dookoła krople wody, i jął czynić przygotowania do przemowy. Był on stosunkowo mały, wzrostem nie przewyższał trzech metrów, a jego dawny, typowy dla naczelnych kształt, którego zaczął się pozbywać zapewne jakieś parę milionów lat temu, wciąż jeszcze był w nim widoczny. Wśród sęków i węzłów jego nagiego ciała dawały się odróżnić usta, które rozwarły się i przemówiły:

- Mówimy do ciebie, Argustalu dla świata. Jesteś pierwszym małpoczłowiekiem, jaki od bardzo dawnych czasów przywędrował tą drogą, toteż jesteś mile widziany, chociaż przerwałeś nam rozmyślania o nowych ideach.

- A czy wymyśliliście coś nowego? - zapytał Argustal ze zwykłą sobie zuchwałością.

- W rzeczy samej; lepiej jednak niech nasz starszy powie ci o tym,

jeśli sam uzna to za stosowne.

Argustal właściwie wcale nie był pewien, czy rzeczywiście chce usłyszeć, o czym traktuje nowa idea. Drzewoludzie znani byli bowiem ze skłonności do mętnego wyrażania swoich myśli, pomiędzy tymi pi- ioma powstało już jednak małe poruszenie, jakby lokalne wiatry zbudziły się w ich gałęziach, usadowił się więc na głazie i przygotował na oczekiwanie. Jego własny cel był tak ważny, że wszelkie przeszkody na drodze do jego spełnienia zdawały się nieistotne.

Zanim starszy przemówił, ogarnął go głód, powęszył więc tu i tam i pod pniakami złowił parę wolno czmychających larw, ze strumyka zaczerpnął nieco maleńkich rybek, a z rosnącego w pobliżu krzaka zerwał przygarść orzechów.

Nim starszy przemówił, zapadła noc. Osobnik ten, wysoki i wężlasty, miał struny, głosowe ściśnięte w głębi swego sękatego ciała, toteż aby mówić, musiał wyginać swe konary tak, ażeby najcięższe gałązki znalazły się tuż przed jego ustami, a wówczas wydychane przez nie powietrze tworzyło coś w rodzaju ulotnej, szepczącej mowy. W geście tym osobliwie przypominał dziewczynę, mówiącą z palcem ostrożnie przyciśniętym do warg.

- W istocie posiadamy nową ideę, o Argustalu-dla-świata, choć może się okazać, że wykracza ona poza t woją zdolność pojmowania lub naszą umiejętność jej wyrażania. Otóż stwierdziliśmy, że istnieje wymiar zwany czasem, i z tego faktu wyciągnęliśmy pewien wniosek.

Spróbujemy wytłumaczyć ci prosto pojęcie czasu jako wymiaru w następujący sposób. Jak wiemy, wszystkie rzeczy na Ziemi istnieją tak długo, że ich początki zostały zapomniane. To, co możemy pamiętać, zawiera się pomiędzy owymi zagubionymi-we-mgle rzeczami a chwilą obecną; jest to czas, jaki zamieszkuje, i przywykliśmy myśleć o nim jako o jedynym istniejącym czasie. Ale my, ludzie z Or, dowiedliśmy, że tak nie jest.

- W tych zaginionych otchłaniach czasu powinny być inne czasy przeszłe - rzekł Argustal - ale one dla nas nic nie znaczą, ponieważ nie możemy do nich sięgnąć tak, jak do naszej własnej przeszłości.

Jak gdyby tej uwagi w ogóle nie było, srebrzysty szept ciągnął dalej:

- Podobnie jak jedna góra wydaje się mała, gdy oglądamy ją ze szczytu innej góry, tak też i rzeczy w pamiętanej przez nas przeszłości wydają się małe z punktu widzenia terażniejszości. Załóżmy jednak, że cofnęliśmy się do tego punktu w przeszłości, aby popatrzeć na terażniejszość - nie moglibyśmy jej zobaczyć, choć przecież wiemy, że ona istnieje. Stąd właśnie dochodzimy do wniosku, że jest jeszcze wiele czasu w przyszłości, aczkolwiek jest on dla rras niedostępny.

Przez długą chwilę dane było nocy trwać w ciszy, aż wreszcie Argustal powiedział:

- No cóż, to rozumowanie nie wydaje mi się wcale takie niezwykle. Przecież wiemy, że słońce, jeśli tylko Siły pozwolą, zaświeci jutro znowu, prawda?.

- Ależ „jutro” to tylko sposób wyrażania czasu - odezwał się na to mały drzewoczwolwiek, który rozmawiał z nim jako pierwszy - my zaś odkryliśmy, że jutro istnieje również w sensie wymiaru. Jest realne już, tak samo jak dzień wczorajszy.

Na święte duchy! - pomyślał Argustal. - Czemu dałem się wplątać w tę filozofię? - na głos zaś powiedział:

- Opowiedzcie mi o wniosku, jaki z tego wyciągnęliście.

I znowu cisza, dopóki starszy nie przyciągnął ku sobie gałęzi i nie zaszeptał z płataniny patykowatych palców:

- Dowiedliśmy, że jutro nie jest niespodziewane. Jest ono nieodmienne jak dzień dzisiejszy czy wczorajszy, po prostu kolejny odcinek na drodze czasu, czyż jednak nie wiemy, że wszystko podlega zmianom? Ty też jesteś tego świadom, prawda?

- Oczywiście. Wy sami również się zmieniacie.

- Jest, jak powiadasz, choć nie przypominamy sobie już, jacy byliśmy przedtem, albowiem wspomnienie o tym jest zbyt odległe w czasie. A zatem: skoro czas jest wszędzie taki sam, oznacza to, że nie ma w nim zmiany, a więc nie może on również wywoływać zmian. A zatem: na świecie istnieje

inny nieznanym czynnik, który wymusza zmiany.

Tak to swym porwanym szeptem znów sprowadzili grzech na świat. Zapadnięcie ciemności wzbudziło w Argustalu potrzebę snu. Za pozwoleniem starszego drzewoluc. zi wdrapał się na jego gałęzie i spał tam smacznie do chwili, gdy światło dnia powróciło na skrawek nieba widoczny ponad górami i przesączyło się do ich kryjówek. Argustal zeskoczył na ziemię, zrzucił wierzchnią odzież i wykonał swe zwyczajne ćwiczenia, po czym zwrócił się ponownie do pięciu istot i opowiedział im o swojej niby-układance, prosząc ich o pewne kamienie.

Drzewoludzie dali mu zezwolenie, chociaż wątpliwe, czy zrozumieli sens jego pracy, Argustal zaczął więc przeczesywać teren w poszukiwaniu potrzebnego mu kamienia, a jego wszystkie zmysły wciskały się jak wiatr w każdą szparę i szczelinę.

Wąwóz w głębi zawalony był kamiennym rumowiskiem, strumień jednak przeciskał się do jego niższej części przez odstępki pomiędzy blokami. Wspinając się z trudem, Argustal wgramolił się na szczyt skalnego rumowiska i znalazł się w zimnym i wilgotnym przesmyku, za ledwie zagłębieniu pomiędzy dwiema wielkimi górskimi odnogami. Światło było tu przyćmione, a niebo niemal niewidoczne, silnie powarstwione skały przewieszały się bowiem wielkimi okapami nad jego głową; Argustal jednak rzadko spoglądał w górę. Podążał za biegiem strumienia aż do miejsca, gdzie wrzynał się on w głąb litej skały, znikając na zawsze przed ludzkich oczu.

Poświęcając się swemu zajęciu od wielu tysiącleci Argustal wyćwiczył się do tego stopnia, że niemal rozumiał mowę kamieni i teraz był bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że odnajdzie kamień pasujący do jego wielkiego dzieła.

Kamień był tutaj - leżał tuż nad wodą, wypolerowaną powierzchnią do góry, kiedy jednak Argustal wydłubał go spośród otoczek i żwiru i obrócił, zauważył, że od spodu miał on nierówności - jakby czarne zęby wyrastające z gładkich dziąseł. Zdumiał go to, lecz gdy przykucnął, aby rzecz zbadać dokładniej, zaczął sobie uświadamiać, że właśnie trochę chropowatości było niezbędne w planie jego niby-układanki. Natychmiast kolejny etap jego schematu stał się dla niego oczywisty i Argustal po raz pierwszy ujrzał w wyobraźni swe dzieło takim, jakie powinno być w całości. Ta wizja wzruszyła go i poruszyła. Siadł tam, gdzie stał, ściskając w szorstkich palcach gładko-chropowaty kamień, i z niewiadomych powodów zaczął rozmyślać o swojej żonie, Pamitar. Przeniknęło go ciepłe uczucie miłości, aż ściągnął brwi i uśmiechnął się do siebie.

Zanim podniósł się i zaczął odwrót z wąwozu, wiedział już wiele o nowym kamieniu. Miał nosa do tych spraw, potrafił więc cofnąć się do czasów, kiedy kamień był znacznie większy niż obecnie, kiedy zajmował dostojne miejsce na szczycie góry i kiedy został pochłonięty przez jej trzewia, kiedy został wyrzucony w powietrze i rozpuścił się przy upadku, a potem stał się częścią skały; kiedy skała ta rozpuściła się, a następnie przekształciła w łagodny deszcz pyłu wulkanicznego, sypiący się przez zatrutą atmosferę, by opaść na dno ciepłego morza, dawno temu, w nieznanym miejscu.

Z czułym poszanowaniem umieścił kamień w obszernej kieszeni i wygramolił się z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Nie pożegnał się z pięcioma z Or - stali razem milczący, ze szczepionymi gałęzmi-ramionami, śniąc o mrocznym grzechu zmiany.

Podążał teraz spieszenie ku domowi, wędrując wprawdzie przez kresy Starej Crotherii, a następnie przez Tamię, gdzie nie było nic prócz błota. Według legend Tamią była niegdyś żyzną krainą, gdzie cętkowane ryby roily się w strumieniach, płynących przez lasy, teraz jednak błoto pokonało wszystko. Z rzadka rozsiane wioski zbudowane były z wypalonego błota, dtogi z błota wysuszonego, niebo miało błotnistą barwę, a nieliczni ludzie o skórze koloru błota, którzy dla swoich zabloconych powodów zdecydowali się tu zamieszkać, rzadko kiedy mieli bodaj rogi wyrastające z ~ ramion i wyglądali, jak gdyby sami mieli rozpląnąć się w błoto. W całym tym kraju nie było nawet jednego przyzwoitego kamienia. Argustal napotkał tu drzewo, zwane Dawid-przy-rowie-który-wysycha, zdążające w tym samym

kierunku. Przygnębiony nieodmienną brunatnością Tamii wyblagał u niego podwiezienie i wdrapał się między jego konary. Drzewo było stare i sęcate, gałęzie miało równie poskręcane, jak i korzenie i wciąż zgrzytliwie, sylaba po sylabie, opowiadało o swych nielicznych marzeniach.

Śluchając go w nieustannym napięciu, aby zapamiętać każdą sylabę podczas długiego oczekiwania na następną, Argustal zauważył, że Dawid mówił mniej więcej w ten sam sposób co ludzie z Or, wtykając powiewne gałązki w otwór w pniu. O ile jednak drzewoludzie wydawali się zatracać umiejętność korzystania ze strun głosowych, o tyle człekodrzewo tworzyło sobie ich odpowiedniki z napiętych osłon swych włókien. Powstawał więc problem: kto był dla kogo inspiracją, a kto kogo kopiował, choć było również możliwe, że obie strony - tak bardzo zaabsorbowane wyłącznie sobą - stały się odbiciem tego samego wynaturzenia całkiem niezależnie.

- Ruch jest najwyższym pięknem - rzekł Dawid-przy-rowie-który-wysycha, a słońce przewędrowało wiele stopni po błotnistym nieboskłonie, zanim to wypowiedział. - Ruch jest we mnie. Nie ma ruchu w ziemi. W ziemi nie ma ruchu. Wszystko, co zawiera ziemia, jest bez ruchu. Ziemia spoczywa w spokoju, a spoczywać w ziemi, to nie być. Piękna nie ma w ziemi. Poza ziemią jest powietrze. Powietrze i ziemia tworzą wszystko, co jest, i ja też bym z ziemi i z powietrza. Byłem z ziemi i powietrza, ale będę z samego powietrza. Jeżeli jest ziemia, jest również inna ziemia. Liście ulatują w powietrze i moja tęsknota wraz z nimi, ale one są tylko częścią mnie, ponieważ jestem z drzewa. O, Argustalu, cóż ty wiesz o cierpieniach drzewa!

W istocie, Argustal nie wiedział nic, na długo bowiem przed końcem tej sęcatej przemowy, gdy wzeszedł księżyc i zapadła cicha, błotnista noc, zasnął skulony wśród pokrzywionych gałęzi Dawida z kamieniem ukrytym głęboko w kieszeni.

Dwukroć jeszcze zasypiał, dwukroć obserwował ich mozolną wędrówkę po nie przeddeptanych szlakach, dwukrotnie nawiązywał rozmowę z melancholijnym drzewem, a kiedy obudził się ponownie, całe niebo było pokryte puszystymi obłokami, pomiędzy którymi prześwitywał błękit, w oddali zaś widniały niskie wzgórza. Zeskoczył na ziemię - dookoła rosła trawa, a drogę zaścieniały kamyki. Argusta) aż zaskowyczał z rozkoszy i puścił się na przelaj przez błonia, wykrzykując podziękowania.

- ...wzrastanie... - powiedział Dawid-przy-rowie-który-wysycha.

Murawa skończyła się, ustępując miejsca piaskowi, poroślemu tu i ówdzie ostrą trawą, kaleczącą skraj jego szaty. Mimo to Argustal brnął przed siebie - przepelniała go radość, był to bowiem jego własny kraj, a kierunek wskazywały mu cienie przypadkowych kopców, kładące się na piasku. Pewnego razu przemknęła nad nim jedna z Sił i przez krótką chwilę grozy świat pogrążony był w nocy; zahuczał grzmot i lichej deszczu spadł setką kropel; w moment później była jednak już na kresach słonecznego władztwa i zapadła się gdzieś, diabli wiedzą gdzie.

Niewiele zwierząt, a jeszcze mniej ptaków dotrwało tych czasów. Szczególnie mało było ich w tych swojskich pustkowiach Zewnętrznego Talembilu, ajednak Argustal natknął się na siedzącego na kurhanie ptaka, który spoglądał spod swego czubka okiem przymglonym przez milion lat strachu. Na widok Arpustala ptak, wiedziony starym odruchem, zatrzepotał skrzydłem, Argustal wszakże zbyt szanował głód, ściskający mu wnętrzności, aby próbować go zaspokoić ścięgnami i piórami i wydawało się, że ptak rozumiał to dobrze.

Zbliżał się już ku domowi. Pamięć Pamitar rysowała przed nim jej obraz tak ostro, że mógł iść za nim jak za zapachem. Po drodze minął jednego ze swoich ziomeków, starego małpiszona w czerwonej masce zwisającej niemal do samej ziemi; zaledwie skinęli sobie głowami na znak, że się poznali.

Wkrótce na pustym horyzoncie dostrzegł bloki zapowiadające Gornilo, pierwsze miasto Talembilu.

Owrzodziało słońce wędrowało poprzez hiebo, a Argustal ze stoickim spokojem pokonywał kolejne wydmy, aż wreszcie wkroczył w cień białych bloków Gornilo.

Nikt już dziś nie pamiętał - utratę pamięci wielu uważało za przywilej - jakie czynniki zdeterminowały pewne rysy architektur Gornilo. Było to miasto małopoludzi i jego pierwsi mieszkańcy, zapewne w celu wzniesienia pomnika rzeczom jeszcze bardziej odległym i straszonym, uczynili niewolników z siebie i innych nie istniejących już stworzeń, budując owe wielkie sześciany, które obecnie wykazywały już oznaki zniszczenia, jak gdyby zmęczone wreszcie codziennym obracaniem cienia wokół podstawy. Mieszkający tu małopoludzie byli tymi samymi małopoludźmi, którzy mieszkali tu zawsze; jak zwykle, wysiadali oni niezmordowanie pod potężnymi pomnikowymi blokami, pokrzykując teraz do mijającego ich Argustala od niechcienia, tak jak się puszcza kaezki po powierzchni jeziora, żaden z nich jednak już nie pamiętał, czy i jak przeciągnął te bloki przez pustynię. Niewykluczone, że ta zdolność zapominania była niezbędnym warunkiem zyskania trwałości granitowego tworzywa bloków.

Za blokami leżało miasto. Niektóre z drzew były tu tylko gośćmi, skłonny do stania się tym, kim był Dawid-przy-rowie-który-wysycha, większość z nich jednak rosła na starą modłę, zadowolona z ziemi i obojętna na ruch. Ich powężlone i pokrzyżowane we wszystkie strony konary i gałęzie tworzyły wraz z garbatymi pniami zmyślne i wiecznie zmienne siedziby nadrzecznych mieszkańców Gornilo.

Argustal dotarł wreszcie do swego domu, który znajdował się po drugiej stronie miasta.

Dom jego nazywał się Cormok. Argustal obracał go w pierw, poklepał i polizał, a dopiero potem wbiegł lekko po pniu do mieszkania. Pamitar nie było w domu, był jednak w tak pogodnym nastroju, że nie zaskoczyło go to, a nawet nie poczuł się specjalnie rozczarowany. Obszedł powoli pokój dookoła, czepiając się od czasu do czasu sufitu, by mieć lepszy widok, liżąc i węsząc po drodze i tropiąc powidoki obecności swej żony. Na koniec wybuchnął śmiechem i padł pośrodku podłogi.

- Uspokój się, stary - powiedział.

Nie ruszając się z miejsca pogrzebał w kieszeniach i wydobyl z nich pięć kamieni, zdobytych w trakcie wędrówek, po czym umieścił je na uboczu od reszty swego dobytku. Rozebrał się, wciąż siedząc i ciesząc się własną nieporadnością, po czym wślizgnął się do kąpieli piaskowej.

Gdy już tam leżał, zerwał się potężny zawodzący wicher i w jednej chwili pokój pogrążył się w mętnej szarości. Na zewnątrz wzniosła się modlitwa, modlitwa kierowana przez ludzi ku obojętnym Siłom, aby nie niszczyły słońca. Jego dolna warga ułożyła się w grymasie zarazem zadowolenia i pogardy; nie pamiętał już modlitw Talembilu. To było miasto religijne. Gromadziło się tu wielu Niesklasyfikowanych z jałowych pustaci - ludzi lub zwierząt, których wyobraźnia odwiodła od tego, czym byli niegdyś, i prze-, kształciła w rokokowe formy, znacznie dokładniej określające ich wrodzone przymioty, tak że przypominali istoty zapomniane lub wymarłe albo też takie, jakich świat nigdy dotąd nie widział, wszyscy zaś deklarowali, że nie mają nic wspólnego z resztą świata oprócz jednego pragnienia, aby powstrzymać ropiejące źródło światła słonecznego od dalszego rozkładu.

Zanurzony w rozkosznych ziarenkach kąpieli, z której wylaniała się tylko jego głowa, ręka i kolano, Argustal otwarł swą percepcję szeroko na wszystko, co mogło nadejść, ostatecznie jednak przyszło rriu do głowy tylko to, o czym myślał zawsze - wbrew temu bowiem, co twierdzili drzewoludzie z Or, arsenały mózgowia dawno temu zostały już opróżnione ze wszelkiej nowej amunicji - a mianowicie, że właśnie w takiej kąpieli, podczas takiego nieobliczalnego wiatru główne formy życia na ziemi, czyli ludzie i drzewa, prawdopodobnie po raz pierwszy odczuły pęd ku zmianom. Ale co, do samej zmiany... czy to możliwe, aby istniała ta znacznie starsza, hulająca po całym świecie rzecz, o której wszyscy zapomnieli?

Nie wiedzieć z jakiego powodu pytanie to wzbudziło w nim złe samopoczucie. Niejasno przeczuwał, że istnieje inna strona życia oprócz zadowolenia i szczęścia. Każda istota odczuwa zadowolenie i szczęście, czy jednak wartości te tworzą całość, czy też, być może, są one tylko jedną stroną medalu? Argustal warknął. Dość raz zacząć takie bełkotliwe rozmyślania i można

skończyć jako człowiek z rogami na ramionach. Strzepnąwszy piasek wy dostał się z kąpieli. Poruszając się o wiele zwawiej, niż to czynił od niepamiętnych czasów, zsunął się z domu na ziemię, nie zwracając sobie głowy ubraniem. Wiedział, gdzie może znaleźć Pamitar. Powinna być poza miastem, strzegąc niby-układanki przed obszarpanymi, gniewnymi nędzaczami Talembilu.

*

Wiał zimny wiatr, niosący od czasu do czasu płatki mokrego śniegu, które sprawiały, że Argustal zaczął mrugać i zastanawiać się, czy jest sens iść dalej. Maszerując poprzez zielone i szeleszczące centrum Gornilo i klucząc pomiędzy wyjcami, którzy kłęczeli beładnie dookoła i zanosili prostackie modlitwy, Argustal podniósł wzrok ku słońcu. Jego tarcza, widoczna tylko fragmentarycznie spoza drzew i chmur, cała w plamach i krostach, chwilami bywała przesłonięta całkowicie, po czym rozbłyskiwała na nowo. Słońce iskrzyło jak gorejące ślepe oko, a wiatr, który wiał jak gdyby wprost od niego, parzył skórę i mroził krew.

Argustal dotarł w końcu do swego własnego skrawka ziemi, leżącego z dala od zielonego miasta wśród ruchliwej pustyni; tu też napotkał swoją żonę, Pamitar, która dla reszty świata zwała się Miram. Siedziała w kucki, obrócona tyłem do wiatru, a niesione wichrem ostre ziarna piasku ciążyły jej kosmate kostki. O parę kroków dalej jeden z nędzarzy panoszył się wśród kamieni Argustala.

Pamitar podniosła się powoli i zsunęła szal z głowy.

- Taprhar! - zawołała.

Otoczył ją ramionami, kryjąc twarz na jej barku. Świergotali i pogdakiwali do siebie, tak tym pochłonięci, że nie zauważyli, kiedy wiatr ucichł i pustynia zastygła w spokoju, a światło słoneczne odzyskało swój blask.

Zwolniła uścisk, gdy wyczuła w nim napięcie. Na skryty znak odskoczył od niej, przelatując niemal nad jej ramieniem, i rzucił się z furią naprzód, zwalając na piach przyczajonego nędzarza.

Stwór rozplaszczyl się, dwuboczny i bezkształtny: z ramion wyrastały mu dodatkowe ręce, głowę miał wilczą, tylne nogi krzywe jak u goryla; odziany w setki gałganów, mimo to nie był odpychający. Odturtał się ze śmiechem i zakrzyczał wysokim, gdaczącym głosem:

- Trzech mężczyzn leżało pod krzakiem bzu i żaden nie usłyszał, jak pierwszy powiedział: "Zanim nadejdzie płon, uderzy grom", a drugi śpi nocą z przyglupami, powiedz mi, chłopie, jak się nazywa trzeci?

- Wynocha stąd, ty opętany dziadu!

Odbiegając, dziadyga wykrzyczał przez śmiech swą odpowiedź płacząc słowa, gdy w ucieczce gramolił się na oślepe przez wydmy:

-Ależ to Tapmar, bo to on mówi donikąd!

Argustal i Pamitar obrócili się znów ku sobie. Pomimo osfrego słońca badawczo wpatrywali się n.wzajem w swe twarze, oboje bowiem zapomnieli, kiedy ostatni raz byli razem, tak długi był ów czas i tak słaba ich pamięć.

Wspomnienia jednak pozostały i powróciły, gdy je odszukał. Płaskość jej nosa, łagodna linia nozdrzy, krągłość jej oczu i ich brunatność, zarys jej warg - wszystko to, ponieważ ukochane, pozostało w pamięci przyjmując tym samym walor wyższy od piękna.

Mówili do siebie cicho, cały czas patrząc, i z wolna zaczęło w nim narastać coś jakby odprysk tego, co przeczuwał po ciemnej stronie tarczy, gdyż fizjonomia jego ukochanej nie była już taka, jak niegdyś. Wokół jej oczu, a szczególnie pod nimi, zaległy cienie, a cienkie bruzdy spływały z kącików jej ust; i czyżby zarys jej sylwetki równie był bardziej przygięty ku dołowi niżli uprzednio?

Gdy wewnętrzny niepokój stał się już zbyt wielki, poczuł się zmuszony opowiedzieć Pamitar o tych sprawach, brak mu jednak było stosownych słów, aby je wyrazić, a ona wydawała się go nie rozumieć, dopóki wreszcie nie

pojęła, sama o tym nie wiedząc, gdyż zaczęła przejawiać podniecenie, Argustal więc wkrótce dał spokój pytaniom i zajął się niby-układanką, by ukryć swe zakłopotanie.

Układanka zajmowała dobrą milę piaszczystego terenu, wznosząc się nad nim na parę stóp. Choć z każdej ze swoich długich wypraw Argustal przynosił nie więcej niż pięć kamieni, było ich tu zgromadzonych wieleset tysięcy, a może i milionów, wszystkie zaś starannie rozmieszczone tak, że w ich porządku nie mogłaby się zorientować żadna żywa istota, nawet sam Argustal, obojętne, z jakiego by miejsca patrzyła: Wiele z tych kamieni wisiało w powietrzu na różnych wysokościach, wsparte na kołkach i żerdziach, większość jednak leżała na ziemi, gdzie Pamitar strzegła ich cały czas przed wtargnięciem kurzu i dzikich ludzi; spośród tych leżących kamieni część znajdowała się w odosobnieniu, pozostałe zaś tworzyły gęste skupiska - a wszyscy~ko zgodnie z planem, który był jasny tylko dla Argustala, choć i on obawiał się, że odtworzenie go z pamięci może potrwać do następnego zachodu słońca. Wbrew tym obawom jednak plan jui zaczynał rysować się w jego umyśle; Argustal przypomniał sobie ze zdumieniem krętą i zawilą jak fuga trasę swej wędrówki do wąwozu drzewoludzi z Or i pojął, że wciąż tkwi w nim zdolność umieszczenia w ogólnym schemacie nowych kamieni, które przyniósł ze sobą, odpowiednio do owej naturalnej harmonii - zdolność ukończenia niby-układanki.

A czyżby bruzdy na twarzy jego żony też miały swoje miejsce w owym układzie?

Czyżby miało jakiś sens to, co krzyczał ten nędzny dziadyga, że on, Argustal, mówi donikąd? I... i... to straszne "i" - miałażby nicość mu odpowiedzieć? Zgięty wpół chwycił żonę za ramię i pobiegł wraz z nią do domu, wysoko na bezlistnym drzewie.

- Mój Tapmarze - odezwała się do niego, gdy wieczorem spożywali danie z owoców - dobrze, żeś powrócił do Gornilo, gdyż miasto porosło snami, jak wyschnięte łożysko rzeki turzycą, i to napawa mnie lękiem.

Strwożyło go to w głębi serca, albowiem styl jej wypowiedzi zdawał mu się harmonizować z nowo zaobserwowanymi bruzdami na jej twarzy, kiedy więc zadał jej pytanie, cóż to są za sny, głos jego zabrzmiał łagodniej, niżby sobie tego życzył.

- Są to sny - odparła, patrząc na niego dziwnie - gęste jak futro, tak gęste, że dławia mnie w gardle, gdy chcę ci o nich opowiedzieć. Zeszłej nocy śniło mi się, że wędrowałam przez krainę, która wyglądała, jakby była pokryta wszędzie dookoła futrem, aż po odległy horyzont, futrem, które rozgałęziało się i puszczało pędy, futrem w ponurych odcieniach czerwonego brązu, burości i czerni, ale i połyskliwego, prawie czarnego granatu. Próbowałam przekształcić to dziwne tworzywo w bardziej znajome kształty krzaków i starych, pokrzywionych drzew, ono jednak pozostało takim, jakie było, a ja stałam się... we śnie... skądś wiedziałam, że stałam się dzieckiem...

Patrząc gdzieś w bok ponad stłoczoną roślinnością miasta Argustal powiedział:

- Być może te sny rodzą się nie w Gornio, ale w tobie samej, Pamitar.

Co to jest dziecko?

- O ile wiem, nie ma czegoś takiego w rzeczywistości, ale to dziecko, którym byłam we śnie, było kimś małym i świeżym, a w działaniu zarazem zwinnym i nieporadnym. To była istota odrębna ode mnie, poruszała się i myślała zupełnie inaczej niż ja, a jednak była mi całkowicie bliska. Byłam nią; Tapmarze, byłam tym dzieckiem, a kiedy się obudziłam, nabrałam przekonania, że kiedyś naprawdę byłam czymś takim jak dziecko. Zabębnił palcami po kolanach, potrząsnął głową i zamrugał w nagłym gniewie.

- To twoja paskudna tajemnica, Pamitar. Wiedziałem, że coś ukrywasz, od chwili kiedy cię ujrzałem. Wyczytałem to z twojej twarzy, bo zmieniła się w zły sposób. Wiesz przecież, że przez wszystkie miliony lat swego życia nie byłaś nigdy nikim innym, jak tylko Pamitar, a zatem dziecko musi być złym duchem, który cię opętał. Może teraz zamienisz się w dziecko.

Wrzasnęła i cisnęła w niego zielonym owocem, który właśnie gryzła, ale on zręcznie go schwytał, zanim został trafiony.

Przed udaniem się na spoczynek zawarli tymczasowy pokój. Tej nocy Argustalowi śniło się; że on również jest mały, delikatny i z trudem posługuje się mową; jego zamiary były proste i pewne jak lot strzały i nie znał wahań na swej drodze.

Obudził się, drżący i zlany potem, wiedział bowiem, że jak we śnie, tak i w rzeczywistości był niegdyś dzieckiem, i drażyło go to bardziej niż choroba. A kiedy jego udęczony wzrok skierował się na zewnątrz; ujrzał, że noc była jak mieniący się jedwab, gdyż ciemnoniebieską kopułę niebios pocętkowały plamy światła i cienia, co oznaczało, że Siły igrają ze słońcem w trakcie jego wędrówki poprzez Ziemię; i Argustal pomyślał o własnych podróżach po szerokiej Ziemi i o wizycie w Or, kiedy to drzewołudzie szepotali o nieznanym czynniku, który wymusza zmiany.

- Przygotowali mnie do tego snu - wymamrotał. Teraz wiedział już, że zmiana kryła się u samych jego korzeni; kiedyś był tą wątłą, małą obcą istotą zwaną dzieckiem, podobnie jak jego żona; a być może również i inni. Myślał znów o tej małej zjawie z chudymi nóżkami i świergotliwym głosem, aż wstręt do niej zmroził mu serce; ~aczał wydawać przeciągłe jęki, których ukojenie gorliwej w pocieszaniu Pamitar zabrało większą część nocy.

Wychodząc zostawił ją smutną i bladą. Wziął ze sobą kamienie, które uzbierał w podróży – i ten dziwnego kształtu z wąwozu w Or, i pozostałe, które zdobył weźniej. Tuląc je mocno do siebie, Argustal skierował się przez miasto ku swej przestrzennej konstrukcji. To, co od tak dawna było głównym przedmiotem jego troski, dziś wreszcie miało osiągnąć kształt ostateczny; ponieważ jednak nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego to zadanie tak go zaprzęta, jego serce biło wolno i obojętnie. Coś wdarło się w jego duszę i zniweczyło radość.

Pośród alei niby-układanki spoczywał stary nędzarz; wsparłszy kudłatą głowę na bryle szarego wapienia, Argustal był jednak w zbyt podłym nastroju, aby go przepędzić:

- Kiedy twój układ kamieni ułoży słowa, słowa z kamieni zabrzmią - zawołał stwór.

- Porachuję ci kości, dziadygo! - warknął Argustal, w duszy jednak zadumał się nad tym, co ten nikkemnik powiedział, a i nad tym, co rzekł poprzedniego dnia o tym mówieniu donikąd; Argustal bowiem nikomu, nawet Pamitar, nie opowiadał o przeznaczeniu swej konstrukcji. Bo też i w istocie jemu samemu stało się ono jasne dopiero dwie podróże temu - a może trzy albo cztery? Schemat rozpoczął się po prostu jako schemat (czyż nie tak?), a dopiero znacznie później obsesja przerodziła się w cel. Trzeba było czasu, aby prawidłowo umieścić nowe kamienie. Gdziekolwiek Argustal ruszył się w obrębie swego wielkiego układu, tam dziad włókł się za nim, to na dwóch, to znów na czterech nogach. Inne typki z miasta ściągnęły również, aby się pogapić, zaden z nich jednak nie odważył się przekroczyć granic struktury, pozostawali więc odlegli, jak zdźbła porastające krawędzie świadomości Argustala.

Jedne z kamieni musiały się stykać, inne zaś powinny właśnie leżeć oddzielnie. Szedł, schylał się i ruszał znowu, podporządkowując się wielkiemu schematowi, który, jak to już wiedział, krył w sobie uniwersalne prawo. Praca wprawiła go w estetyczny trans podobny temu, jakiego doświadczył przemierzając labiryntową drogę do Or, lecz o jeszcze większym riatężeniu. Czar prysł dopiero wtedy, gdy stary nędzarz, stojąc o parę kroków od niego, odezwał się głosem równym i niepodobnym do swego zwykłego monotonnego zaśpiewu.

- Pamiętaj cię, jak kładłeś tu najpierwszy z tych kamieni, gdy byłeś dzieckiem.

Argustal wyprostował się.

Poczuł zimny dreszcz, choć zgorzkniałe słońce świeciło jasno. Głos uwiązał mu w gardle, a gdy starał się przemóc, wzrok jego napatkał oczy żebraka, ropiejące pod czarnym czołem.

- A ty wiesz, że kiedyś byłem taką zjawą, dzieckiem? - zapytał.
- Wszyscy jesteśmy zjawami; wszyscy byliśmy dzieckami. Ponieważ w naszych ciałach płyną soki, kiedyś byliśmy młodzi.
- Dziadu... ty mówisz o jakimś innym świecie, nie naszym.
- Święta prawda, święta prawda; tylko że tamten świat był kiedyś naszym światem.

- Och nie, tylko nie to.

- Pogadaj o tym ze swoją machiną. Jej język jest z kamienia i nie może kłamać, jak mój.

Jrgustal podniósł kamień i cisnął go.

- Tyle zrobię! Precz ode mnie, i to już!

Kamień trafił starucha w zębra, aż ten jęknął boleśnie i zatoczył się do tyłu, potknął się, poderwał się znowu i rzucił się do ucieczki. Kończyny zawirowały wokół niego, odbierając mu wszelkie podobieństwo do rodzaju ludzkiego. Przepchnął się przez szereg gapiów i przepadł.

Argustal przykucnął na chwilę tam, gdzie stał; starając się na oślep połapać w sprawach; które wymykały mu się, gdy tylko przybierały wyraźniejsze kształty, a zyskiwały na wadze, gdy odsuwał je od siebie. Burza, jaka się przez niego przewaliła, pozostawiła ślady zniszczeń, podobne skazom na tarczy słońca. Nawet gdy uznał, że nie pozostało mu nic innego, jak dokończyć niby-układanki, wciąż był wstrząśnięty tym, czego się dowiedział. Choć nie rozumiał dlaczego, pojmował, że ta nowa wiedza doprowadzi do zniszczenia starego świata.

Wszystko znajdowało się teraz na swoim miejscu, poza dziwnie ukształtowanym kamieniem z Or, który Argustal dźwigał pewnie na ramieniu, wtulony pomiędzy ucho i dłoń. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak wielkiego dokonał dzieła, była to jednak czysto zawodowa refleksja bez odrobiny sentymentu. Argustal był teraz nie więcej jdk paciorkiem, toczącym się przez ogromny labirynt wokół niego.

Każdy z kamieni zawierał w sobie swój zapis czasowy oraz współrzędne przestrzenne. Każdy z osobna reprezentował inne siły, odmienne epoki, rozmaite temperatury, składniki chemiczne, czynniki kształtujące i parametry fizyczne, wszystkie razem zaś tworzyły anagram Ziemi, wyrażający jej złożoność i jedność zarazem. Ostatni kamień nie był niczym więcej, jak punktem ogniskującym dynamikę całej struktury; gdy Argustal powoli kroczył poprzez wibrujące aleje, napięcie wzrosło do szczytu.

Argustal uchwycił to słuchem i zatrzymał się, po czym poczłapał parę kroków to w tę, to w tamtą stronę. W ten sposób przekonał się, że istniał nie jeden, ale miliardy punktów ogniskowych, zależnych od położenia i ukierunkowania kamienia kluczowego.

Bardzo cicho wyszeptał:

- Oby me obawy dały się potwierdzić... - i wtem wszędzie wokół zbudził się cichy głos z kamienia, zająkły w pierw, nim nabrał wyrazistości, jak gdyby z dawna znał słowa, lecz nigdy nie miał okazji ich wypróbować.

- Tyś... - cisza, a potem potop słów.

- Tyś tyś jest, o tyś jest robak, tyś jest chora, różo niewidzialny różo.

Pośród burzy wycia tyś jest pośród burzy. Robak tyś jest wkradł się, o różo, tyś jest chora i wkradł się fruwa w nocy tej siedlisko tej twej płomiennej życie stoczy. O - o różo, tyś jest chora! Niewidzialny robak, który fruwa nocą pofiród burzy wycia, wkradł się - wkradł się w siedlisko twej płomiennej rozkoszy... i jego mroczna mroczna miłość, jego mroczna mroczna miłość twoje życie stoczy.

Argustal już uciekał stąd w popłochu.

W ramionach Pamitar nie mógł już teraz znaleźć pociechy. Choć tulił się do niej, zamknięty w klatce z gałęzi, drażył go robak, który fruwa. Odsunął się wreszcie od niej i powiedział:

- Czy ktoś kiedykolwiek słyszał tak straszny głos? Nie mogę rozmawiać z wszechświatem.

- Nie wiesz, czy to był wszechświat - starała się go rozdrażnić. - Czemu Hszechświat miałby przemawiać do małego Tapmarka?

- Ten dziad powiedział, że mówię donikąd, a nigdzie to wszechświat -

tam gdzie słońce chowa się w nocy, gdzie kryją się nasze wspomnienia, gdzie nasze myśli wyparowują. nie mogę z tym rozmawiać. Muszę znaleźć tego dziadygę i z nim pogadać.
- Już nie rozmawiaj , nie zadawaj więcej pytań . Wszystko , czego się dowiesz , przynosi nieszczęście. Słuchaj, wkrótce nie będziesz miał szacunkudła mnie , twojej biednej żony. Nie będziesz chciał na mnie patrzeć .

-Choćbym miał patrzeć w nicość przez wszystkie przyszłe wieki i tak muszę się dowiedzieć , co nas dręczy.

W centrum Gornilo , gdzie żyło wielu Niesklasyfikowanych , bezlistny zagajnik dźwigał się z kryjówek jak skamieniały worek , a jego dziwne konary tworzyły grotty i kryjówki, an których i w których mogli przycupnąć , bezdomni poza tym, starzy pielgrzymi. Tu właśnie z nadejściem nocy Argustal odszukał nędzarza.

Starzec leżał w bolesnym napięciu obok pękniętego garnka, ciasno otulając ciało w tkane odzienie. Obrócił się w swej komórce, próbując ucieczki, lecz Argustal chwycił go za gardło i przytrzymał mocno.

- Chcę twojej wiedzy, dziadu.

- Idź po nią do pobożnych - wiedzą więcej niż ja.

To wstrzymało Argustala na chwilę, ale swój chwyt rozluźnił jedynie odrobinę.

- Ponieważ złapałem ciebie, ty musisz mi powiedzieć. Wiem, że wiedza to męka , ale męką jest też niewiedza, jeśli tylko ją sobie uświadomimy. Powiedz mi więcej o dzieckach i o tym, co one robiły. Dziadyga zwijał się w uścisku Argustala jak w gorączce, wreszcie jednak zaczął mówić.

- To co wiem, to mało, tak mało jak źdźbło trawy na całym polu i jak jak źdźbła trawy są te odległe minione czasy. A przez te wszystkie czasy ta sama gromada istot co teraz na Ziemi. Wtedy, jak i teraz, żadnej nowej istoty, ale kiedyś ... jeszcze przed tymi minionymi czasy... ale ty nie możesz pojąć ...

- Rozumiem całkiem dobrze.

- Tyś uczony ! Przed owymi minionymi czasy był inny czas, a wtedy... wtedy były dzieci i inne rzeczy, których już nie ma, wiele zwierząt i ptaków, i mniejszych istot z delikatnymi skrzydełkami, które nie mogły ich unosić zbyt długo...

- I co się stało? Czemu zaszła zmiana, Dziadygo ?

- Ludzie... uczeni... dorozumieli się soków cielesnych i zamienili każdą osobę i zwierzę, i drzewo w wiecznożywe. Trwamy od tego czasu już długo, długo - tak długo, że zapomnieliśmy, co wtedy zrobiono.

- A dlaczego teraz nie ma dzieciek? - spytał go Argustal.

- Dziecka to po prostu mali dorośli. my jesteśmy dorosłymi, którzy powstali z dziecka. Ale w tych wspaniałych czasach, zanim uczeni pojawili się na Ziemi, dorośli robili dziecka. Zwierzęta i drzewa tak samo. Z wiecznym życiem to się jednak nie godzi - w tych dzieckorobnych częściach ciała jest teraz mniej życia niż w kamieniu.

- Ani słowa o kamieniach! Zatem żyjemy na zawsze... Ty stary tłumoku, czy pamiętasz - och, czy pamiętasz mnie jako dziecko ?

Stary tłumok wszakże wprawił się w jakiś trans: łomotał pięściami o ziemię i toczył ślinę z ust.

- Na siedem odcieni bzu, siebie samego gorzej pamiętam jako dziecko, śmigającego jak strzała, i to powietrze, wszędzie świeże, pachnące powietrze. Jestem więc szalony, bo pamiętam.

Zaczął krzyczeć i płaka, a wyrzutki dookoła podjęły jego lament

- Pamiętamy, pamiętamy - czy tak było w istocie, czy też nie.

Ich straszliwe wycie podziało na jak cios włócznią w bok.. W jego pamięci pozostały później obrazy panicznej uczki przez miasto, jakiś mur, pień, rów, droga, wszystko to jednak równie bezcielesne jak owe wspomnienia.. Kiedy na koniec padł dysząc na ziemię, nie był świadomy, gdzie leży, i wszystko było dla niego niczym do chwili, gdy pobożny skowyt zamarł w ciszy.

Dopiero wtedy ujrzał, że leży pośród swej wielkiej konstrukcji, z policzkiem wspartym na kamieniu z Or tam , gdzie go opuścił. A kiedy zaczął wracać do przytomności, wielka konstrukcja odpowiedziała mu, choć nie wyrzekł ani słowa.

Znajdował się w nowym punkcie ogniskowym. Głos , który rozebrzmiał, był nowy, równie spokojny jak poprzedni zająkliwy. Wionął nad nim jak chłodny wiatr.

- Nie masz nieśmiertelnika po tej stronie grobu , o Argustalu, nie ma takiego imienia, choćby i z nie wiem jak głębokim uczuciem namietnej miłości powtarzanego, które by w końcu nie zamilkło. Eksperyment X dał wieczne życie wszystkim istotom na Ziemi , nawet wieczność jednak potrzebuje odprężenia i miewa przerwy. Stare życie miało swe dzieciństwo i koniec, nowemu brak było tej logiki. Odnalazło ją po wielutysiącletniach, biorąc wskazówki od poszczególnych umysłów. Czym człowiek był, tym będzie ; czym było drzewo, tym się stanie.

Argustal uniósł udręczoną głowę ze swego kamiennego wezgłowia, a głos ponownie zmienił ton i styl, jak gdyby w odpowiedzi na jego znikomy ruch.

- Teraźniejszość jest jak nuta w muzyce, która nie może trwać już dłużej. Natknąłeś się, o Argustalu, na

te właśnie, a nie inne pytania, albowiem akord, schodząc w niższą tonację, zbudził cie z długiego snu o płomiennej rozkoszy, jakim był nieśmiertelność. To, coś ty napotkał, odnajdą i inni i ani ty, ani nikt z was nie będzie już dłużej niewrażliwy na zmiany. Nawet nieśmiertelność musi mieć swój kres.

Wstał tedy i cisnął kamień z Or. Kamień poleciał, upadł, potoczył się... i zanim się zatrzymał, zbudził wielki chór głosów wszechświata.

Cała Ziemia powstała i wiatr powiał z zachodu. Gdy znów odzyskał zdolność ruchu, ujrzał pobożne tłumy z miasta w marszu i gnieźdzące się na słońcu wielkie Siły na ich nocnym przelocie, i wirujące gwiazdy, a każdy majestatyczny obiekt tak czujny, jak nigdy dotąd.

Argustal jednak powlókł się z powrotem do Pamitar, człapiąc powoli na swych płaskich, małych stopach. Nigdy już więcej nie miał okazać zniecierpliwienia w jej ramionach, gdzie czas zawsze będzie upływał zbyt szybko.

Wiedział już teraz, co to za robak, który fruwa i który zagnieździł się w jej i jego sercu, w każdej żywej istocie - w drzewoludziach z Or, w potężnych bezosobowych Siłach, które złupiły słońce, a nawet w świętych trzewiach wszechświata, którym chwilowo użyczył głosu. Wiedział już, że powróciła Jej Wysokość, która Życiu nadawała sens, Jej Wysokość, która odeszła ze świata na tak długie, a przecież tak krótkie wytchnienie.

Jej Wysokość ŚMIERĆ.

Dzień wyjazdu na Cytherę.

Opustoszałe wzgórza nad jeziorem tworzyły idylliczną scenerię dla rozmów i świętowania. Mogliśmy stąd widzieć miasto, ale nie pałac; widać było również rzekę poza miastem, a na wygrzonym zboczach, na którym zasiedliśmy, rosły kwiaty. Były tu potrzaskane sosny, nieprawdopodobne wąwozy i woń akacji dokładnie taka, jakiej należało oczekiwać w samym środku czerwca. Zapomniałem wziąć gitarę, a mój tegi przyjaciel Portinari uparł się, aby założyć swą błyskotliwą kurtkę-do-rozmów.

Rozprowiał więc na błyskotliwe, wspaniałe tematy, a ja mu dokuczałem.

- Ze względu na swe mózgowie dziedzictwo ludzkość żyje pomiędzy światem zwierzęcym a intelektualnym. Ja na przykład jestem matematykiem i uczonym, ale zarazem psem i małpą.

- Czy żyjesz w tych konkurencyjnych światach na zmianę czy też w obu jednocześnie?

Uniósł rękę, spoglądając w dół zbocza, gdzie młodzieńcy walczyli na żółte kije.

- Nie mówię o światach konkurencyjnych. One są komplementarne jeden względem drugiego - matematyk, uczony, pies i małpa - wszystko w jednym pojemnym mózgu.

- Zaskakujesz mnie - mówiąc to, starałem się wyglądać na nie zaskoczonego. - Dla matematyka psie figlepowinny być raczej nużące, a czyżby i małpa nie buntowała się przeciwko uczoneму?

- Walczą o pierwszeństwo w łóżku - ironicznie zauważył Clayton, o którym sądziliśmy dotąd, że pozostawił konwersację nam samym, ponieważ przykucnął u naszych stóp przy jednym z rozbitych nagrobków, demonstrując nam przy tych badaniach fantastyczne wzory na okrywającym jego plecy atlasie.

- Walczą o nie w nauce - zaproponował Portinari; nie tyle poprawka, co kodacyl.

- Uzgadniają je w sztuce - powiedziałem: nie tyle kodacyl, co koda.

- A co powiecie na to skamieniałe dzieło sztuki? - zapytał Clayton.

Podniósł się, uśmiechając się do nas spod swej błazeńskiej maski, i wręczył nam okruch nagrobka, który badał.

Widniała na nim z grubsza wyciosana w kamieniu postać ludzka o konturach zatartych przez porosty, których jeden strzęp obdarzył ją z mykotyczną ironią kępka żółtawych włosów łonowych. Postać w jednej ręce dzierżyła parasol; druga ręka, wyciągnięta dłonią do góry, była groteskowo powiększona.

- Czy on błaga? - zapytałem.

- Albo zaprasza? - spytał Portinari.

- Jeśli tak, to co zaprasza?

- Śmierć?

- Sprawdź czy pada, i stąd parasol - powiedział Clayton. Roześmieliśmy się.

Pośród niskich wzgórz rozbrzmiewały krzyki.

Nic tu nie przyciągało życia , gdyż trwająca od wielu stuleci susza dawno temu zniszczyła wszelką zielen . Cisza była ciszą drętwoty , której nawet krzyki nie były w stanie przerwać .Poprzez wzgórza , kierując się ku odległej linii horyzontu , biegł podwójny szlak torów kolejowych. Po torach tych mknęła z krzykiem ogromna lokomotywa parowa , a za nią pojawiły się ścigające ją drapieżniki . Drapieżców było sześciu , a ich reflektory lśniły oślepiająco. Byli już teraz niemal łeb w łeb ze swoją zwierzyną. Ich klaksy rozbrzmiewały echem , gdy nawoływali się wzajem .Już niezadługo mieli powalić ofiarę.

Lokomotywa była niezmordowana , pomimo jednak swej wspaniałej mocy nie mogła przegonić drapieżców. Nie było też tu dla niej żadnej pomocy - najbliższa stacja znajdowała się wieśset mil stąd .

Przywódca drapieżników zrównał się z jej kabiną. W odruchu rozpaczony lokomotywa nagle rzuciła się w bok , poza kłępiące ją szyny , i runęła w koryto wyschniętej rzeki , ciągnące się wzdłuż torów.

Drapieżcy zatrzymali się na chwilę , a potem skęcili i znów ruszyli z rykiem w pogoń.Teraz ich przewaga stała się jeszcze większa , albowiem koła lokomotywy ugrzęzły w ziemi .

W ciągu paru minut było po wszystkim . Wielkie bestie rozwłóczyły swój łup . Lokomotwa zaryła się ciężko bokiem , daremnie młócąc tłokami .

Nie przerażone tym drapieżniki rzucały się na jej czarne wibrujące ciało .

Pośród wzgórz rozbrzmiewały krzyki .

Chociaż król zarządził święto , na rękach wciąż mieliśmy nasze kontrolki. Wywołałem Wszystkowieda i zapytałem o opady na tym terenie czterysta lat temu . Brak danych . Klimat uważano za niezmienny .

- Maszyny są tak piekielnie nieprecyzyjne - uzaliłem się .

- Ależ Bryan , istniejemy dzięki brakowi precyzji . Tylko w ten sposób matematyk Portinari może współistnieć ze szczeniakiem w jego bogato wyposażonej głowie .Myśmy zbudowali maszyny i dlatego są one napiętnowane naszym brakiem precyzji .

- Maszyny są binarne .Gdzie tu niedokładność w albo-albo , włącz - wyłącz ?

- Albo - albo to z pewnością największa niedokładność .Matematyk - pies , uczony - małpa ,deszcz - pogoda , życie - śmierć. Brak precyzji nie w rzeczach samych , ale w rozziwi między nimi , w myślniku pomiędzy albo i albo . W tej luce jest nasze dziedzictwo , to dziedzictwo , które maszyny odziedziczyły.

Gdy Clayton mówił te słowa , Portinari omiatał sosnowe igły z drugiej strony grobu , czy też raczej powinienem był powiedzieć „ z przeciwnej strony " , aby podkreślić przynależność mego tegiego przyjaciela do świata istot śmiertelnych .Ukazał się metalowy pierścień , za który Portinari pociągnął i wy dobył spod ziemi piknikowy koszyk .

Kiedy wznosiliśmy okrzyki zachwytu nad jego zawartością , nadeszła śliczna Kolombina .Pocałowała każdego z nas po kolei i zaproponowała , że nakryje nam do pikniku .Z wierzchu koszyka wy dobyła śnieżnobiały obrus i rozścieliwszy go zaczęła rozmieszczać na nim prowiant .Portinari , Clayton i ja staliśmy wokół w malowniczych pozach i przypatrywaliśmy się czteroosobowym lotniom , trzepoczącym nad naszymi głowami w błękicie nieba .

Poza murami miasta srebrna orkiestra grała z okazji urodzin księżniczki .Słabe dźwięki muzyki docierały do nas , unosząc się w rozrzedzonym powietrzu . Można je było niemal smakować jak cieniutkie płatki srebra , w których przygotowuje się kaczkę .

- Dziś jest tak pięknie - jakże szczęśliwi jesteśmy , że to się skończy .Trwałe szczęście polega wyłącznie na przemijaniu .

- Zmieniasz temat , Bryan - rzekł Portinari . - Miałeś być obciążony za brak precyzji .

Chwyciłem się za serce ze zgrozą . - Jeżeli ja miałbym być obciążony za niedokładność , tonie poddanego , lecz króla należy zamienić.

- Strumienie twoich trosk zmiernają ku nurtowi radości - w ułamek chwili później odpowiedział Clayton .

Kolombina zaśmiała się pięknie i dygnęła dając nam znać , że podano do stołu .

Sawanny kończyły się tutaj , przechodząc niespodziewanie w krainę kamienia , półpustynną okolicę , gdzie rzadko który z wielkich roślinożerców ośmielił się zapuścić .Nad wszystkim zniżało się to samo ciężkie niebo .Deszcz padał czasami całe lata bez przerwy .

W porównaniu z powolnymi roślinożercami drapieżniki były szybkie .Tam i z powrotem przemierzały swoją straszliwą czarną drogę , która przecinała zarówno sawannę , jak i pustynię.

Jeden z nich zaległ na skraju drogi , powoli pożerając dwunożną istotę i pomrukując silnikiem .

Odblask kapryśnego słońca znaczył jego boki.

Kiedy zdjęliśmy maski i zasiedliśmy do uczty , nadbiegł w podskokach ubrany w aksamit jeden z karłów , zamieszkujących wzgórze , i przysiadł obok nas na murawie , przygrywając Kolombinie do tańca na elektrycznych cymbałach .Jego pochylona nad strunami twarz przypominała płód ludzki , ale głos miał czysty i dźwięczny .Śpiewał starą piosenkę Caesury :

Słuchałem każdego jej zdania
Wiedząc , wiedząc , że pozostaną one tylko
W mojej pamięci - i wiedząc , wiedząc , że moja pamięć
Będzie je wciąż i wciąż upiększać . . .

Przy wtórze tych dźwięków Kolombina wykonała wdzięczny taniec . nie pozbawiony swoistej autoironii .

Przyglądaliśmy się jej , jedząc mrożone melony z imbirem nadziewane krewetkami , srebrzystego karpia i ciasto z damaszkami .Zanim taniec dobiegł końca , z magnoliowego zagajnika przybiegła posłuchać muzyki grupa chłopców z proporcami , ubranych w atłasy , oraz małeńka czarna dziewczynka z bębenkiem . Przywiedli oni ze sobą na łańcuchu małego ,zielono - pomarańczowego dinozaura , który tańczył walca na dwóch łapach . Naszym zdaniem całe to towarzystwo należało do dworu .

Był pomiędzy nimi pewien tłusty chłopiec . Zwróciłem na niego uwagę przede wszystkim dlatego , że był ubrany cały na czarno ; dopiero później zauważyłem skórzaste latające stworzenie na jego ramieniu . Nie mógłmieć więcej niż dwanaście lat , ale był potwornigruby i najwidoczniej chełpił się swymi anormalnie wielkimi przydatkami płciowymi, nosił je bowiem przed sobą zawieszony w żółtym woreczku . Pozdrowił nas , zdejmując czapkę , a potem stanął tyłem do rozigranej gromady , spoglądając na dalekie lasy i wzgórze poza doliną . Tworzył miły kontrast z ogólną zabawą , której przypatrywaliśmy się podczas jedzenia .

Wszyscy płąsali do melodii cymbałów karła ze wzgórz .

*

Drapieżniki mknęły po nieskończonych drogach obojętne na to , czy kraj , który mijają , był pustynią , sawanną czy też lasem . Tak wielka była ich szybkość , że zawsze potrafiły znaleźć pożywienie .

Ciężkie , pochmurne niebiosy odzierały świat z barw i czasu . Ociężałe trawożerne zdawały się niemal nieruchome . Tylko drapieżniki były bystre i niezmordowane , produkując swój własny czas .

Ich grupa spotkała się na pewnych skrzyżowaniach wśród pustkowi .Jeden z jej członków dokonał mordu . Była to wielka szara bestia , która z warkotem obnażała kratę chłodnicy . Rozwalona na poboczu , spokojnie pożerała ciało młodej samicy . Dwa inne , świeżo zabite osobniki tego samego gatunku leżały opodal , gotowe do spożycia , gdy przyjdzie jej ochota .

Działo się to na długo przedtem , zanim wewnętrzne pasożyty pokonały labiryntową drogę do mechanizmów wieczności .

- Słuchaj no Bryan - powiedział Portinari otwierając drugą butelkę młodego wina . - clayton przepytował cię z niedokładności . Dwukrotni wykręciłeś się od odpowiedzi , a teraz udajesz , że pochłonęły cię harce tych tancerzy .

Clayton wsparł się na łokciu , wielkopańsko wymachując w powietrzu kością kurczaka w galarecie .

- Ależ portinari , przez zapach kwiecica akacji i posmak tego nowego rocznika ja sam już zapomniałem , o co chodziło , darujmy więc Bryanowitym razem . Jest wolny .

- Mieć darowane niekoniecznie znaczy być wolnym - powiedziałem - a poza tym sam jestem w stanie wyzwolić się z wszelkich sporów .

- Jestem szczerze przekonany , że potrafiłbyś wymknąć się z klatki słów - rzekł Clayton .
- Czemu nie ? A to dlatego że wszystkie zdania zawierają sprzeczności , tak jak my wszyscy je zawieramy w taki sposób , w jaki Portinari jest matematykiem i psem , małpą i uczyonym .
- Wszystkie zdania , Bryan ? - spytał zaczepnie Portinari .

Uśmiechnęliśmy się do siebie, jak zawsze, gdy szykowaliśmy dla siebie nawzajem pułapki słowne. Grupa dzieci z dworu zgromadziła się wokół, by posłuchać naszej rozmowy, wszystkie z wyjątkiem tłustego chłopca ubranego na czarno, który teraz oparł się o pień osiki i spoglądał w błękitne dale. Pozostali, wsparci jeden o drugiego, wymieniali między sobą gesty, niepewni, czy mówimy mądrze, czy też od rzeczy.

Oczywiście Kolombina nie słuchała. Nadeszło więcej karłów w aksamitach, którzy śpiewali, tańczyli czynili wiele zgiełku. Tylko ten z ich plemienia, który przyszedł pierwszy, odłożył cymbały i zaczął pieścić i całować śliczne obnażone ramiona Kolombiny.

Uśmiechając się wciąż, podałem swój kielich Portinariemu, a on napełnił go po brzegi. Obaj byliśmy odprężeni, ale czujni, szykując się do próby.

-Jak byś opisał te czynności, Portinari ?

Wszyscy czekali na jego odpowiedź. Ostrożnie, ale z uśmiechem, powiedział :

-Nie będę niedokładny, drogi Bryanie. Nalałem ci świeżo butelkowanego wina, i to wszystko.

Pod jednym ze zrujnowanych nagrobków skoczyła ropucha. W naszym kregu zapadła taka cisza, że słyszałem jej ruchy.

-Nalałem ci świeżo butelkowanego wina - zacytowałem - Tak jak przewidziałem , mój przyjacielu, zaferowałeś nam sprzeczność doskonałą. Na początku zdania nalewasz wino, ale na jego końcu jest ono świeżo butelkowane. Sekwencja twojej wypowiedzi jest zupełnie sprzeczna z jej sensem . Twoje poczucie czasu jest tak opaczne, że jednym tchem zaprzeczasz temu, o czym twierdzisz, że zrobiłeś. Clyton wybuchnął śmiechem - nawet Portinari musiał się roześmiać - dzieci trzęsły się i piszczały, dinozaur dał nurka, a gdy Kolombina klasnęła w rozbawieniu ślicznymi dłońmi, karzeł wyciągnął z jej gorsetu dwie bujne kuliste piersi. Poderwała się ściskając biust rękami i pomknęła wraz z ulubioną sarenką wśród drzew w stronę jeziora, a karzeł rzucił się w pościg.

Deszcz omiatał bujne trawy zasłonami wilgoci. Jego krople nie tyle opadały, co wisały w powietrzu, przesycając wszystko pomiędzy niebem i ziemią. Była to wielka letnia ulewa, cicha i nieuchwytna ; trwała już od dziesiątków tysięcy lat.

Od czasu do czasu słońce przebijało się przez chmury, a wtedy ruchoma wilgoć w powietrzu wybuchała jaskrawymi kolorami, aby znów przygasnąć i przybrać brudnospizowy odcień, gdy tylko chmury zaleczyły ranę

Metalowe bestie, mknące przez ustawiczny deszcz huczały i warczały. Od zewnątrz błyszczały jak gdyby były nieprzenikliwe, chromy i lakiery lśniły jak lustro, ale pod pancierzami woda, przyskająca stale z wirujących koł, siała spustoszenie. Rdza wśliznęła się w każdą ruchomą część, rak metalu po omacku kierujący się ku sercu.

Zamieszkiwane przez bestie miasta otaczały ogromne cmentarzyska. Na nich nie budzące już strachu mnogie kadłuby rozpadały się w rdzawy pył, w nedzne mogiły.

Podczas gdy sacyliśmy wino i zajadaliśmy cukierki, karty i chłopcy tańczyli na murawie. Część młodzieży dosiadła swoich gęsiolotów i popedałowała nad naszymi głowami na powietrzne zapasy. Przez cały ten czas czarno odziany tłusty chłopiec stał samotnie, pogrążony w rozmyśleniach. Portinari, Clyton i ja śmieliśmy, gawędziliśmy i flirtowaliśmy z przechodzącymi mimo wiejskimi dziewczynami. Było mi bardzo miło gdy Portinari wytłumaczył im mój paradoks niedokładności. Kiedy dziewczęta odeszły, Clayton wstawszy owinał się płaszczem i zaproponował, abyśmy ruszali z powrotem do promu.

- Słońce kloni się ku zachodowi, przyjaciele, a wzgórza lśnią mosiądzem od jego blasku - uroczyście wskazał ręką na słońce.

- Jestem pewien, że cała jego trajektoria poświęcona jest potwierdzeniu owego aforyzmu Bryana, wedle którego jedynie trwałe szczęście kryje się w rzeczach przemijalnych. To nam przypomina, że rozłożone popołudnie jest tylko sztuczna pozlota, która teraz staje się coraz cieńsza.

-To mi przypomina, że staje się coraz grubszy - Portinari dźwignął się z ziemi, bekając i gładząc się po brzuchu.

Podniosłem rzeźbiony okrucuch nagrobka i podałem go Clytonowi.

- Tak, chyba zatrzymam tę cię z parasolem, aż znajdę kogoś kto rzuci nań trochę światła

- Czy on cię błaga o to ? - spytałem.

- Albo zaprasza ? - dodał Portinari.

- Sprawdza czy pada - powiedział Clyton. Roześmieli się znowu.

Przesłonięte niemal odrażającymi wyziewami własnej produkcji stado maszyn zaległo na poboczu drogi, żerując.

Droga przypominała twór natury. Ogromny busz pokrywający niemal całą planetę, tu wreszcie się kończył, jak gdyby bez powodu; równie niewytłumaczalnie wyrastały tu góry, wznoszące się z ziemi jak góry lodowe, ze skamieniałego morza. Były wciąż jeszcze młode i niespokojne. Droga biegła wzdłuż ich podnóży, rąbek na skraji rozległych równin.

Była to dwudziestopasmowa autostrada, przystosowana zarówno do pod-, jak i naddźwiękowego ruchu. Stado zapadło na jednym z nielicznych parkingów, obżerając się jeżdżącymi w maszynach miękkimi stworzeniami o czerwonych wnętrzach. W stadzie było pięć maszyn, które ustawicznie cofały się i wyły silnikami na wysokich obrotach, przepychając się na lepsze miejsca. Sok tryskał z krat ich chłodnic, ściekał po maskach, osiadał mgłą na szybach. Nad nimi wisiała błękitna chmurka ich skażonych oddechów. Maszyny pożerały swoje młode.

- A więc czas kończyć nasz wywczas !! - rzekł Clyton, biorąc na ramię swój kamień. Tłum wciąż weselił się wzdłuż drzew.

Gdyśmy odchodzili, zdarzało się, że pozostałem z tyłu za moimi przyjaciółmi. Wiedziony odruchem, złapałem za rękaw tłustego chłopca w czerni i powiedziałem:

- Czy pozwolisz, że obcy człowiek zapyta, co też zaprzętało twoje myśli przez całe to wspaniałe popołudnie?

Gdy zwrócił twarz ku mnie i zdjął maskę, ujrzałem jak był blady; Obfitość ciała niczym nie zaznaczała się na jego twarzy, która przypominała czaszkę.

Patrzył na mnie długo, zanim powiedział powoli:

- Być może prawda jest przypadkiem - i spuścił wzrok ku ziemi.

Te słowa zaskoczyły mnie. Nie potrafiłem znaleźć żadnej repliki, być może dlatego, że jego poważne zachowanie nie licowało z ciętą odpowiedzią.

Dopiero kiedy odwróciłem się, aby odejść, dodał:

- Mogło tak być, że ty i twoi przyjaciele całe to popołudnie mówiliście prawdę przez przypadek.

Może w istocie nasze poczucie czasu jest opaczne. Może wino nigdy nie jest nalewane lub też nalewane zawsze. Być może jesteśmy sprzecznościami, każdy sam w sobie. Być może... być może jesteśmy zbyt niedokładni, aby przetrwać...

Jakże melancholijna myśl na taki dzień jak dziś!

A oto i prom, unoszący się na ciemnej powierzchni jeziora, osłoniętego cyprysami i przez to nieco ponurego - ale już latarnie zamigotały wzdłuż brzegu i posłyszałem dźwięki muzyki, śpiew i śmiechy z pokładu. Tam w gospodzie nasze ukochane będą na nas czekać i nowa sztuka rozpocznie się o północy. Umiałem swoją rolę na pamięć, znałem każde słowo, marzyłem, aby wyjść zza kulis w blask światła, być celem wszystkich oczu...

- Chodźże, mój przyjacielu! - zawołał serdecznie Portinari, odwracając się od tłumu i biorąc mnie za ramię. - Spójrz, na pokładzie są moi kuzyni - będziemy mieli wesołą podróż do domu. Zamierzasz tak trwać?

Przetrwać?

Przetrwać?

Przetrwać?